Paweł Szumił

**Ostatni Władca**

Tom II cyklu

**SŁOWO O SMOKU**

**Tłumaczył z rosyjskiego**

**Jacek Izworski**

**RIDERO**

**Kraków 2017**

**PROLOG**: **CZAS TERAŹNIEJSZY**

 – A teraz wyjaśnij mi to nie jako członkowi Synodu, tylko jako przyjacielowi. Dlaczego?

 – Bo lepiej jest być na górze niż na dole, jeśli już nie można pozostać z boku. Bo to my, my sami powinniśmy byli zacząć już od dawna ten proces. Bo jeśli go zatrzymamy, zatrzymamy także siebie. Na zawsze! Następne pokolenia zapomną powody, ale sam fakt odejścia od założonego programu zapamiętają. Powieszą na naszych czasach jakąś ładnie brzmiącą etykietkę typu „Wiek mądrej odmowy” i zacznie się degradacja. I to, zauważ, tylko w tym przypadku, jeśli zdołamy go zatrzymać, czego ja osobiście nie jestem taka pewna. Wiesz przecież, czym się zakończyła próba mojego poprzednika.

 – Wiem. Nie wiem tylko, jaki był w tym twój udział.

 – Najbardziej bezpośredni. Ale o tym nie teraz, dobrze?

 – Dobrze, Anno. Poprę cię na posiedzeniu Synodu. Ale musisz mi coś o nim opowiedzieć. I o sobie także. Masz już, jak widzę, siwe włosy.

 – Siwe włosy to jeszcze nic. Nawet dodają autorytetu. Myślisz, że łatwo jest utrzymać w ryzach pięciuset chłopa? A on… Po pierwsze, musisz pamiętać, że to jednak nie jest człowiek. Zawsze i we wszystkim jest go za dużo. Jeśli się cieszy, to na całego, jeśli się smuci, to aż do łez i wycia na Księżyc. Nie śmiej się, on naprawdę wyje na Księżyc. We wszystkim, co robi, pogrąża się po uszy. Raz zamknął się i przez pięć dób bez przerwy zapisywał muzykę, a potem dwie doby spał. Co myśmy wtedy przeżywali! Po drugie, jest emocjonalnie przejrzysty dla otoczenia. Nawet gorzej: transmituje swoje emocje na kobiety w promieniu stu metrów. Oczywiście to go gnębi. Po trzecie, zawsze mówi prawdę. Dodaj do tego wręcz dziecięcą naiwność w jednych aspektach i genialność w innych. Ratując przyjaciół, bez namysłu pójdzie na śmierć. Jeśli zabierze się do czegoś – możesz to uważać za zrobione. I to, mimo, że na każdym kroku robi całą masę głupstw.

 – Możesz przytoczyć choć jeden przykład jego genialności?

 – Ile chcesz. Władcy, odchodząc, umieścili w głównym komputerze rozkaz nie podporządkowywania się nikomu, dopóki człowiek nie poda hasła. A on zdołał przekonać komputer, że ten jest niesprawny i potrzebuje naprawy. Rozumiesz, nie człowieka, tylko maszynę. Żelazną skrzynkę, na którą nie działają żadne naciski i próby przekupstwa, dla której dwa plus dwa ZAWSZE równa się cztery! Pod pozorem naprawy dostał się do pamięci komputera, coś tam zrobił – i po czterech dniach komputer słuchał go już jak wierny piesek.

 – Co w tym takiego skomplikowanego?

 – Zaraz pójdę do biblioteki, wezmę z półki książkę, otworzę ją na chybił trafił i postawię na stronicy swój podpis, po czym włożę książkę na miejsce. Potem ty wejdziesz i spróbujesz znaleźć mój podpis. Jak myślisz, ile czasu ci to zajmie?

 – Pewnie ponad rok. Przekonałaś mnie.

 – W pamięci głównego komputera zmieszczą się tysiące takich bibliotek. Ale to jeszcze nie wszystko. Hasło musiał podać CZŁOWIEK.

 – Jak on sobie z tym poradził?

 – No, teraz komputer uważa go za odmianę człowieka, przystosowaną do agresywnych warunków zewnętrznego środowiska. Były tam jeszcze inne komplikacje, nie będę ich wyliczała. Mogę tylko powiedzieć, że mnie się tego wyczynu nie udało powtórzyć, choć słyszałam, jak wyjaśniał cały proces lady Terrible. W ogóle mam wrażenie, że im trudniejsza sytuacja, tym on działa efektywniej.

 – Czekaj no, chciałaś mu odebrać bazę Władców?

 – Nie przesadzajmy, zaraz „odebrać”. Analizowałam warianty. Znasz przecież moją podejrzliwość. Poza tym to było tak dawno… Rok temu.

 – A dzisiaj?

 – Dzisiaj za niego każdemu wydrapałabym oczy.

 – Czym on cię tak ujął?

 – Wyobraź sobie: idzie korytarzem, niesie aurę troski i nagle widzi ciebie. Troski idą na bok, zalewa cię fala czystej, szczerej radości. Jak promień słońca zza chmury. Już za to jedno jestem gotowa wybaczyć mu wszystko. To jest strona emocjonalna. A jest także zdroworozsądkowa. Wszystko, co on robi, potrzebne jest nie jemu, a nam. Na swoim osobistym życiu postawił wielki i ciężki krzyż. No i ta jego naiwność! Bez naszej pomocy przepadnie. Wydaje mu się, że wystarczy przeciwnikowi wytłumaczyć, co robimy, a każdy łajdak poprawi się i pobiegnie nam pomagać. Łajdak się nie poprawia, a u niego pojawia się dziecięca obraza na cały świat. Wiesz, jakie emocje czuł, kiedy spalił magistra? Obrazę! Obrazę i litość. Dlaczego magister jest taki zły, jakże tak można?!

 – Więc to on spalił magistra, a nie lady Terrible?

 – No i masz, wygadałam się. Nie, nie lady. Jej zabronił. Nawiasem mówiąc, to było naruszeniem ich umowy. Magister uważany był za prawną zdobycz lady Terrible. Próbował spalić ją na stosie, więc miała pełne prawo odpowiedzieć mu tym samym. A żeby już wszystko było całkiem jasne, to ja naprowadziłam ich na magistra. Och nie, nie myśl o mnie źle! Nie myślałam wtedy zupełnie o zajęciu jego miejsca.Naprawdę! Możesz mi uciąć rękę!Mogę przysiąc na co tylko zechcesz!

 – Wierzę. A jednak tego samego wieczora wybrali cię nowym magistrem. Jak to się stało?

 – Smok mi kazał.

 –Nic nie rozumiem. Jaka właściwie jest wasza hierarchia? Niektórzy mówią, że ty kręcisz nim jak chcesz, a teraz okazuje się, że on ci rozkazuje.

 – Nie ma tu nic do rozumienia. Żadna hierarchia nie istnieje. Miałam wtedy atak histerii, a najlepszym lekarstwem na to jest dać babie po twarzy i rozkazać jej czymś się zająć. Każde z nas ma swoją działkę, swoje zadania. Tak naprawdę cały program koordynuje oczywiście Smok, ale jeśli mu to powiesz, szczerze się zdziwi. Po prostu, kiedy mu przychodzi do głowy jakiś pomysł, włazi nie w swoje sprawy, a potem komunikuje zadowolony: „Zrobiłem to a to”. Ile razy chciałam go za to rozerwać go na kawałki! Po takiej interwencji nie ma już wyboru, trzeba iść wskazaną przez niego droga. Może podporządkować sobie ciebie, zrobić z ciebie marionetkę i nawet tego nie zauważyć. Zakłada a priori, że wszyscy chcieli właśnie tak zrobić, tylko jemu pierwszemu przyszła do głowy ta genialna myśl.

 – Rozumiem. A z lady Terrible też ma takie same stosunki?

 –Znowu się mylisz. To były stare obrazy. Teraz zbyt wiele zawdzięczamy jedno drugiemu. Ale jeśli ktoś kazał mu podkulić ogon, to tylko ja!Smok na tylnych łapkach z tchórzliwie podkulonym ogonem – to dopiero widok! Co prawda kosztowało mnie to plantację cedrów.

 – „Plantację” syberyjskich cedrów? Mówisz o tej grządce z siedmioma pręcikami?

 – Pamiętasz? Teraz zostało już tylko pięć. Wyobraź sobie, że położył się na niej. Wrzasnęłam, on się zerwał, kazałam mu się nie ruszać, a kiedy oceniłam straty, połamałam na nim miotłę. Stał na tylnych łapkach i cierpiał bicie jak uczeń, który nabroił mistrzowi. Nie wiedział, gdzie można postawić nogę. Było mu bardzo wstyd, nawet trochę się bał.

 – Skąd wiedziałaś?

 – Przecież czuję jego emocje. No cóż, w Rzymie dobrze, ale w domu czeka Węgielek.

 – Węgielek? Któż to taki?

 – Cudny szkrab. Poznasz ją, jak podrośnie. Masz tu komunikator. Jak się nim posługiwać, sam ci objaśni. Naciskasz tu i pytasz. Aha, połowa Synodu to starcy. Obiecaj im zdrowie. Nie młodość, ale absolutne zdrowie.

 – Anno, zamierzasz zamienić Synod w muzeum mumii egipskich?

 – Aha. Miłych, cichych, posłusznych mumii, patrzących na nas z niemym zachwytem.

 – Na ciebie. Byłaś lisicą i intrygantką i pozostałaś nią.

 – Nie jestem lisicą, tylko wiedźmą! I to straszną, u-u-u! Nawet smoki mnie się boją. Pocałuj mnie na pożegnanie.

 Czarny cień spadł skądś z góry i z radosnym piskiem wylądował na jej ramieniu.

 – Oj, Węgielku, to boli! Schowaj pazurki. Widzę, że się stęskniłaś. Zaraz będziemy jeść.

 – Anno, już wróciłaś? To świetnie. Nie karm jej teraz, dopiero co zjadła kotlety w kuchni.

 – Lira, a jak się czujecie ty i twój mały? Poczekaj, Węgielku, przestań lizać moje ucho!

 – Wszystko w porządku. A jak tam u ciebie?

 – Dwie trzecie Synodu będzie z nami. Tu wszystko w porządku. Gorzej ze strukturami pośrednimi. Przywykli do spokojnego życia, będą sabotowali każdą nowość. Będziemy musieli z każdym pracować indywidualnie. Co porabia Mistrz?

 – Projektuje nowe bazy. W Ameryce i Podniebnej. Mówi, że teraz najważniejsze to przebić plan w Synodzie, a potem jakby zapomnieć o nim na rok czy dwa. Przez ten czas przeciwnik się uspokoi, my się wzmocnimy, a postanowienie Synodu nabierze historycznej trwałości. Potem już nikt go nie uchyli.

 – OBoże! Czy on to dawno wymyślił? A może myśli, że będziemy żyli trzysta lat? Idź do Liry, Węgielku. Nie możemy ciebie pokazać ludziom, na to jest jeszcze za wcześnie.

 Anna wyjmuje komunikator, ustawia go.

 –Matwieju, to znowu ja. Uzupełnienie do planu. Możesz wszystkich zapewnić, że przez najbliższy rok nic się nie zmieni. Sam pomyśl, dlaczego. Oczywiście, że smok. Nie, patenty na czytanie zostają, tylko koniec z prześladowaniem czytających. Patentów nie będziemy sprzedawali, tylko wydawali je po egzaminie, bezpłatnie. Jasne, że się nie spodoba. Z początku, potem się przystosują, będą za egzaminy brali łapówki. Będą, na pewno będą, i to dobrze. Dlaczego? Bo łapówek brać nie wolno! Złapiemy ich na gorącym uczynku i zastąpimy swoimi! Aha, azjatycka chytrość. Mówiłam ci już, że nie jestem lisicą, tylko wiedźmą. W szóstym pokoleniu. Poczekaj, następnym razem przylecę do ciebie na miotle. Ciao!

 Smok gniewnie wpadł do sali ekranowej.

 – Komputer, łączyć z Anną! Anna? Wiesz, co to jest futbol? To gra! Gra, a nie turniej rycerski! Wiesz, że po tym „przyjacielskim” spotkaniu dwóch u mnie leży w biowannach?

 – Coś poważnego?

 – Złamania. Ręce i nogi.

 – Uff, postraszyłeś! A kto wygrał?

 – Anno!

 –Zrozumiałam, poprawię się, zaraz osobiście włożę ocalałych do biowanien. Kto wygrał?

 – Erem Piitetow.

 – No, oni mi ten mecz popamiętają na długo! Darmozjady! No, teraz ja im dam do wiwatu! Nie złość się, Mistrzu, żartuję. Załatwiłam ci poparcie Synodu, a ty klniesz!

 – Już? Przecież głosowanie ma się odbyć dopiero za dwa tygodnie.

 – Wszystko będzie normalne. Już są po naszej stronie, choć jeszcze o tym nie wiedzą.

 – A w sprawie malarza coś wyjaśniłaś?

 –Dowiem się w ciągu tygodnia. Najwyższy stopień tajności. Tylko dla członków Synodu.

 – Czy to zdarza się często?

 – W ogóle nie wiedziałam, że istnieje taki poziom tajności.

 – Anno, to jest to, przysięgam na swój ogon, że to to!

 W cztery dni później Anna wezwała Smoka przez komunikator:

 – Mistrzu, zaraz wylatuję z Rzymu, oczekuj mnie wieczorem w zamku Detterville’ów. Stos prezentów ma byćmojego wzrostu.

 – Co się stało?

 – Nic szczególnego, tak po prostu.

 – Aha. Nie licz na to, że nazwę cię wiedźmą. Jesteś cudowną istotą, po prostu aniołem. Zwłaszcza kiedy śpisz. Zębami do ściany.

 – Mistrzu, kiedy się dowiesz, co jest w tym dossier, będziesz siusiał wrzątkiem, a swój ogon oddasz do lombardu, żeby tylko choć jednym oczkiem tam zerknąć. Ale ja będę surowa i nieprzystępna. Najpierw zjem, potem się wykąpię, odpocznę po podróży…

 – Anno, ja jestem do-obry…

 – A kom ja jestem?

 – Ty? Szantażystką!

 – No dobrze, ptaszku, tu mnie masz. To jest dossier ostatniego Władcy. Ostatni zapispochodzi sprzed czterech lat. Ale nic więcej już ci nie powiem! Płacz myszy kota nie wzrusza. Czekaj i męcz się.

 Smok ze smutkiem popatrzył na zgaszony ekran, po czym zakomenderował:

 – Komputer, łączyć z lady Terrible.

 – Czarku, czy to ty?

 – Ja. Lira, wieczorem przylatuje Anna. Zbierz małą radę. Udało się!

 Węgielek powitała Annę radosnym piskiem, nawet, rozłożywszy półmetrowe skrzydła, stanęła na tylnych łapkach, ale nie zechciała opuścić wygrzanego miejsca między uszami Smoka. Smok wysyłał fale ciepłej radości. Chciało się pogłaskać kogoś po głowie, powiedzieć coś miłego. Anna westchnęła w duchu, uniosła ręce w geście powitania, wyprężyła sięi ryknęła:

 – Amadeuszu, ty łysy szakalu, wiedziałeś o wszystkim! W tym dossier na każdej stronie figuruje twój podpis! Nie mogłeś szepnąć choć słówka na uszko?

 – Wiedziałem. Nie mogłem.

 – Zuch! Masz pochwałę za służbę. Kto nie wie, o co chodzi,temu wyjaśniam: wszyscy Władcy, oprócz jednego, rzeczywiście odeszli z naszej planety około tysiąca lat temu. Ale ostatni zmarł dopiero cztery lata temu ze starości. Spotkałam go dwukrotnie, a brat Amadeusz był jego kuratorem i widywał go prawie codziennie przez ponad dziesięć lat. Wyjdź no tu, ty psi synu, opowiadaj. Da mi ktoś kromkę chleba z masłem, czy mam zdechnąć z głodu?

 Węgielek w podnieceniu kręciła głową, błyskając iskierkami oczu. Nigdy jeszcze nie widziała tylu ludzi na raz.

**ROZDZIAŁ 1**

Zaczął ostro z nuty „do”,

Lecz nie dograł jej, nie do…

Więc nie dobrzmiał jego akord

I nie dotchnął nim nikogo.

Tylko pies szczekał, a kot

Mył sobie ogon.

W. Wysocki: „Przerwany lot”.

 Dżafar z zakłopotaniem patrzył na dwie liczby i w żaden sposób nie mógł ich skojarzyć. 845 – 1897. Przecież to ponad tysiąc lat! 845 plus 100 powinno być 945. Mogłoby być mniej, gdyby przybyli ratownicy. Ale 1897?! Coś musiało nawalić. Do twarzy przysunął się wężyk. Dżafar wziął jego końcówkę do ust, ale plastik rozsypał mu się na wargach, a w twarz uderzył strumyk wody. Wypluł kawałki plastiku i wypił kilka łyków. Strumyk znikł. Dżafar jeszcze raz spojrzał na pulpit. Ta czerwona lampka coś znaczy. Coś złego, jeśli jest czerwona. I ta też. Ale po przebudzeniu nie można wstawać, dopóki… Jakie procedury mają być po przebudzeniu? Myśl, przypominaj sobie, jesteś przecież biologiem! Stymulatory. Tak, powinne być stymulatory. I skoczna muzyka. Na pulpicie powinne być napisy. I światło. Gdzieś powinno włączać się światło. Spać się chce. To teraz można, a nawet trzeba.

Obudził go manipulator, masujący jego ciało, wcierający w skórę jakąś maź.Jedna z czerwonych lampek na pulpicie zgasła, widocznie blok autonaprawy usunął usterkę. Dżafar ostrożnie podniósł rękę, wymacał końcówkę wężyka i wyssał jeszcze kilka łyków cieczy. Potem nacisnął szeroki klawisz na pulpicie. Komorę anabiotyczną rozjaśniło słabe zielone światło. Skoncentrował się i nacisnął klawisz „Stan bieżący”. Na monitorze zaświecił się tekst „Przebudzenie awaryjne z powodu wyczerpania rezerw systemu zabezpieczenia życia”.

 „Tak, tak” – pomyślał Dżafar. – „I komora anabiotyczna też może wyczerpać rezerwy. Poczwórny zapas, blok autonaprawy – i nagle koniec rezerw. Czyli naprawdę przespałem tysiąc lat. Jaki teraz podawać wiek do ankiet: 20 lat czy 1020? Rekord do Księgi Guinnesa. Jeszcze nikt nie spał więcej niż sto lat na raz. Po 150 zaczynają się nieodwracalne zmiany, prowadzące do przyśpieszonego starzenia się. Rozpadają się aksony. Będę się szybko starzał. No cóż, wszyscy moi przyjaciele umarli, czas i na mnie. Ile mi zostało? Pięć lat? Dziesięć? No, to jeszcze zobaczymy, powalczymy. To z mojej specjalizacji. Ale czy warto walczyć? Jeśli w ciągu tysiąca lat mnie nie znaleziono, to znaczy, że z tym continuum nie udało się ponownie nawiązać kontaktu. Światy przypadkowo się spotkały – i równie przypadkowo się rozeszły. Tak, ale miejscowi także mnie nie znaleźli. Gdyby nasza misja się powiodła, dawno by mnie znaleźli. Jeśli nie przez zero-latarnię, to zwykłym magnetometrem”.

 Dżafar ostrożnie obrócił się na brzuch i pozwolił manipulatorowi pomasować sobie plecy.

 „Doigrałem się. Kosmonauta!” – pomyślał autoironicznie. – Masz swój staż do dyplomu według norm dalekiego kosmosu, masz swoją synekurę. Szczeniaku! Wymyśliłeś sobie, że jeśli ta Ziemia jest analogiem twojej, to możesz gwizdać na wszelkie zasady. Nie wziąłeś nawet komunikatora! Zostawiłeś automat powtarzający «U mnie wszystko w porządku». Bawiłeś się w robinsona. No i masz swoje dwutygodniowe wakacje na przygotowania do sesji! Teraz zdechniesz za pięć lat jak pies pod płotem. Bohater dalekiego kosmosu! Ale przecież mówili, że to bezpieczne, że to sanatorium, bliżej, niż do Księżyca. Sanatorium… Dla nich, zawodowców, weteranów, wilków dalekiego kosmosu może i sanatorium, ale nie dla początkujących. Trzeba było pracować głową, nie bicepsami! Jeśli sanatorium, to dlaczego wszystkie normatywy jak dla dalekiego kosmosu? Zawodowca już choćby to by zaniepokoiło. Dość jęczenia! Co teraz robić? Co w tych warunkach zrobiłby zawodowiec? Przypuśćmy, że jestem Kamilem. Nie, do Kamila mi daleko, przypuśćmy, że Gromem. Grom najpierw ustaliłby, czy jest czas do namysłu. Jak to on mawiał: «Jeśli nie trzęsiesz palmy, myśl». Czas jest. Więc: najpierw rozbiór pomyłek, potem analiza sytuacji bieżącej i wreszcie, co dalej robić. Z pomyłkami wszystko jasne. Zadarłem nosa. Kiedy dziecko wyciągnąłem z ognia? Nie, kiedy wzięli mnie do kółka. Przylecieli na pogorzelisko, obejrzeli, stanęli w kółko, znaleźli jeszcze cztery mniej niebezpieczne warianty. A potem poklepali po ramieniu i powiedzieli: «Uratowałeś pacana, sam przeżyłeś – czyli działałeś prawidłowo. A za wymówki się nie obrażaj. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Aha, pierwszy! W takim razie przeszedłeś chrzest bojowy, gratulujemy. Sam wiesz: jeden bity wart jest dwóch niebitych». I wtedy zadarłem nosa”.

 Włączył monitor, zadał pytanie. Z odpowiedzi nic nie zrozumiał, więc myślał dalej:

 „Teraz: co mam na dzisiaj. Przespałem 1052 lata. Ustawiłem timer na sto lat, a przespałem tysiąc. Dlaczego? Bo timer się zepsuł, to widzi nawet osioł. Bo nie chciało mi się certolić z wewnętrznym pulpitem komory anabiotycznej i podłączyłem sterowanie na odległość przez komputer. A komputer w ciągu stu lat zdechł. Dureń! Przecież komputer nie ma bloku autonaprawy. A cybery naprawcze unieruchomiłem. Dureń do kwadratu! Trzeba było włączyć oba timery, i wewnętrzny, i zewnętrzny. I kazać cyberom pełnić wartę. Gdzie się tak śpieszyłeś? Zachowałeś się jak dzieciak. No cóż, dzieciństwo się skończyło. Teraz jestem jedynym przedstawicielem naszej Ludzkości na tej Ziemi. Jeśli nie połączę się przez zero-t z naszą Ziemią, pozostanę jedynym. Na zadane pytanie o przyczynę przerwania łączności otrzymałem odpowiedź, że stało się to z powodu zmiękczenia spójności równoległych continuów. Ba, gdybym wiedział, co to znaczy «zmiękczenie spójności»… Ale może w ciągu tysiąca lat sytuacja się ustabilizowała. Przecież technika u nich nie stała w miejscu. A mnie wystarczy, żeby odebrali mój sygnał SOS. Teraz sprawa miejscowej ludności. Jeśli mnie nie znaleźli, to jedno z dwojga. Albo technika jeszcze nie osiągnęła połowy XX wieku, albo ich rozwój poszedł inną, nietechniczną drogą. Wszyscy moi miejscowi przyjaciele dawno umarli. Kontakter ze mnie taki, jak z wrony ptak śpiewający. Dlatego, o ile to możliwe, nie będę wstępował w kontakty z tubylcami. Obmyśliłem już chyba wszystko. Idę na główną bazę uruchomić zero-t. Szczegóły będę opracowywał w miarę rozwoju sytuacji. Najważniejsze, żeby najpierw myśleć, później dopiero działać”.

 Dżafar pchnął dźwignię i pokrywa sarkofagu odjechała skrzypiąc na bok. Otoczyło go zastałe powietrze o zapachu pleśni. Kilka razy zgiął i wyprostował nogi, po czym ostrożnie stanął na podłodze. Kolana mu zadrżały, w głowie się zakręciło. Te nieprzyjemne uczucia szybko minęły, ale serce waliło jak po sprincie na sto metrów. Usiadł na fotelu cyber-diagnostyka i włączył ekran. Zgadza się, nic nie jeść, tylko pić. Mało, ale często. Trzymając się ściany wyszedł na korytarz. Na podłodze kurz, wszędzie kurz. W składzie to samo. Włączył cybery. Dwa w ogóle nie odpowiedziały, w trzecim coś zagrzechotało i zapachniało dymem. Czwarty niezrozumiale zachrypiał głośnikiem. Zostawił go włączonego, a nuż blok autonaprawy sobie poradzi. Pozostałe wyłączył, po czym otworzył wewnętrzne drzwi przedsionka. Za niewielkim okienkiem zewnętrznych panowała ciemność.

 – Stop! – powiedział do siebie na głos. – Co zrobiłby Grom? Dałby ci po głowie za to, że bez sprawdzenia otworzyłeś drzwi wewnętrzne. Zewnętrznych drzwi mogło już nie byćod stu lat. Może jesteś na dnie jeziora albo błota?

 Sprawdził systemy zabezpieczenia życia w skafandrze. Zajęło mu to trzy godziny. Zadziałały tylko blok zasilania i regeneracja powietrza. To nic, na razie wystarczy. Na zewnątrz jest 14º, więc można się obejść bez klimatyzacji. Kilka razy pił słodkawą ciecz, skąpo wydzielaną przez automat sarkofagu. Włożył skafander i znów poszedł do przedsionka. Bardzo ostrożnie otworzył maleńki lufcik do wyrównywania ciśnienia. Cisza. Włożył palec – ziemia. Zdjął rękawiczkę, podłubał, roztarł grudki w palcach, powąchał i poszedł do składu po łopatę.

 Zdołał przekopać przejście dopiero na trzeci dzień. Nie żeby bunkier znalazł się tak głęboko, zaledwie trzy metry, ale od najmniejszego wysiłku serce waliło jak młot, a przed oczami pływały kolorowe plamy. Cyber-diagnostyk mógł się nie obawiać o ciekłą dietę, jedzenie dawno się zepsuło. Przed wyjściem na zewnątrz Dżafar zawiesił u pasa nóż i naładował od systemu energetycznego skafandra kieszonkowy świder laserowy. Lepiej byłoby zabrać pistolet laserowy, ale jego plastikowa kolba rozpadła mu się w palcach.

 Na zewnątrz było południe. Niezbyt gęsty las otaczał wzgórze z pogrzebanym bunkrem. Dwadzieścia metrów przed nim stał słupka zdziwiony zając. Dżafar położył świder przy wejściu, dokładnie wycelował, nacisnął klawisz. Z zająca zrobiła się przypalona tusza. Uwarzył bulion, po czym, krzywiąc się z obrzydzenia, wmusił w siebie kilka łyków gęstej, tłustej, nieosolonej cieczy. Po godzinie obudziło się w nim uczucie głodu.

 Następnego ranka, zjadłszy kilka kawałeczków mięsa, poszedł na zwiad. Dwa kilometry od bunkra znalazł rzeczkę z opuszczonym młynem. Droga zarosła co najmniej pięć lat temu. Dokładnie przeszukał wszystkie pomieszczenia i znalazł kilka z grubsza, ale solidnie wykonanych mebli, kilka drewnianych łyżek własnej roboty, zardzewiały topór bez połowy styliska i szkielet krowy w oborze. Gdyby nie szkielet, można byłoby pomyśleć, że gospodarze po prostu wyjechali, zabierając wszystko, co cenniejsze i pozostawiając rupiecie. Dżafar poszedł do bunkra po wykrywacz metali i po pół godzinie poszukiwań znalazł skrytkę z kilkoma srebrnymi i miedzianymi monetami. Lata bicia monet – od 997 do 1046. Znów się nie zgadza. 1046 minus 845 wychodzi 201 lat. A według timera sarkofagu anabiotycznego minęło ponad tysiąc lat. I monety nie mogły tak dobrze się zachować, jeśli mają osiemset lat. Co powiedziałby Grom? Powiedziałby: „Nie łam sobie głowy, samo się wyjaśni. A monety schowaj do kieszeni, na pewno ci się przydadzą”. Dziękuję ci, Grom.

 Po trzech tygodniach Dżafar był gotowy do przejścia do głównej bazy. Do przejścia, a nie przelotu, jak tysiąc lat temu. Wprawdzie flyer stał w hangarze odkopanie wejścia byłoby proste, ale naprawić maszynę… Może Grom by sobie z tym poradził, ale nie student trzeciego roku inżynierii genetycznej. Z drugiej strony, do bazy jest tylko pięćset kilometrów. Miesiąc temu, a raczej tysiąc lat temu z łatwością przebyłby je w cztery dni. Zresztą jaka to różnica – cztery czy dziesięć. Dokładnie wybrał siedem kilogramów bagażu, ale na jedzeniu nie oszczędzał: dwanaście kilogramów. Cukier, sól, suszone mięso łosia – wszystko, co można było zsyntetyzować w laboratorium albo zdobyć polowaniem. Zapasy jedzenia z bunkra się zepsuły, jak zresztą wszystko inne, oprócz aparatury sarkofagu anabiotycznego, wyposażonej w blok autonaprawy, energetyki opartej na bateriach termoparowych i najprostszych urządzeń.

 Na stole zostawił notatkę, nie śpiesząc się okrążył bunkier, odłączając od zasilania wszystko, oprócz zero-latarni. Zasypał i zamaskował wejście, ukrył łopatę w krzakach. Włożył wielki plecak z oporządzeniem, zaciągnął rzemienie, poskakał na próbę. Nic się nie rusza, nie brzęczy. Rzucił ostatnie spojrzenie na „ojczystą” polanę i skierował się na zachód.

 Wilczy skok: sto metrów biegiem, sto marszem. Jak na zaliczeniu na ziemskim poligonie. Nawet lepiej: tam był duszący upał, a tu, w rzadkim lesie, przyjemny chłodek. Udało mu się z porą roku – sam początek lata. Bardzo szybko wrócił wypracowany na treningach automatyzm. Oczy wybierają drogę, ręka odsuwa gałązkę, głowa wolna. Można myśleć o czymś przyjemnym. Na przykład o regeneracie. Któż inny na pierwszym roku studiów mógł pochwalić się osiągnięciem, które zasługiwało na dyplom, a nawet na dysertację? Nie trzeba biowanien, można używać w warunkach polowych. Trzeba tylko pistoletu do zastrzyków, albo nawet zwykła strzykawka. Na pewno to regenerat pomógł mu wygrać konkurs kandydatów. Wynalazł – czyli ma głowę na karku. A także znakomite przygotowanie fizyczne, znajomość sambo i innych wschodnich sztuk walki. I tak pokonał wszystkich pretendentów do zaszczytnego stanowiska stażysty, czyli – w tłumaczeniu na język potoczny – kogoś pośredniego między robotnikiem niewykwalifikowanym, chłopcem na posyłki i kozłem ofiarnym. Jak dowiedziono obserwacyjnie i doświadczalnie, najwięcej nieprzyjemności przytrafia się właśnie stażystom. „Co może być gorszego niż stażysta w załodze?” – „Meteoryt w silniku? Epidemia na pokładzie? Awaria zero-t?” – „Dwóch stażystów w załodze!”.

 Między drzewami zamajaczył prześwit. Pole, a wzdłuż samego skraju lasu – droga. Dżafar ostrożnie wyjrzał zza krzaka. Po drodze koń ciągnął powoli wóz z dwoma brodaczami i młodą kobietą. Zupełnie jak tysiąc lat temu. Tylko ludzie zrobili się wyżsi. Wtedy mieli po metr pięćdziesiąt – metr pięćdziesiąt pięć, a ci są niewiele niżsi od niego, prawie metr osiemdziesiąt. Odprowadziwszy wzrokiem furę, skręcił nieco w prawo, po czym wrócił do właściwego kierunku. Sto metrów biegiem, sto marszem. Po przejściu około pięćdziesięciu kilometrów zobaczył jeziorko i postanowił nad nim zanocować. Zdjął buty, obejrzał nogi. Stopybolą, ale pęcherzy jeszcze nie ma. Z rozkoszą wszedł do wody, wykąpał się, umył. Poleżał trochę na ciepłym piasku, patrząc w błękitne niebo, po czym zajął się obiadokolacją. Gotowane mięso ze szczawiem i herbata z traw z cukrem. Po niebie płynęły obłoki, które przypominały mu kolumny pojazdów desantowych – takie same grube i bezkształtne. Pół godziny poopalał się, ponownie się wykąpał, dalej się opalał. Było mu bardzo wstyd, że nie ma płetw i maski z regeneratorem tlenu. Ale gumowe płetwy w magazynie stwardniały na kamień, a przy próbie zgięcia rozpadły się na kilka kawałków.

 Pod wieczór pojawiły się komary. Dżafar podniósł się niechętnie, wśród sosen o pięćdziesiąt metrów od brzegu postawił namiot, nadmuchał materac. Ciało bolało z przyjemnego zmęczenia, nie było co robić. Zamknął namiot na zamek błyskawiczny, zabił trzy czy cztery komary, które dostały się do środka, rozciągnął się na materacu i patrzył przez przeźroczysty sufit na coraz ciemniejsze niebo.

**ROZDZIAŁ 2**

Śmieszny, nieprawdaż on był?...

Żartował – nie dożartował,

Wina nie dootworzył,

I nawet nie dokosztował.

W. Wysocki: „Przerwany lot”.

 Dwa najlepsze miesiące spędził z dala od bazy w miejscowej wiosce w towarzystwie socjologa Carlosa Riviery. Stary socjolog miał zajmować się swoją socjologią, a zadanie Dżafara obejmowało: a) Dbanie o bezpieczeństwo; b) Tworzenie i podtrzymywanie autorytetu Riviery; c) Kontakty z młodzieżą; d.) Wykonywanie wszelkich brudnych i nudnych prac, których Carlosowi nie chciało się wykonywać. W praktyce wyglądało to następująco: Riviera siedział od rana do wieczora na tarasie w otoczeniu miejscowej starszyzny, rozmawiał z nimi, obserwował życie wioski, a wieczorami, siedząc przy komputerze, opracowywał materiał. Dżafar, ciągnąc za sobą ogon kilkunastu chłopców, kąpał się, opalał, pomagał chłopom, pracował przy młocie w kuźni. Czasem, na zlecenie Riviery, przeprowadzał wśród młodzieży testy psychologiczne. Wieczorami gotował, mył naczynia, pomagał opracowywać rezultaty testów, studiował ksenopsychologię. Kilka razy razem z Rivierą chodził leczyć chorych. Proces leczenia był śmiesznie prosty. Riviera przykładał do ciała chorego sondę kieszonkowego diagnostyka i udawał badanie lekarskie: mierzył puls, ciśnienie, osłuchiwał płuca i serce, oglądałtęczówkę oka. Potem czytał wskazówki diagnostyka i wyznaczał tok leczenia, Od tej chwili pilnowaniem przebiegu zdrowienia zajmował się już Dżafar. Wzajemne przenikanie kultur szło pełną parą. Po miesiącu młodzież tańczyła już na wieczornicach polkę, starców nie nazywano inaczej jak aksakalami, a samego Rivierę – Mądry Wódz Bosa Głowa. Dżafar nauczył się strzelać z łuku, stawiać sidła na zające, łowić raki, kląć po miejscowemu, orać i jeździć wierzchem. Ale prawdziwy autorytet zyskał, kiedy zatrzymał „Strasznych Leśnych Rozbójników” – czterech chłopów-pogorzelców z odległej wsi, kradnących odłączające się od stada owce. Byli uzbrojeni w pałki i łuki, ale nie wyróżniali się wśród miejscowych ani wzrostem, ani wojowniczością. Usłyszawszy krzyki pastucha, któremu wybili pałką dwa zęby, Dżafar dogonił i rozłożył wszystkich czterech, po czym zabrał im pasy i rozdarł spodnie, żeby zająć ich głowy i ręce trzymaniem odzieży, a nie planami ucieczki. Gdy doprowadził zatrzymanych do wioski, dowiedział się od Riviery, że ich przywódcę powieszą, a każdemu z pozostałych obetną rękę. Po opanowaniu nagłego odruchu wymiotnego przedyskutował z Rivierą swój plan i uzyskawszy jego aprobatę połączył się z bazą. Koordynator jednym uchem wysłuchał niezbyt składnego opowiadania, zapytał Rivierę, czy ten popiera pomysł Dżafara i wydzielił na trzy dni piętnastu stażystów, pięćdziesiąt cyberów i dwa ciężkie śmigłowce.

 Następnego ranka Dżafar, ubrany w śnieżnobiały uniform, podszedł do starszyzny i poprosił o zebranie wszystkich mieszkańców wioski: będzie sądził rozbójników. Oczywiście starcy się oburzyli: taki młokos, jakie prawo ma…

 – Ma – powiedział niezbyt głośno Riviera. Zapadła głęboka cisza, a socjolog kontynuował:– Schwytał ich, więc niech sądzi. Widzicie, ludzie już się zbierają.

 Do tarasu zbliżała się gromada stażystów, chłopców i dziewcząt – wszyscy w śnieżnobiałych uniformach, zgodnie z instrukcją Dżafara. Podszedłszy, z przesadną uprzejmością przywitali się najpierw z Rivierą, potem ze starszyzną.

 – Będą pilnowali, żeby sąd odbył się zgodnie z prawem – wyjaśnił Riviera.

 Na szczęście rozbójnicy nie mieli na sumieniu nic poważniejszego od kradzieży owiec, kilku siniaków i dwóch wybitych zębów. Zgodnie z wcześniej dokonanymi z Rivierą ustaleniami, Dżafar skazał ich na chłostę i potrójne wynagrodzenie poniesionej szkody. Z wyroku byli zadowoleni wszyscy oprócz właściciela wybitych zębów. Wartość swoich zębów oceniał na krowę. Dżafar wysłał go na trzy dni do biowanny, gdzie wyrosły mu nowe zęby.

 Miejscowi specjaliści wychłostali rozbójników prętami wierzbowymi. Każdy dostał po dziesięć razów, które zostawiły krwawe pasy na ich plecach. Po egzekucji Dżafar zagonił chłopów do śmigłowca i razem ze stażystami i cyberami polecieli do ojczystej wioski pogorzelców. Zostały z niej trzy domy. Wszystkich zdolnych do pracy ludzi wygonił z ziemianek i zmobilizował do roboty. Z pomocą cyberów w ciągu dwu i pół dnia i trzech nocy zbudowali około dwudziestu domów, tym razem z zachowaniem zasad bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Potem słaniający się ze zmęczenia, ale bardzo z siebie zadowoleni stażyści i świeżutkie jak rydze cybery wsiedli do śmigłowców i polecieli do bazy. Dżafar chodził w aureoli sławy. A po miesiącu zrozumiał, jak powstają legendy. Trzy doby wytężonej pracy skróciły się do jednej nocy, a czterech chłopów zamieniło się w całą bandę zawziętych zbirów.

 Dżafar nie wiedział, że jego działaniami zainteresowało się kierownictwo bazy. Komendantowi oddziału desantowców rekomendowano przyjrzeć się rokującemu młodzieńcowi.

 Nad głową kłóciły się o coś zawzięcie dwa ptaszki. Dżafar wysunął głowę z namiotu, rozejrzał się. Poranek, wcale nie taki wczesny. Ludzi nie widać, dookoła spokój. Wstał, przeciągnął się z chrzęstem, obszedł namiot dookoła, spróbował stanąć na rękach, ale stracił równowagę i z krzykiem „Uważaj!” runął na plecy. Ż góry spadła mu na pierś kłująca szyszka. Przyjrzał się uważnie, zobaczył wiewiórkę.

 – To nie argument! – zakomunikował jej. – A jeśli wszyscy będą tak robili?

 Wiewiórka uciekła. Popatrzył w ślad za nią, podniósł się sprężyście i pobiegł się kąpać. Zjadł szybko śniadanie, ubrał się, zebrał rzeczy, ustalił kierunek i ruszył w drogę. Bór sosnowy zamienił się w las liściasty, gęsty i podmokły. Nieoczekiwanie las się skończył i Dżafar zobaczył rzekę o szerokości na oko siedemdziesięciu metrów, której brzegiem szła szeroka, wydeptana droga. Zachwycony swoją pomysłowością wyjął największy plastikowy pakiet, włożył do niego bagaż, nadmuchał i mocno zawiązał linką szyjkę. Potem rozebrał się, sklął się w duchu od potomka najgłupszej małpy i spróbował rozwiązać linkę. Węzeł nie chciał się rozwiązać. Wobec tego złożył ubranie w drugi pakiet i przypiął go sobie pasem najpierw do pleców, a nieco pomyślawszy, przesunął go na biodra. Spojrzał w prawo, w lewo. Nikogo.Wszedł do zimnej wody i popłynął, pchając przed sobą nadmuchany pakiet.

 Z lasu pojawiło się trzech jeźdźców. Zobaczywszy Dżafara, krzyknęli, dali koniom ostrogi i pogalopowali ku brzegowi. Jeden z nich wyjął trąbkę i wygrał na niej dwa długie, przenikliwe, niemuzykalne dźwięki, po czym zaczął coś krzyczeć. Dżafar obejrzał się, przysłuchał się. Połowy słów nie zrozumiał, ale sens był jasny: nakazywali powrót.

 – Wybaczcie, chłopcy, nie mam teraz czasu – wymamrotał i przyśpieszył. Strzała z kuszy z sykiem wbiła się w wodę metr przed nim. Obrócił się na plecy i popłynął dalej, ukryty pod pakietem z rzeczami. Był już na środku rzeki. Druga strzała wbiła się w nadmuchiwany pakiet. W ciągu dwu sekund pakiet stracił pływalność i pociągnął go na dno.

 – E-e, tak się nie umawialiśmy, do cholery! –zaklął Dżafar, wyjmując strzałą i próbując ścisnąć dziurę palcami. Ale plastik się rozdarł i piętnaście kilo zapasów poszło w głąb.

 „Ciekawe, co powiedziałby na to Grom?” – pomyślał Dżafar, zorientował się pod wodą według słońca i popłynął ku brzegowi. Na płyciźnie na moment wynurzył głowę z wody, wydech, wdech i znowu zanurzenie. Ułamek sekundy później trzy strzały wbiły się w wodę. Wyskoczył na brzeg, i zygzakami przemknął kilkanaście metrów do krzaków. Wbiegł do lasu, przebiegł może ze sto metrów, zatrzymał się, odpiął pakiet z odzieżą, szybko się ubrał.

 – Jestem Grom. Co robię? – zapytał sam siebie, pochylił się i pobiegł z powrotem nad brzeg rzeki. Ukrył się za rozłożystym krzakiem i ostrożnie wyjrzał. Do trzech jeźdźców przyłączyło się jeszcze dwóch, jeden w kolczudze, jak tamci, drugi w skórzanej kurtce. „Oficer – pomyślał Dżafar – a ci w kolczugach to żołnierze”. Żołnierze coś z ożywieniem mówili, wskazując na wodę i przeciwległy brzeg. Przybysz w kolczudze zszedł z konia i poszedł wzdłuż brzegu, badając ślady. Zrobił przeczący gest, a pozostali podeszli do niego. Tropiciel, jak ochrzcił go Dżafar, wskazał na ślady, po czym przeszedł raz jeszcze wzdłuż nich, udając mocno kulawego. Wszyscy się roześmiali. Jednemu z żołnierzy spuścili hełm na oczy, poszturchali go przyjacielsko i popchnęli na sam brzeg.

 – Hej, chłopie – zawołał ten, złożywszy dłonie w trąbkę. – Wybacz! Zaszła pomyłka!

 – Zasrańcy! – wycedził gniewnie Dżafar i zaczął obliczać straty. Sól, cukier – kryska. Mięso też utonęło. No cóż, mięso biega naokoło, ale cukier… Skończyło się słodkie życie. Toporekpolowy. Pal go licho, ma nóż. Latarka, akumulator… Infralornetka! Tej naprawdę szkoda. Ani latarki, ani infralornetki. „Teraz jestem w nocy ślepy” - pomyślał. – „Optyki na podczerwień tu jeszcze nie produkują”. Co pozostało? Ubranie, które miał na sobie i to, co było w jego kieszeniach: w największej namiot i materac, w mniejszych nóż, sznurek, mała butelka, zapalniczka i proca. Można żyć, ale bez komfortu. Koniec przyjemności! Cóż, kto ma miedzianą tarczę, ten ma miedzianą głowę, jak mawiał wielki i mądry Hodża Nesreddin.

 Wieczorem, przed snem, Dżafar przeszedł się boso po piaszczystymbrzegu strumienia, potem jeszcze raz, kulejąc na prawą nogę w parodii Tropiciela. Stanął na czworakach i uważnie obejrzał oba łańcuchy śladów. Dla kontroli przeszedł się jeszcze raz, tym razem kulejąc na lewą nogę. Po pięciu minutach, strząsając z kolan piasek, mruknął:

 – Tropiciel ze mnie do chrzanu – i poszedł spać.

 Ósmego dnia Dżafar odnalazł główną bazę. Cóż, minęło tysiąc lat, a góry też nie są wieczne. Ale co innego wiedzieć to w teorii, a zupełnie co innego zobaczyć na własne oczy. Olbrzymia, nieprzystępnaskała, w której mieściła się baza, pękła na pół i połowa runęła w dół, gdzie rozsypała się jak domek z piasku. Było to kilka wieków temu. W trzystumetrowej pionowej ścianie ziała ciemna prostokątna dziura – pęknięcie przecięło jakieś pomieszczenie. Dżafar spróbował przypomnieć sobie plan bazy. Nie udało mu się. Przed oczami miał szerokie, gwarne, jasno oświetlone korytarze i sale, ale ich wzajemne rozmieszczenie uciekało. Poszedł wzdłuż ściany. Trzysta metrów dalej znalazł szczelinę, która, to zwężając się, to rozszerzając, dochodziła do samej góry. Wierzchołek skały był płaski i służył jako lądowisko. Stamtąd można było łatwo dostać się na bazę windą osobową lub towarową albo po schodach. Windy były oczywiście nieczynne, ale ze schodami nic się nie mogło stać.

 Opierając się o skałę plecami i dłońmi z jednej strony, a nogami z drugiej, Dżafar wspiął się na wysokość około dziesięciu metrów. Pozostało co najmniej dwadzieścia pięć razy tyle.

 – Jeśli spadniesz w przepaść, spójrz w prawo – tam jest naprawdę wspaniały widok – wymamrotał i zszedł.Przed tak poważnym przedsięwzięciem trzeba było odpocząć i poczynić odpowiednie przygotowania.

 Nadmuchał namiot i z obrzydzeniem spojrzał na kaczkę pieczoną w ognisku. Zimne, tłuste, miejscami przypalone, a miejscami prawie surowe mięso, w dodatku bez soli, może być dobre po tygodniu głodowania, ale nie codziennie. Trzy dni temu stracił cały dzień na przygotowanie zapasów i teraz jadł tylko pieczone kaczki. W pakiecie miał jeszcze trzy.

 – Jeśli zamiast „smaczne” zacząłeś mówić „jadalne”, to znak, że się zestarzałeś – powiedział i wbił zęby w mięso. W ostatnich dniach coraz więcej rozmawiał sam ze sobą. Nie, żeby mu to szczególnie pomagało, ale przytępiało uczucie osamotnienia. Zjadł i zaczął przygotowania do wspinaczki. Ściął dwie brzózki i zrobił z nich mocne trzymetrowe żerdzie, a z reszty wyciął kilka trzydziestocentymetrowych kołeczków.

 Następnego ranka rozpalił ognisko, podpiekł uprzykrzoną do obrzydzenia kaczkę, popił wodą ze źródła. Ze wszystkiego, co miał, zrobił pakiet, zaniósł go pod szczelinę. Rozwinął cienki jak szpagat, ale niezwykle mocny sznurek i złożył go podwójnie. Środek przywiązał do pasa, jednym końcem pakiet, drugim żerdzie. Odciętym kawałkiem związał kołeczki i powiesił je sobie u pasa. Po chwili namysłu przywiązał do pasa nóż. Z przyzwyczajenia pomyślał: „Co zrobiłby Grom?”. Grom popatrzył na niebo i powiedział:

 – Jeśli jednak będzie deszcz, kamień zrobi się śliski.

 Dżafar postawił nogę na ścianie szczeliny i zaczął się wspinać. Pierwsze dwadzieścia metrów poszło zadziwiająco łatwo. Potem szczelina nieco się zwęziła. Na wysokości około osiemdziesięciu metrów mógł odpocząć. Była tam prostopadła szczelina, do której wsunął kołeczki, robiąc z nich wąskie i niewygodne siedzenie. Po kwadransie odpoczynku spojrzał w dół, potem w górę – tam było co najmniej dwukrotnie dalej. Westchnął, rozkraczył się w szczelinie, wyrwał kołeczki – dwa spadły – związał je i kontynuował wspinaczkę. Na wysokości około stu pięćdziesięciu metrów udało mu się porządnie odpocząć. Odłamek skały dokładnie utkwił w zwężającej się szczelinie. Można było na nim usiąść, oparłszy się plecami o ścianę, albo położyć się, podginając bądź zadzierając do góry zmęczone nogi. Dżafar odpoczywał dwie godziny, potem przyciągnął pakiet, zjadł pół tuszki kaczki, popił wodą z butelki, podrzemał z godzinkę, żeby lepiej przyswoić obiad, rozprostował nogi i ruszył dalej w górę. Szczelina się rozszerzała. Kiedy do szczytu pozostało mu niej niż dwadzieścia metrów, zrozumiał, że za chwilę odpadnie. Wbił nóż w skałę po samą rączkę i rzeczywiście odpadł. Ból uderzył go po brzuchu. Dżafar zawisł na cienkiej lince, którą przywiązał nóż do pasa.

 – Wyprzedziłem kostuchę o kilka sekund – mruknął. – Trzeba umocować się i odpocząć.

 Umocować się nie było ani czym, ani do czego, więc podsunął pod rzemień kołeczki. Ulżyło. Wcześniej wisieć było potwornie boleśnie, teraz zrobiło się tylko boleśnie. Po chwili na czoło spadła pierwsza kropla deszczu.

 – Co ty robisz, suko?! – wykrzyknął Dżafar, wyrwał ze szczeliny nóż i rzucił się w górę ostatnim, decydującym zrywem. Dwa razy się ześlizgiwał, obtarł dłonie do krwi. Szczelina ciągle się rozszerzała. Kilka ostatnich metrów czołgał się do góry bokiem, opierając się o skałę podeszwami butów i tyłem głowy, wykrzykując bezsensowne przekleństwa i znacząc skałę krwawymi odciskami dłoni.

 Dżafar leżał na szczycie. Jego ciało trzęsło się od szlochu. Ulewa siekła po całym ciele, mieszając się z krwią ze zdartych dłoni.

 – Doszedłem, słyszysz, Grom, doszedłem! – mamrotał, łapiąc wargami krople deszczu. – Teraz sobie poradzimy, doszedłem!

Z wysiłkiem obrócił się na brzuch, wstał zataczając się, ściągnął to, co zostało z jego kurtki i koszuli, i znów położył się, wystawiając na deszcz starte do krwi plecy.

 Deszcz skończył się, słońce chyliło się ku horyzontowi. Dżafar ni to obudził się, ni to odzyskał przytomność. Usiadł z jękiem, wpatrzył się w dwa sznurki, przywiązane dopasai znikające w dole, nic nie rozumiejąc. Po chwili przypomniał sobie i wciągnął na górę najpierw pakiet z rzeczami, potem żerdzie. Obejrzał placyk. Nie było ani windy osobowej, ani towarowej, ani pawilonu, w którym zaczynały się schody.

 – Jakże to tak? – zmieszany zapytał głośno, rozglądając się. – To niemożliwe!

 I nagle zrozumiał: to wszystko było na tej części skały, która runęła w dół. Powoli obszedł placyk dookoła, potem obejrzał każdy jego metr. Machinalnie zanotował w pamięci kilka kałuż z wodą dostatecznie czystą, by nadawała się do picia. „Grom by na moim miejscu…” – pomyślał i wyobraził sobie krępego człowieka na krawędzi skały. Myślowe konsultacje z desantowcem kosmicznym stały się już jego przyzwyczajeniem, jego drugą naturą.

 – Prawidłowo sformułuj zadanie, a w połowie przypadków zobaczysz odpowiedź – poradził mu Grom.

 „Chcę dostać się na bazę” – pomyślał Dżafar – Do bazy prowadziły schody. Schodów nie ma. A może i bazy nie ma? Zobaczyłem w skale dziurę i pomyślałem, że jest… Ale ze mnie bałwan! Przecież wystarczy spuścić się tam po sznurku! Czyżbym głupiał? Czyżby już zaczynały się te nieodwracalne zmiany w mózgu? W takim razie trzeba się śpieszyć. Jak to mawiał Kamil: «Śpieszyć się – to nie znaczy działać na łapu-capu. To znaczy nie tracić czasu nadaremnie». Jutro się spuszczę, dzisiaj będę lizał rany”.

 Następnego dnia Dżafar uważnie obejrzał każdy metr cienkiego, półtoramilimetrowego sznurka, rozciął nożem żerdzie na części, związał je w coś w rodzaju kołyski i zjechał do prostokątnego otworu w ścianie. Przygotowanie kołyski z podnośnikiem zajęło ponad trzy godziny, ale sam zjazd mniej niż pięć minut. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrobiło mu się zimno i umarła wszelka nadzieja. Pomieszczenie, przez które baza się przełamała, było hangarem. Nie istniała ani centrala energetyczna, ani aparatura zero-t. Ocalały strefy mieszkalna i naukowa, cała reszta runęła, kiedy pękła góra, została zmiażdżona i pochowana pod dziesiątkami tysięcy ton kamiennego kruszywa. Dżafar zrozpaczony chodził po ciemnych salach, świecąc latarką, znalezioną w jednej z nich na półce i nie wiadomo po co dotykając wszystkich włączników. Baza była teraz tak samo martwajak jego bunkier, a nawet bardziej, W bunkrze pracowała aparatura sarkofagu, system energetyczny, słabiutka zero-latarnia wysyłała sygnały – a tu kilka wieków temu zanikła ostatnia iskierka elektronicznego pseudożycia.

 – Sam. Zostałem zupełnie sam. Na zawsze. – powiedział Dżafar. Ściany odpowiedziały mu niezgranym echem. Usiadł na podłodze, oparł się plecami o zimny plastik ściany. W głowie miał czarną, zimną pustkę, w kręgosłupie też czuł zimno, tylko serce bije głucho i niepotrzebnie. Po co? W tym świecie on nie ma ani przyjaciół, ani wrogów. Wszyscy przyjaciele umarli tysiąc lat temu. Komu tu potrzebna inżynieria genetyczna? Komu tu potrzebny daleki kosmos? Kto tu cokolwiek wie o kosmosie, dzikusy z kuszami? Po co tu jestem? Co mam robić? Co mam robić, Grom?

 Grom nie odpowiedział.

 „Porzuciłeś mnie” – rozmyślał Dżafar. – „Oczywiście, przecież zostałeś tam, na Ziemi. No cóż, jestem w skrajnej sytuacji. Co robić w skrajnej sytuacji to ja wiem. Muszę wyjaśnić, kim jestem. Otworzyć podświadomość, zlać w jedno rozum i instynkty, zrozumieć siebie samego. Wtedy będzie jasne, co robić. Trzeba albo być kompletnym idiotą albo stać na skraju przepaści, żeby chcieć zaglądać do własnej podświadomości. Ja pasuję do obu tych kategorii.Będzie mnie to kosztowało stratę wszelkich iluzji i kilku lat życia. Dlatego, że podświadomość mamy po zwierzętach i ona ma za zadanie zabezpieczyć przeżycie organizmu zwierzęcymi metodami – zębami i pazurami, odpychając słabych i zabijając obce dzieci, żeby urwać kawałek dla swoich. Ale właśnie tam, w podświadomości, mieszczą się korzenie tego, co nazywamy intelektem, tylko tam można zamienić go w instrument o niewyobrażalnej sile. Tam też leży klucz do skrzyni ze skarbami – do pamięci. Można przypomnieć sobie słowo, wypowiedziane dziesięć lat temu przez przypadkowego przechodnia albo stronę książki sąsiada, na którą na ułamek sekundy padło twoje spojrzenie – a także wszystkie twoje czyny, o których starannie próbowałeś zapomnieć całe życie. I to przypomnieć sobie nie zwyczajnie, a w tej zwierzęcej interpretacji, którą nada im podświadomość. Stać się na godzinę Geniuszem – i zwierzęciem. Drapieżnym zwierzęciem, którego jedyną zdobyczą jesteś ty sam. I aż do śmierci nosić w duszy ślady jego pazurów”.

 Dżafar wstał i pewnym krokiem poszedł do montażowni. W jego działaniach pojawiła się pewność robota. Przeszukawszy kilka szaf, znalazł metalową kulkę, wypolerowaną do połysku. Z jakiegoś motorku wyłamał czarny ferrytowy pierścień magnesu, rozmotał jego uzwojenie, otrzymując kilka metrów cieniutkiej, prawie niewidzialnej miedzianej nici. Znalazł składaną drabinkę, przywiązał nitkę do nieczynnej lampy na suficie, na nitce powiesił magnes z przyciśniętą do niego kulką. Nie wiadomo po co odniósł drabinkę na miejsce. Krytycznie przyjrzał się swojemu dziełu. Błyszcząca kulka powoli kołysała się metr nad podłogą. Zdjął buty, kurtkę, wyjął z kieszeni wszystkie metalowe przedmioty, ze spodni wyciągnął pasek z metalową klamerką. Po co trzeba było pozbywać się metali, Dżafar nie wiedział, ale tak zawsze robił Widgay. Widgay Sidhartha, którego Dżafar zawsze nazywał sensei, nigdy guru, jak pozostali uczniowie. Usiadł tyłem do wejścia. Spróbował przybrać pozycję lotosu, ale nie zdołał. Pierwszy raz po wyjściu z anabiozy zobaczył, że nie jest już taki sam, jak dawniej. Westchnął i po prostu usiadł po turecku.

 „Trzeba sformułować pytania” – pomyślał. – „Po pierwsze, chcę się dowiedzieć, co właściwie się stało, po drugie, co mam dalej robić. Może coś jeszcze? Nie, to mi zupełnie wystarczy. Widgay mówił: «Zanim zadasz pytanie, zastanów się, czy chcesz poznać na nie odpowiedź». Tylko te dwa pytania – i szybko wracać. Nic zbędnego. Co się stało, co mam robić. Koniec”.

 Dżafar podciągnął kulkę do siebie i puścił. Kulka powoli popłynęła w półmrok pomieszczenia. Potem – do tyłu. Jasny prostokąt z ciemną kreseczką siedzącego człowieka na jego boku zmniejszył się do punktu, potem znowu urósł. Dżafar skoncentrował spojrzenie na swoim własnym odbiciu.

 „Om mani padme hum, om mani padme hum, jestem spokojny, jestem absolutnie spokojny, nie ma mnie, są dwa pytania: co się stało, co robić, nic więcej, od razu powrót” – wmuszał sam sobie. Jasny prostokąt zmalał do punktu, szybko urósł, zamarł, zmalałdo punktu, zaczął rosnąć, zamarł…

**ROZDZIAŁ 3**

Chciał znać wszystkie „od” i „do”,

Lecz nie dotarł tam, nie do…

Z głową swoją niedobraną

Do głębi się nie dokopał

I tej, która była sama

Nie dokochał, nie dokochał.

W. Wysocki” „Przerwany lot”.

 – Kocie, to ty? Dawno chciałem cię zapytać, dlaczego nazywają cię Kotem?

 – Właściwie to nie Kot, tylko Śnieżna Pantera, Irbis. Ale Kot jest krócej – odrzekł za Kota Moduł, błysnąwszy białymi zębami w czarnej jak węgiel twarzy.

 – Na kogo czekamy – zapytał Grom.

 – Na Kamila? – podsunął niepewnie Dżafar.

 – Kto czeka na Kamila? Czy ja choć raz kazałem na siebie czekać?

 – Młody człowiek chce wiedzieć, co się stało – powiedział Kot.

 – To on jeszcze nie wie? I nie nazywajcie go młodym człowiekiem. Jest starszy od nas wszystkich razem wziętych.

 – Po co ty go tak? – zapytał Grom.

 – No dobrze, podejdźmy z drugiej strony. Najstarszy jest ten, któremu pozostało najmniej życia. Ile mu pozostało? Bez współczesnej medycyny – dziesięć do piętnastu lat. Z nią – może do czterdziestu. Każdemu z nas dwa razy więcej.

 – Jeśli nie zginiemy.

 – To się nie liczy. Zresztą on i na to ma kilka razy więcej szans. Choćby ta przedwczorajsza, w czasie podejścia. Następna będzie jutro. W czasie tego krótkiego zejścia sznurek przetarł mu się o kamień. Jutro zostanie z niego worek kości.

 – Kamilu!

 – Co, Grom? To, co mówię, jest okrutne? Ale to prawda, a on chce poznać prawdę. A zresztą, może mu się i uda. Jest taka kategoria ludzi, którym się zawsze udaje. Wiesz, jak się ona nazywa, Dżafar?

 – Chcesz powiedzieć, że jestem głupcem? Ale ja już wypadłem z tej kategorii. Nie udało mi się, dlatego tu utknąłem.

 – Ciekawy argument. Myślałem już, że zaczniesz się chwalić swoimi osiągnięciami, na przykład regeneratem.

 – A czemuż by nie?

 – Opowiedz mu, Kocie.

 – Może lepiej nie? No dobrze. Dżafar, skrzyżowałeś skaczące geny z produktem przemysłu hormonalnego. Jedno i drugie znane jest już od stu lat. Jak myślisz, dlaczego byłeś pierwszy? Bo żadnemu specjaliście nie mógł przyjść do głowy tak niedorzeczny pomysł! Zmienić genom człowieka to już nie jest farmakologia, tylko eugenika. Zwyczajnie ci się udało, że stworzony przez ciebie kawałek DNA okazał się tak obcy człowiekowi, iż był odrzucany przez mechanizmy obronne komórki i całkowicie rozkładał się w ciągu dwu tygodni. Nie wiedziałeś o tym? Aha, uważałeś za wadę. A dla innych to była jedyna zaleta. Właśnie krótkotrwałość działania uważali za twój genialny wynalazek. Grubi i Łysi w białych fartuchach skakali z zachwytu, oglądając twoją molekułę, ulepioną tak skandalicznie, że nawet komórka uważała ją za obcą. Ale przegapili jeden niebezpieczny szczegół. Twoja potwora znakomicie przyjmowała się w komórkach z połową zestawu chromosomów. Tak, tak, w spermatozoidach i komórkach jajowych. I nawet nadawała im szczególną żywotność.

 – Zatrzymaj się, Kocie, on już wszystko zrozumiał.

 – Jeszcze nie. Poza tym powinien był to zrozumieć WTEDY, a nie teraz. Można byłoby wybaczyć głupotę, gdyby przez nią nie cierpieli inni.

 – Kto? – zapytał Dżafar.

 – Sam pomyśl. Kiedy twoim wykastrowanym szczurkom laboratoryjnym odrosły odcięte ogonki razem z męskimi przydatkami, co zrobiłeś? Wstrzyknąłeś sobie niesprawdzony preparat. A następnego dnia znalazłeś się w łóżku Fatimy. Tak, ona była doświadczoną suczką, a ty kompletnym żółtodziobem. Tak, sama dopraszała się o to od dawna. A ty czułeś się Bohaterem i postanowiłeś utrwalić swój sukces zwycięstwem nad kobietą.Utrwaliłeś. Fatima, pomimo spirali, zaszła w ciążę. Twoje stymulowane spermatozoidy przeszły przez spiralę jakby jej nie było. Miałeś wtedy podwójne szczęście. Po pierwsze, Fatima szukała w łóżku rozrywki, a nie dziecka, a po drugie, przy wczesnej aborcji nikt nie sprawdza genomu płodu. Gdyby nie to, znalazłbyś się na ławie oskarżonych za niesankcjonowane doświadczenia eugeniczne, i to bez zgody matki. Tak, Fatima zrobiła aborcję, która okazała się tak trudna, że potem dwie doby leżała w biowannie. Jeśli prostytutka nagle staje się dziewicą, to tylko w rezultacie komplikacji aborcyjnych, nie pomyślałeś o tym? Aha, ty byłeś wtedy przejęty czym innym. Twoje doświadczenia były wówczas w pełnym toku. Po raz drugi obdarzyłeś Fatimę dzieckiem, mimo przedsięwzięcia wszelkich środków ostrożności. I znowu pomogła tylko aborcja. Po tym ona już bała się ciebie jak ognia. Myślisz, że przypadkiem wyjechała na Księżyc?

 – Nie wiedziałem – powiedział czerwony po uszy Dżafar.

 Kamil się roześmiał.

 – Przestań! – ryknął Grom.

 – Przecież to różowy romantyk! Dlaczego go bronisz? – zapytał Moduł.

 – Potrzebuje pomocy.

 – To różowy romantyk! Dla takich nie ma miejsca w dalekim kosmosie. Przez nich giną ludzie! Prawdziwi kosmonauci.

 – Już jest w dalekim kosmosie. I potrzebuje pomocy. Sam byłem różowym romantykiem.
 – Ty? Grom – romantykiem? Cuda!

 – Tak. Ja, Grom, byłem romantykiem. Zaczynałem u Farmera. Umiał leczyć romantyków.

 – I zginął, wyciągając dwóch romantyków z Elvisa. Ale my teraz nie mówimy o nim, tylko o Dżafarze. Po co on poszedł w daleki kosmos?

 – A czy to ma teraz jakieś znaczenie?

 – Ma – powiedział Kamil.– Przecież pyta nas, co ma robić dalej. Czyż nie tak, Dżafar? Okazałeś się niezłym oszustem. Oszukałeś wszystkich, nawet siebie samego. Na Ziemi do dziś uważają cię za Bohatera. Jedynego, który nie bał się pozostać wbrew rozkazowi, żeby kontynuować zaczęte dzieło. Twój komputerowy autoodpowiadacz długo zbijał z tropu poszukiwaczy-ewakuantów. Przecież zaprogramowałeś go tak, żeby mógł podtrzymywać prostą rozmowę w potrzebnej tonacji emocjonalnej. Gdy ewakuanci zrozumieli, że sprawa jest nieczysta, nie było już czasu na przeszukiwanie lasów; poza tym myśleli, że celowo postanowiłeś zostać i dlatego przedsięwziąłeś wszelkie środki, żeby ciebie nie znaleziono. Nikomu nie przyszło do głowy, że naruszyłeś ustawę PRZED rozkazem ewakuacji. Już tylko za to wyleciałbyś z dalekiego kosmosu na zawsze. A co zrobiłeś, kiedy odkryłeś, że zostałeś sam? Ze strachu narobiłeś w spodnie i położyłeś się w długą anabiozę.

 – Poczekaj, Kamilu, nie tak szybko. On po prostu nie zorientował się w sytuacji.

 – Nie zorientował się? W czym? Że w kosmosie trzeba pracować? Że tu nie ma nianiek? Przecież on po prostu biernie czekał na pomoc. Pracę miał w nosie! On nie wie jeszcze, co to znaczy pracować! Myślisz, że był mu potrzebny daleki kosmos? Nie, jemu potrzebne były naszywki na rękawach, zachwyt dziewczynek, a nie daleki kosmos! Do tej pory nie zrozumiał, że kosmos czasem zabija! Powiedz, czy ty na jego miejscu też położyłbyś się w anabiozę? Nie. Gdybyś pozostał sam, pracowałbyś za dziesięciu. Czyż nie tak?

 – Tak. Wszystko się zgadza. Ale ja przeszedłem Forsyth, a potem trzy lata spędziłem na Pandorze, zanim trafiłem do twojej grupy. A dla niego to pierwsza wyprawa. Chcesz oceniać zielonego stażystę według kryteriów desantowców?

 – Ja? Ja nic nie chcę. Umarłem dziewięćset lat temu. To on uważa się za desantowca. Jak to szło? „Co może być gorszego niż stażysta w załodze?...”.

 – Nie o tym mówimy.

 – Czyżby? Dżafar, mówimy o tym, czy mam ci wszystko włożyć łopatą do głowy? Masz trzy warianty. Pierwszy: odtworzyć zasoby sarkofagu i położyć się w anabiozę na dalszy tysiąc lat – w dziesięciu etapach po sto, jeśli nie chcesz zestarzeć się później szybko do reszty. Jak odtworzyć? Bardzo prosto. Naprawić jednego z cyberów i rozkazać mu: „Ano, chłopcze, zajmij się tym żelastwem”. Jak naprawić? Przecież masz ich tam cztery plus cały skład części zapasowych. Z czterech zrobić jednego – to zadanie dla pierwszaka, nie dla stażysty. Drugi: wśród tego chłamu w składach bazy są także ze dwie-trzy tony chemicznie czystego złota. Przetapiasz je w sztabki, schodzisz w dolinę do ludzi i żyjesz iście po królewsku. Nie czerwień się, to nie jest kradzież. Jesteś jedynym prawnym spadkobiercą wszystkiego, co jest na bazie. Jeśli mało ci będzie złota, możesz uruchomić produkcję sztucznych diamentów, po kilogramie każdy. Wiesz przecież, jak to się robi. Moim zdaniem, to wariant w sam raz dla ciebie, pozera i miłośnika tanich teatralnych efektów. Będzie nowym hrabią Monte Christo. Trzeci: kontynuujesz pracę, zaczętą przez nas. Właściwie nawet nie kontynuujesz, gdyż czas, kiedy można byłoby kontynuować, dawno już minął, a zaczynasz od zera. Sam, bez pomocników. Ci, którzy mogliby nimi zostać, umarli, kiedy leżałeś w anabiozie. Będziesz musiał wykształcić nowych. I masz na to najwyżej trzydzieści lat, więcej nie pociągniesz. Nie sądzę, żebyś sobie z tym poradził. To nie jest robota dla szczeniaka. – Dżafarowi wydawało się, że Kamil skończył, ale ten mówił dalej: – Jeszcze jedno. Nie zapominaj, że to nie jest twój świat. Będziesz musiał żyć według jego praw, a one bardzo różnią się od tych, do których przywykłeś. Humanizmu nikt tu nie praktykuje, życie jest niewiele warte. Którykolwiek wariant wybierzesz, prędzej czy później znajdzie się ktoś, kto będzie chciał cię zabić. Jeśli zaczniesz się zastanawiać, czy on ma rację, czy nie, na pewno cię zabije. Zrozumiałeś mnie?

 – To znaczy, że mam go zabić pierwszy?

 – Tego nie powiedziałem. Możesz na przykład uciec. Najważniejsze to nie stać jak pień. Tak więc odpowiedzieliśmy na twoje pytania. Do dalekiego kosmosu trafiłeś przez pomyłkę, a utkwiłeś w nim przez własną głupotę. Masz teraz przed sobą trzy drogi. Wskazałem ci je, a którą wybierzesz –to już twoja sprawa. Chodźmy, chłopcy.

 – Znowu odchodzicie. Jak wtedy… Ale ja pytałem o coś jeszcze.

 Desantowcy się zatrzymali.

 – Chcesz zapytać, dlaczego WTEDY odeszliśmy? To była pomyłka. Tak, tak, wilki dalekiego kosmosu też się czasami mylą. Nikt zresztą nie myślał, że odchodzimy na zawsze. Liczyliśmy, że na miesiąc, najwyżej na rok. Był rozkaz zero-zero-zero, był straszny pośpiech i całkowity brak informacji o przyczynach tego pośpiechu.

 – Ale co się stało z zero-t?

 – Dżafar, my jesteśmy tylko twoją pamięcią, a ty nigdy nie interesowałeś się zero-fizyką. Dlatego nie oczekuj od nas pełnej i ścisłej odpowiedzi. Zacznijmy od podstaw. Zostawmy na boku fizykę i matematykę, będziemy mówili na poziomie praktycznym. Sam wielokrotnie korzystałeś z zero-t. Wchodzisz na jednej stacji, wychodzisz na drugiej. Przemieszczenie jest natychmiastowe, niezależnie od odległości i prędkości światła. Od stacji A do B. W rzeczywistości mogliby cię wysadzić w każdym punkcie na prostej łączącej te stacje. Ale to nikomu nie jest potrzebne. Jeśli jedziesz z Moskwy do Chicago, to nie ma sensu wysiadać w pół drogi – znalazłbyś się w środku kuli ziemskiej. Weźmy trzy stacje. Przez trzy punkty można przeprowadzić płaszczyznę, więc możesz trafić do każdego punktu płaszczyzny wewnątrz trójkąta wyznaczonego przez te stacje. Cztery stacje tworzą czworościan – bryłę geometryczną o określonej objętości – i już możesz przemieścić się z każdego punktu do innego, ale tylko w granicach owego czworościanu. Teraz trochę podstawowych wiadomości o oswajaniu kosmosu. Wybieramy jakąś nikomu niepotrzebną planetę, kulkę wodoru, niedoszłą gwiazdę typu Jowisza i koło niej budujemy statek kosmiczny. Na statek ładujemy kupę automatyki i około dziesięciu komór zero-t, głównie odbiorczych. Potem wysyłamy go w Niedostępny Kosmos. Na zwykłych jądrowych silnikach wodorowych. Od czasu do czasu przerzucamy na starek porcje wodoru, a raczej deuteru, z atmosfery planety. Wreszcie statek osiąga wybraną gwiazdę i wchodzi na jej orbitę. Przez zero-t na jego pokład przesyłamy strumień cyberów i materiałów konstrukcyjnych, budujemy stacjonarne zero-t. Spełniwszy swoje zadanie, statek staje się radioaktywnym trupem, który zrzucamy na gwiazdę. Koło się zamyka i jeszcze jeden sektor Kosmosu z Niedostępnego staje się do prostu Daleki.

 – Ja to wszystko wiem. Nie wiem tylko, co to ma wspólnego z równoległym continuum.

 – Ile wymiarów ma nasze continuum?

 – Trzy. Czwartym jest czas.

 – Zostawmy czas, on nas w tej chwili nie interesuje. Uważa się, że w pierwszych sekundach po Wielkim Wybuchu było dwanaście wymiarów, a potem dziewięć z nich albo się zwinęło, albo, według innej hipotezy, nie zwinęły się, tylko stracono dostęp do nich, kiedy gęstość materii we Wszechświecie spadła poniżej określonego poziomu. Zauważyć różnicę można tylko na poziomie atomowym albo w pobliżu czarnej dziury, gdzie zniekształceniu ulega nie tylko metryka naszej trójwymiarowej przestrzeni, ale i owej dwunastowymiarowej. Tak więc jeden z naszych statków około trzydzieści lat przed twoimi narodzinami omal nie wpadł do czarnej dziury. Przedsięwzięto gigantyczne wysiłki, żeby go wyciągnąć. Krążył po spiralnej orbicie zapadając się coraz głębiej i głębiej w ten gigantyczny lej, a na jego pokład nieprzerwanym strumieniem szła technika i materiały. W rekordowo krótkim czasie zdołano zmontować najpotężniejsze w historii ludzkości silniki. Operacja trwała około miesiąca, przez ten czas silniki statku dostały mniej więcej tyle deuteru, ile zawierają go wszystkie oceany Ziemi. W końcu statek wyciągnięto. Zaczęły się jednak dziwne pomyłki przy próbach określenia jego współrzędnych. Uciekał od wszystkich zero-latarni naraz. Wprawdzie taki efekt nie utrzymał się długo, ale różnice we wskazaniach pozostały. Postanowiono skierować statek ku Ziemi. Wprowadzono go na orbitę wokół Słońca, zbudowano bazę zero-t, ale zwykłe, nieoparte na zero-t przyrządy nie mogły znaleźć ani samego statku, ani bazy. Wysłano więc na bazę ekspedycję. Jak na pewno już się domyśliłeś, ekspedycja odkryła ten świat. Bardzo podobny do naszego, ale opóźniony w rozwoju o około tysiąc lat. Statek zaopatrzono w deuter przy miejscowym Jowiszu i skierowano ku najbliższej gwieździe posiadającej planetę typu Ziemi. Po pierwsze, szkoda było zrzucać na Słońce statek z tak potężnym silnikiem, po drugie dla porównawczego zbadania równoległych continuów jeden system gwiezdny to za mało.

 – Więc co właściwie stało się ze statkiem?

 – Przesunął się trochę po osi czwartego wymiaru, po czym powrócił do trójwymiarowego świata, ale nie do naszego, tylko tamtego, równoległego.

 – Nie zrozumiałem.

 – Wyjaśnienie dla tępaków. Analogia dwuwymiarowa. Stronice książki. Każda stronica to świat dwuwymiarowy. Światy układają się równolegle. Jeśli wyjdziesz z takiego płaskiego świata w trzeci wymiar i przesuniesz się w nim o ułamek milimetra, trafisz na inną stronicę – czyli do innego, równoległego, świata. Zrozumiałeś?

 – Zrozumiałem. Ale dlaczego nie mogliście tu później trafić… i mnie wyciągnąć?

 – A tu już zaczyna się pole dla swobodnej fantazji. Pierwsze nasze wyjście do świata równoległego było przypadkowe. Pamiętasz, co mówiłem o continuum dwunastowymiarowym? Nasz świat ma trzy wymiary. W którym z dziewięciu pozostałych przesunął się statek, i o ile? A może przesunął się od razu w kilku? O ile trzeba się przesunąć, by trafić do równoległego continuum? Wiele poszlak przemawia za tym, że wystarczy przesunięcie rzędu dziesięć do minus trzydziestej drugiej centymetra, czy podobny ułamek stopnia bądź innej jednostki.

 – Ale przecież początkowo zero-t pracowało.

 – Tak, początkowo pracowało. Najprawdopodobniejsza hipoteza mówi, że zero-t okazało się systemem trójwymiarowo spolaryzowanym. Ten świat powoli obraca się względem naszego dookoła czwartej osi. Dopóki kąt był niewielki, wszystko działało, a kiedy przekroczył określoną wartość – koniec. Wiesz, coś jak kąt pełnego odbicia na pograniczu dwóch środowisk. Analogia w zasadzie nieprawidłowa, ale zrozumiała.

 – Czyli to już koniec? Od samego początku wszystko było skazane na klęskę?

 – Co do twojego przypadku – tak, koniec – wmieszał się Moduł. – A co do klęski – niezupełnie. Można było uratować sytuację. W tym celu między naszą a tą Ziemią trzeba było postawić pośrednią bazę zero-t – retranslator. Wiedział o tym Natan Spender. Od początku, jeszcze kiedy zakładano tą bazę. Mówił, pisał, dowodził. Ale on był energetykiem, a nie zerowcem, i nie posłuchano go. A później zginął. Przez osiem lat wszystko szło normalnie, i o jego czarnych prognozach wszyscy zapomnieli.

 – Stawiamy jeden retranslator – kąt się powiększa, stawiamy kolejny – i tak w nieskończoność? Czy to jest wyjście?

 – Zupełnie błędnie. Ilość wymiarów jest ograniczona. To tak jak z kostką Rubika. Jakkolwiek byś ją kręcił, powrót do układu wyjściowego możliwy jest po dwudziestu obrotach.

 – Utknąłem w tym świecie na zawsze… Kamilu, ale jeśli… Kamilu! Gdzie jesteś? Grom, gdzie Kamil? Gdzie wszyscy? Grom?!

 – Otrzymałeś odpowiedzi na swoje pytania, teraz żegnaj.

 – Grom, ja myślałem, że jeśli opanuję fizykę zero-t, zdołam wrócić.

 – Nie mógłbyś opanować fizyki zero-t. Dzikusom nie można powierzyć bomby atomowej. Poziom wiedzy w pamięci komputerów jest ograniczony do połowy XXI wieku. Nie ma tam więc ani antygrawów, ani zero-t.

 – Ale ja przywiozłem ze sobą moduły pamięci, tam… są… w bunkrze. Nie wziąłem ich, bo myślałem, że tu także są.

 – Jesteś więc także i przemytnikiem, jak się okazuje. Nie rozkazuję ci, ale proszę, żebyś je starł. Mogą wyrządzić dużo szkody. Bardzo dużo. Aha, jeszcze jedno. Główny komputer bazy jest zamknięty na hasło. Hasło jest bardzo proste, gdyż przeznaczone do ochrony przed dzikusami, a nie wysoko rozwiniętymi istotami rozumnymi – te zawsze zdołają wyłuskać informacje obchodząc hasło. Hasło dla planet bez rozumu to dziesięć cyfr liczby π, bez pierwszej. Dla planet z rozumem to liczba ε. I pamiętaj: sznurek przetarł się o kamień. Żegnaj, stażysto.

 – Grom, nie odchodź! Grom!

 Dżafar podniósł głowę. Latarka słabo świeciła, poza tym, było ciemno i bardzo zimno. Całe ciało zesztywniało. Ubrał kurtkę i buty. Kiedy to zrobił, dostał nagle strasznych dreszczy, Zęby szczękały, jak dawna radiostacja nadająca Morse’em. Z trudem nadmuchał materac, wepchnął go do namiotu, położył się i od razu zapadł w ciężki sen.

 Ranek był zimny i wilgotny. Dżafar wyszedł do sali, która kiedyś była hangarem, naciągnął sznurek, na którym wczoraj się spuszczał, po czym, odchyliwszy się do tyłu, mocno szarpnął. Sznurek pękł i Dżafar upadł na plecy.

 „Sznurek całą dobę kołysało wiatrem, więc przetarł się o kamień. Naprawdę zostałby ze mnie stosik kości. Co do reszty też mają rację” – rozmyślał, patrząc w sufit. – „Mam trzy warianty. Nie chcę znowu kłaść się w anabiozę, to jest jak śmierć, zostają więc dwa. Żyć dla siebie albo dla nich. W obu muszę ożywić bazę, bunkier, albo jedno i drugie. W obu muszę nawiązać kontakt z tubylcami. Kamil powiedział, że łatwo naprawię cyberów w bunkrze, a Grom napomknął, że może mi się przydać główny komputer bazy. Trzeba obejrzeć bazę, wziąć ze składu to, co utonęło w rzece i coś z ubrania”.

 Szukając czegoś, z czego można byłoby zrobić pochodnię, poszedł do montażowni. Tam pod ścianą zobaczył wózek z aparatem spawalniczym i dwiema butlami.„W niebieskiej tlen, w białej acetylen” – przypomniał sobie. – „Ale która była biała? Farba z obu oblazła”.

 Spróbował otworzyć wentyl na jednej. Nie udało się. Wziął klucz francuski, przekręcił. Cisza. Przekręcił wentyl drugiej. Lekki syk. Przedmuchał przewód palnika, przyśrubował go do butli, otworzył wentyl, przystawił zapalniczkę. Buchnął żółty płomień. Wyrzucił z wózka pustą butlę, przymocował palnik drutem, żeby ten sterczał pionowo do góry – i otrzymał źródło światła typu palnika gazowego. Popychając wózek przed sobą, pomyślał: „Udało mi się. Jestem z tych, którym się zawsze udaje”.

 Baza dawno umarła. Co prawda, w wiecznych akumulatorach małej centrali energetycznej została odrobina energii, ale tak mało, że nie starczyłoby jej nawet na trzy godziny lotu ciężkiego śmigłowca. Zresztą samych śmigłowców i flyerów też już nie było. Hangary z ciężką, hałaśliwą techniką umieszczono jak najdalej od strefy mieszkalnej, w tej części bazy, która się oderwała. Pchając wózek przed sobą, Dżafar obszedł wszystkie półki pomieszczeń magazynowych. Było tu wszystko. Co prawda, znaleźć potrzebną rzecz bez komputera magazynowego było bardzo trudno, a poza tym wiele rzeczy wyprodukowano z krótkotrwałych, szybko się rozkładających materiałów do masowego zastosowania. Zagadką było, jak te rzeczy trafiły w daleki kosmos. Mimo to Dżafar znalazł wszystko, czego szukał, z wyjątkiem broni. Półki składu broni były puste i tylko zakurzone tabliczki przypominały o tym, co na nich było.

 Zebrawszy wszystko, co chciał, Dżafar wdrapał się na plac lotniskowy, gdzie przed samym zejściem usiadł zwiesiwszy nogi nad przepaścią i zamyślił się, co wybrać na swoją rezydencję: bazę czy bunkier. Baza była większa i lepiej zaopatrzona, ale bez żadnego transportu i praktycznie bez energii. Żeby z niej gdziekolwiek wyjść, trzeba było spuścić się z wysokości trzystu metrów. To tak, jak sto pięter bez windy. Potem wdrapywać się z powrotem… Bunkier jest oczywiście mniejszy, ale swój, ojczysty. Tam jest słabiutkie, ale stałe źródło energii. I flyer, który można naprawić. Postanowione: rezydencją będzie bunkier. Jeśli będzie potrzebne coś z bazy, można to będzie przywieźć flyerem.

 Przed Dżafarem była wioska. W żołądku burczało, na wpół surowe mięso bez soli sprzykrzyło się prawie do mdłości. A przez lornetkę widać było budynek, który mógł się nazywać traktiernią, tawerną, oberżą, szynkiem, knajpą, karczmą albo zajazdem. Nazwa nie zmieniała najważniejszego – tam karmili! Wcześniej czy później i tak trzeba będzie pójść na kontakt, więc czemu nie teraz? Dżafar obejrzał siebie krytycznie. Kurtka z syntetycznej skóry, z frędzlami wzdłuż szwów, stylizowana na indiańską. Na zewnątrz nie ma żadnych wyróżnień: zwykłe kieszenie. Wszystkie kieszonki na zamki i inne niespodzianki – od wewnątrz. Tylko zbyt nowa. Co innego spodnie. Brudne, w miarę niekształtne, ujdą jako miejscowe. Buty z rowkowaną podeszwą, poza tym nic wyróżniającego. Ciemnozielona koszula, ubierana przez głowę. Plecak… Nowiutki, zielony, prosto z magazynu. Dżafar westchnął i zdjął kurtkę, po czym dokładnie natarł ją i plecak cieknącym błotem z kałuży i położył na słońcu do wyschnięcia. Podwinął rękawy koszuli, oderwał od kołnierza dwa guziki. Potem długo i dokładnie czyścił kurtkę i plecak z błota. Nie wyszło mu dokładnie tak, jak chciał, ale nikt już nie nazwałby tych rzeczy nowymi. Po chwili namysłu włożył czapkę do plecaka i rozczochrał włosy. Rozdzielił monety, znalezione w młynie: miedziane do jednej kieszeni, srebrne do drugiej. Narzucił jedno ramiączko plecaka na ramię i wszedł do wioski. Podchodząc do drzwi pomyślał: „Będę udawał niemego, wtedy na pewno nie palnę nic niewłaściwego”.

 Kilku ludzi odwróciło na chwilę głowy, kiedy wszedł, ale zaraz powrócili do swoich zajęć. Dżafar rozejrzał się, podszedł do lady, rzucił plecak pod nogi. Senny oberżysta obserwował go leniwie. Dżafar wysypał z kieszeni kilka miedziaków, wysypał na ladę, udał, że je przelicza. Spojrzenie oberżysty nieco się ożywiło.

 – Eee mm-mm – wybełkotał Dżafar, żeby zwrócić jego uwagę, wskazał palcem na człowieka, drzemiącego nad glinianym kuflem i zrobił ruch, jakby podnosił kufel do ust. Oberżysta podniósł się leniwie, napełnił kufel z beczki, wybrał parę monet ze stosiku Dżafara i znów zapadł w drzemkę. Dżafar zgarnął pozostałe monety i upił łyk. Trunek był swoisty, coś pośredniego między piwem a kwasem chlebowym, ale całkiem smaczny. Powoli popijając, Dżafar rozejrzał się po sali. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Jedni jedli, drudzy cicho rozmawiali, pochyleni nad kuflami. Dżafar przyjrzał się talerzom jedzących. Ziemniaki z mięsem. Dżafar dopił piwo,po czym znowu zwrócił na siebie uwagę oberżysty, wskazując na talerz, chleb, pusty kufel i pusty stół przy ścianie. Oberżysta okazał się pojętny i szybko przyniósł z kuchni tacę z zamówieniem.Powtórzyła się procedura zapłaty. Nadzieje Dżafara na poznanie miejscowego dialektu szybko spadła do zera. Po posiłku Dżafar wskazał na swój plecak, udziec i bochenek chleba, po czym wysypał na stół resztę miedziaków.

 – Mało – powiedział oberżysta.

 Dżafar z kwaśną miną wyjął najmniejszą srebrną monetę. Oberżysta odliczył resztę. Dżafar popatrzył mu surowo w oczy i zabębnił palcami po blacie stołu. Oberżysta z równie kwaśną miną dodał jeszcze trzy miedziaki. Dżafar wziął resztę, włożył jedzenie do plecaka i wyszedł.

Krocząc po drodze w stronę lasu, analizował rezultaty swojej wizyty w oberży. Po pierwsze, jego ubranie nie wzbudziło żadnych podejrzeń. Po drugie, oberżysta przyjął monety bez sprzeciwu i Dżafar uzyskał pewne pojęcie o ich wartości. No i po trzecie, najadł się! Szkoda, że oberżysta okazał się nierozmówny, ale przecież to nie jest ostatnia oberża. Gdy wioska znikła za zakrętem, Dżafar wyjął pieniądze i obejrzał nowe monetki. Najnowsza miała datę 1091, innych różnic nie było. Czyli od roku 997 po 1091 system pieniężny się nie zmieniał.. Świadczyło to o stabilności ekonomii oraz, być może, o pewnym zastoju. Włożył jedzenie do nieprzemakalnych plastikowych pakietów, na głowę czapkę z szerokim rondem i żwawym krokiem ruszył przed siebie.

 …Trzeba w żyłę, a nie domięśniowo, gdyż inaczej umrę zupełnie młodo. I tak nie obejdzie się bez laboratorium genetycznego. A to osiem sporych skrzyń. Potrzebny jest flyer, zresztą i tak trzeba go naprawić. Jedna skrzynia do kabiny, bokiem, za oparcia foteli, druga do przedziału bagażowego. Jeśli wyrzucę drugi fotel, zmieszczą się jeszcze dwie. Dwa rejsy. Dwa tysiące kilometrów. O Boże, przy moim słabiutkim generatorze to miesiąc ładowania akumulatorów. A cybery, kiedy je naprawię, też będą musiały jeść. Potrzebny mi jest generator, dobry silny generator. A zero-generatorysą tu zakazane. Wychodzi więc na to, że i moja mała zero-latarnia też narusza prawo, czyli ja naruszam je złośliwie.

 Proces sądowy: Ja, prokurator, proponuję skazać podsądnego na rok przymusowej wachty na stacji kosmicznej za orbitą Plutona. Podsądny, z czego pan się tak cieszy? Aha, na Ziemię… Proszę się nie cieszyć, podsądny, chodzi o tutejszego Plutona, a nie naszego. Tak to ja nie chcę. Ale jeszcze ma głos obrońca. Wysoki Sądzie, szanowna ławo przysięgłych! Ja w ogóle nie rozumiem, po co tu jestem. Gdzie są cechy przestępstwa? Przy całym swoim szacunku do Wysokiego Sądu, nie widzę cech przestępstwa. Czy naszym ludziom zabrania się wykorzystywania zero-techniki w tym continuum? Jeśli tak, to wszyscy naruszyliśmy prawo przez sam fakt obecności tutaj. Czyli: ludzie z naszej Ziemi mają prawo korzystania tutaj z technologii zero-t. Co pan powiedział, panie prokuratorze? Oczywiście, że nie wolno przekazywać zero-technologii tubylcom. Ale czy ktokolwiek, z podsądnym włącznie, przekazywał ją? Wszystkie urządzenia, wykorzystujące zero-technologię, powinne być albo ewakuowane, albo zaopatrzone w zabezpieczające przed otwarciem samolikwidatory. Ale gdzie tu jest naruszenie prawa? Podsądny jest z naszej Ziemi, więc ma prawo wykorzystywać zero-latarnię i zero-generator. Ach tak, on nie posłuchał rozkazu ewakuacji! Ale, proszę mi wybaczyć, to już czysto administracyjne wykroczenie. I karą za nie jest właśnie wysyłka na Ziemię. Proponuję natychmiast wysłać tego chuligana na Ziemię i zamknąć posiedzenie. Brawo dla obrońcy! Bis! Brawo! Na Ziemię go! Chociaż z czego ja się tak cieszę, przecież nie mam zero-generatora. Jakie jeszcze mogą być generatory? Magnetyczne, hydrodynamiczne…

 Silne uderzenie w kark wyrwało go z zamyślenia. Zrzuciwszy plecak z ramion, Dżafar odskoczył do tłu, pochylił się, stanął w postawie bojowej. Zakuty w zbroję jeździec nie zwracał na niego uwagi. Nabitą na koniec kopii czapką Dżafara rozmazywał błoto po dnie kałuży. Potem zdjął z kopii to, w co zamieniła się czapka, i nagłym ruchem rzucił to Dżafarowi w twarz. Dżafar stracił nad sobą kontrolę. Gorąca krew uderzyła mu do głowy. Podskoczywszy do rycerza, chciał kopnięciem wybić go z siodła, ale pośliznął się i uderzenie ciężkiego buta trafiło w brzuch konia. Zwierzę szarpnęło się, omal nie wyrzucając jeźdźca z siodła. Ten po chwili je uspokoił, odjechał na pięćdziesiąt metrów, zawrócił. Zmieszany Dżafar wycierał tymczasem rękawem błoto z twarzy. Atak złości skończył się tak samo nagle, jak się zaczął. Jeździec zasalutował mu kopią, opuścił przyłbicę i nagle, trzymając kopię pochyloną ku przodowi, puścił konia prosto na niego. Przez dwie sekundy Dżafar obserwował go w kompletnym zmieszaniu, aż dzieląca ich odległość zmniejszyła się dwukrotnie. Wreszcie ocknął się, rzucił spojrzenie pod nogi, sprężył się. W ostatniej chwili zrobił mylący zwód w prawo, odskoczył w lewo i uderzył kantem dłoni w drzewce kopii. W najlepszych czasach takim uderzeniem złamałby jej końcówkę, ale najlepsze czasy dawno minęły. Jednak rezultat okazał się jeszcze efektowniejszy. Kopia wbiła się w ziemię, obróciła się i wyrzuciła jeźdźca z siodła. Dżafar podbiegł do niego, klęknął mu na plecach, chwycił obiema rękami za hełm i z całej siły pociągnął do góry. Skrzypnął metal, chrupnęły kręgi szyjne…

 – Szybko zdziczałem… Ale co ci się aż tak nie podobało w mojej czapce? – zapytał rycerza, kiedy upewnił się, że ten jest martwy. Poczuł, że ktoś z tyłu patrzy na niego, obejrzał się. W odległości trzydziestu metrów stał drugi jeździec.

 – Giermek, niech to wszyscy diabli! – zaklął Dżafar, ale zaraz się zorientował: – Ależ nie, to baba! O Boże, dama serca! Tylko tego mi tu brakowało! Zaraz będą albo łzy, albo krzyki. Do diabła, on pierwszy napadł, sam jest sobie winien!

 Amazonka trąciła kolanami konia i skierowała go ku niemu. Dżafar przyjrzał się jej twarzy. Wyglądała na dwadzieścia pięć do trzydziestu lat, chuda, wysokie kości policzkowe, kasztanowe włosy.W oczach czujność, niepokój, ale ani śladu smutku. Śmiałe spojrzenie prosto w oczy. Koń – wspaniały. Podjechała, pochyliła się w siodle, przyglądając się martwemu ciału, znowu spojrzała Dżafarowi prosto w oczy, po czym przeniosła wzrok na swoje ręce. Nadgarstki dziewczyny były związane i przywiązane do wysokiego łęku siodła.

 – Burżuazja nosiłaciekawe czapeczki – Dżafar wymamrotał ulubione powiedzonko Groma.

 Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem. Spróbował rozwiązać sznurki, nie udało mu się, więc rozciął je nożem. Odpowiedziała uśmiechem i gestem wdzięczności, po czym roztarła nadgarstki, zeszła z siodła, pomagając sobie zębami odwiązała mały tobołek i odeszła w kierunku, z którego przyjechała.

 – Czekaj, weź konia – zawołał zmieszany Dżafar. Dziewczyna zatrzymała się, pomyślała chwilę, zrobiła coś w rodzaju dygu, wzięła konia za uzdę. Odeszła z nim może na dziesięć metrów, obejrzała się na Dżafara, skinęła mu jeszcze raz, wskoczyła na siodło i puściła konia stępa. „Ależ tu wszyscy rozmówni” – pomyślał Dżafar – „Trzeba by pochować tego łajdaka”.

 Rozejrzał się i wybrał miejsce pod drzewem, nieco opodal drogi. Przerzucił ciało przez siodło, wyrwał odłamek kopii z ziemi, wziął inne rzeczy, ułożył je w stos pod drzewem. Posługując się mieczem rycerza oznaczył kontury mogiły i zdjął darń. Kiedy podniósł głowę, znów zobaczył obok dziewczynę. Spróbował spulchnić ziemię odłamkiem kopi, okazało się to łatwiejsze, niż mieczem. Poszukał oczami, czym by tu zastąpić łopatę. Potem postanowił przejrzeć bagaż rycerza. Nic ciekawego, jeśli nie liczyć kolczugi z owalnych ogniw i misternie wykonanych kolczugowych rękawiczek. Gruby koc, coś z ubrania, trochę żywności. Dziewczyna wciąż tak samo milcząc obserwowała z zaciekawieniem jego czynności. Potem podeszła do zabitego, włożyła rękę pod zbroję, wyjęła ciężką sakiewkę i podała Dżafarowi. Ten wysypał pieniądze na koc i zamyślił się, wspominając stare powieści detektywistyczne. Miedziaki włożył z powrotem do sakiewki, a srebro podzielił na dwa stosiki, jeden z nich wsypał jej na dłoń. Po namyśle włożył parę srebrników do sakiewki i powiedział:

 – Połóż na miejsce.

 Zdziwione spojrzenie, uniesiona brew. Ale wykonała w milczeniu i bez sprzeciwu. Dżafar włożył resztę monet do wewnętrznej kieszeni kurtki, po czym zdjął ją i zaczął kopać mogiłę żelazną płytką, osłaniającą przedtem czoło konia. Ziemia była miękka, dziewczyna wynosiła ją hełmem. Gdy wykop sięgał już kolan, krzyknęła ostrzegawczo i wskazała ręką drogę. Trzej jeźdźcy w czerni nie śpiesząc się zbliżali się do nich. Dżafar wylazł z dołu, włożył kolczugę i rękawiczki i stanął na szeroko rozstawionych nogach, opierając się rękami na mieczu.

 – Co tu było? – spytał pierwszy z jeźdźców. Ubrany był w mnisi habit przepasany sznurem, ale w głosie czuło się władczość. Przypasany do siodła miecz też dawał sporo do myślenia.

 – Pojedynek – odrzekł Dżafar nie zmieniając pozy.

 Dwaj pozostali zeszli z koni, podeszli do trupa, odemknęli mu przyłbicę. Dżafar był pewny, że i oni pod habitami mają kolczugi. Baczne spojrzenie ich naczelnika obiegło polanę, na chwilę zatrzymując się na złamanej kopii, potem na rozłożonej na kocu żywności, w końcu znieruchomiało na dziewczynie. Ta zadrżała.

 – Kobieta jest pod moją ochroną – powiedział Dżafar.

 Wszyscy, z dziewczyną włącznie, spojrzeli na niego ze zdumieniem.

 – To Kid Włóczęga.Szyja złamana, ran nie ma – zakomunikował jeden z mnichów oglądających trupa. Drugi wyjął spod zbroi sakiewkę, potrząsnął nią i podał ją starszemu. Dżafar cały czas stał nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi na mieczu i czuł się jak kompletny idiota.

 – Mogłeś powiedzieć, że był twoim najlepszym przyjacielem i skręcił sobie kark, spadając z konia – powiedział mnich. – Do pojedynku potrzeba czterech świadków.

 – Ona była świadkiem. –Dżafar wskazał dziewczynę.

 Wszyscy trzej mnisi się roześmieli. Dżafar ściągnął brwi i mocniej ścisnął rękojeść miecza.

 – Ona popełniła krzywoprzysięstwo. Za kłamstwo na sali sądowej obcięto jej język. Jej świadectwo jest nic nie warte – wyjaśnił mnich. Dżafar lekceważąco wzruszył ramionami. Jeden z mnichów klęknął obok ciała i zaczął mamrotać pod nosem modlitwę.

 – Który koń jest twój? – zapytał starszy mnich.

 – Obydwa.

 – Aleś ty rozmówny – uśmiechnął się mnich. –Ciekawie byłoby zapoznać ciebie z oberżystą Sennym Smithem i posłuchać waszej rozmowy.

 – Znam – odrzekł Dżafar, wnioskując, że mowa o oberżyście, u którego jadł obiad.

 – A to dopiero! – uśmiechnął się wesoło mnich. – I ileż to słów zamieniliście między sobą?

 Dżafar podniósł do góry palec wskazujący.

 – Jedno? Tylko go nie podawaj! Bracia, kto z was zgadnie, jakie to było słowo?

 – Nasz rycerz powiedział: „Jeść” – zaproponował mnich, który znalazł sakiewkę.

 Dżafar uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

 – W takim razie Smith powiedział „Płać”.

 – Smith nie mówi „Płać”. On nic nie daje, dopóki nie zapłacisz. Smith powiedział: „Mało!” – Drugi mnich przerwał na chwilę modlitwę. Dżafar skinął twierdząco, klepnął się po biodrze i roześmiał się ze wszystkimi. Gdy się naśmiali, starszy mnich wysypał monety na dłoń, obejrzał i przekazał drugiemu mnichowi.

 – Rozdziel między wszystkich. Bracie Fiodorze, kończ modlitwę, zajmiemy się formalnościami.

 Dżafarowi sprzykrzyło się stać jak pień. Poza, którą podpatrzył w jakimś filmie historycznym, okazała się bardzo niewygodna. Od kontaktu z kolczugą zaczęły boleć obtarte w górach plecy. Doszedł do wniosku, że sytuacja już się rozładowała, wbił miecz w ziemię, zdjął rękawiczki kolczugowe i zajął się pogłębianiem mogiły. Jeden mnich liczył pieniądze, drugi wyjął arkusz papieru i stylus, był gotowy do zapisywania.

 – Dzisiaj, data, w odległości ośmiu kilometrów od wioski Midway miał miejsce pojedynek między sir Kidem Włóczęgą a sir…

 – Cyryl – Dżafar przedstawił się imieniem Groma. Wylazł z jamy, zepchnął tam ciało, pomyślał chwilę, wlazł z powrotem, zamknął przyłbicę, złożył nieboszczykowi ręce na piersi. Między nogami wbił kopię złamanym końcem do góry i zaczął zasypywać.

 – … i sir Cyrylem – dyktował dalej mnich. – Coś ty, zamierzasz go pochować tak w zbroi?

 Dżafar skinął głową.

 – Zwróćcie uwagę, bracia, nie wyginęli jeszcze na świecie szlachetni bezinteresowni rycerze. Na czym to ja skończyłem? Przyczyną pojedynku było…Czego to nie podzieliliście?

 – Był chamem i durniem – odrzekł Dżafar, wycierając pot z czoła.

 – Przyczyną pojedynku była różnica w poglądach na honor rycerza – podyktował mnich. –Zachowania zasad pojedynku dopilnowali… wylicz nas. W trakcie pojedynku… Co tam się u was stało?

 – Spadł z konia i skręcił sobie kark – powiedział Dżafar.

 – W trakcie pojedynku sir Cyryl wybił z siodła sir Kida. Sir Kid zakończył życieśmiercią godną rycerza, uszkodziwszy kręgi szyjne. Ciało sir Kida obleczone w pełną zbroję, przekazano ziemi z wszelkimi przynależnymi mu rycerskimi honorami w miejscu odbycia pojedynku, a mianowicie: na południe od drogi do Litmoondu, na polanie pod wysokim drzewem o osiem kilometrów od wioski Midway. Na mogile postawiono złamaną w walce kopię sir Kida. Jeszcze raz postaw datę. Nasze podpisy.

 Mnich, dzielący pieniądze, rozłożył wreszcie miedziaki na cztery kupki. Trzy zniknęły w sakiewkach mnichów, czwartą podał Dżafarowi. Widocznie określenie „rozdziel między wszystkich” nie obejmowało kobiet.

 – Daj jej. – Dżafar skinął na dziewczynę i pokazał swoje czarne od ziemi ręce.

 Mnisi wsiedli na konie.

 – Następnym razem, zanim zaczniesz wychowywaćaroganta, postaraj się znaleźć czterech świadków – zawołał odjeżdżając najstarszy mnich.

 Dżafar pożegnał ich podniesieniem ręki i kontynuował kształtowanie mogilnego pagórka. Skończył, odszedł kilka kroków, ocenił swoją robotę. Złamana kopia nadawała mogile jakąś tragiczną wymowę. Z ponurym zadowoleniem obejrzał się na dziewczynę. Stała obejmując rękami drzewo i bezdźwięcznie płakała, aż jej ramiona chodziły w górę i w dół.

 – No, coś ty, maleńka? To z jego powodu? – zapytał, wskazując mogiłę.

 Zaprzeczyła ruchem głowy i wskazała kierunek, w którym odjechali mnisi. Widocznie Dżafar nie docenił niebezpieczeństwa.

 – To wszystko już za nami. Nie ma się czego bać.

 Jeszcze raz chlipnęła, oderwała się od drzewa i uśmiechnęła się z przymusem. Potem wzięła się do pakowania rzeczy. Dżafar zdjął kolczugę i stanął przed trudnym problemem: jak umocować na koniu plecak. W końcu ciężkie i twarde przedmioty włożył do toreb przy siodle, a duże miękkie ułożył w plecaku, który umocował na kłębie za siodłem. Tymczasem dziewczyna umyła w strumyku czapkę, wyżęła i podała mu. Dżafar nadał czapce właściwy kształt, mokrą włożył na głowę, mrugnął porozumiewawczo do dziewczyny i wskoczył na siodło.

 Siedzieć w rycerskim siodle było bardzo niewygodnie. Pewnie w założeniu na jeźdźcu powinna być zbroja. Było nawet coś w rodzaju pasów bezpieczeństwa, ale dawno rozerwanych. Dżafar z ciekawością oglądał coś sterczącego na zawiasach, przymocowanego do przedniego łęku. Nie od razu zrozumiał, że to mała mechanizacja – wspornik i oparcie dla kopii. Jeden z zawiasów też był dawno złamany. Dżafar obejrzał się na mogiłę. Dziewczyna jechała za nim. Widocznie uważała się za jego zdobycz. Szczerze mówiąc, nigdy by się nie spodziewał takiego rezultatu pojedynku. Zaczął ważyć plusy i minusy podróży we dwójkę. Plusów było dużo więcej. Trzeba będzie wyjaśnić, jak to było z jej krzywoprzysięstwem. Z drugiej strony cicha, nie będzie jęczeć. Ciekawe, czy umie czytać? Ale najpierw – czy chce ze mną jechać.

 – Gdzie twój dom? – zapytał.

 Wskazała gdzieś na południe.

 – Znasz drogę?

 Skinięcie głową na „tak”.

 – Chcesz tam wrócić?

 Ponure zamyślone spojrzenie, zaprzeczenie ruchem głowy.

 – Chcesz podróżować ze mną?

 – Tak! Tak! Tak! – Spojrzenie nieśmiałe, proszące, zupełnie inne, niż to bezpośrednie, śmiałe przy pierwszym spotkaniu.

 – I zupełnie cię nie interesuje, gdzie i w jakim celu jadę?

 – Nie.

 Przez kolejne dwa kilometry Dżafar oceniał jej zachowanie i odpowiedzi, różnicę w spojrzeniach, szczery strach na widok mnichów. Wygląda na to, że mnisi tu zastępują policję. Uzbrojeni, spisują protokoły, ludzie się ich boją. Wykapani policjanci! Aha, oni przecież mówili o kilometrach! Nie przepadła nasza praca, pamiętają!

 – Nazywam się Dżafar – przedstawił się.

 Zdziwienie, gest w tył

 – A po co mają znać moje prawdziwe imię?

 Uśmiech całą gębą.

 – Teraz wyjaśnimy, jak ty się nazywasz. Twoje imię zaczyna się na A?

 – Nie.

 – Na B?

 – Nie.

 Do wieczora Dżafar już wiedział, że ona nazywa się Kora, ma 24 lata, teraz jest rok 1097, że to liczenie lat wiąże się z niebem albo z czymś, co przybyło z nieba (obliczył, że było to na 35 albo 36 lat przed ludźmi z Ziemi). I naprawdę fałszywie przysięgła w sądzie, próbując uratować przed więzieniem ukochanego, za co, zgodnie z miejscowym prawem, obcięli jej język oraz pozbawili majątku i prawie wszystkich praw. Sir Kid porwał ją trzy dni temu, kazał jej naprawiać mu zbroję i przygotowywać jedzenie. Wykorzystywał ją też seksualnie – „do ogrzewania pościeli”. Dżafar zauważył:

 – Był łajdakiem, bez dwóch zdań. Ale spać samemu pod takim kocem – brrr!

Kora potwierdziła gorąco. Przed sir Kidem pracowała na pańskim za wyżywienie, ale na wiosnę synek gospodarzy spalił dom i wszyscy głodowali. Dżafar wyjaśnił też, że mnichów nie nazywa się tu mnichami, tylko inaczej, ale mieszkają w klasztorach, ustanawiają prawa i pilnują ich przestrzegania. Kora boi się ich okropnie, aż do drżenia kolan i szczenięcego pisku. Boi się także nauczyć się czytać, to coś związanego z oczami (boi się krótkowzroczności czy co?). Poza tym nie boi się niczego, choć obawia się na przykład burzy czy wilków.

 Nienawykły do długiej jazdy wierzchem Dżafar postanowił zatrzymać się wcześniej. Kora rozsiodłała i spętała konie, zebrała drwa na ognisko, piszcząc z zachwytu obejrzała namiot, nadmuchiwany materace, śpiwory (Dżafar wziął z bazy dla przyszłych pomocników pięć kompletów, każdy po 600 gramów). Wszystko było dobrze, dopóki nie zobaczyła szynki. Nie prosiła, nie, tylko cichutko jęknęła, odsunęła się jak najdalej od ogniska i objęła rękami pień młodego drzewa. Przechwyciwszy jej głodne spojrzenie, Dżafar zrobił jej grubą kanapkę, którą pożarła w kilka sekund. Równie szybko zjadła drugą i trzecią kanapkę. Głodne spojrzenie w żaden sposób nie mogło oderwać się od plecaka, a ręce znowu złączyły się na drzewku. Wypytawszy ją, Dżafar dowiedział się, że ostatni raz jadła wczoraj – chleb i woda – a przedostatni przedwczoraj. A teraz spałaszowała na sucho pół kilo mięsa i pół bochenka chleba. Dżafar kazał jej wypić butelkę wody i wyjaśnił, że po długim głodowaniu nie wolno od razu dużo jeść; ona ze wszystkim się zgodziła, ale tylko mocniej wczepiła się w drzewko. Pokroił na drobne kawałeczki znalezione przez nią korzonki, dodał rozdrobnioną szynkę i ugotował pełny kociołek zupy. Przez cały czas gotowania, a potem stygnięcia zupy, dziewczyna mężnie cierpiała, wczepiona w drzewko. Wreszcie Dżafar pokroił chleb i wyjął łyżki. Kora ani razu nie naruszyła niepisanych prawideł etykiety, ani razu nie zaczerpnęła zupy przed Dżafarem, pilnowała, żeby w jej łyżce nie było więcej zupy, niż w jego, ale… kiedy on dopiero podnosił łyżkę do ust, ona już połykała swoją i czekała, aż znowu zaczerpnie. Oczywiście po jedzeniu rozbolał ją brzuch. Zwinęła się w kłębek pod swoim ulubionym drzewem i męczyła się, szczęśliwa. Dżafar przegonił ją do namiotu,rozpiął zamek błyskawiczny śpiwora, zamieniając go w koc i nakrył nim dziewczynę; po czym umył w rzeczce naczynia, sprawdził konie i usiadł przy dogasającym ognisku, patrząc w czerwone węgle i myśląc o przyszłości.

 „Jeszcze rano wahałem się, co wybrać, ale teraz już wiem na pewno: ten świat trzeba zmienić!Cierpliwe, głodne spojrzenie dziewczyny robi jednak znacznie silniejsze wrażenie niż starcie z rycerzem. Z drugiej strony, ta utarczka pokazała mi, jak łatwo w tym świecie zginąć od byle przypadku, a wtedy – koniec wszystkiego. Samo przez się się rozumie, że trzeba wychować jak najwięcej uczniów. Żeby ich wykształcić, potrzebne są klasy komputerowe. Trzeba ożywić bazę. Ale na to potrzeba czasu. Na wychowanie uczniów też potrzebny jest czas. A ja go nie mam. Po anabiozie to ciało zamieniło się w ruinę. Trzeba więc wyhodować sobie nowe ciało i przeszczepić do niego mózg. Można nawet prościej: położyć się do biowanny i zaprogramować komputer na amputację ciała. Jak Grom opowiadał, kiedy Modułowi oderwało głowę, złapał ją pod pachę i popędził do centrum medycznego. Włożono ją do biowanny i po pół roku Moduł wrócił do oddziału desantowców.Nie, ze mną jest inny przypadek. U mnie akurat mózg się starzeje. Ze starego marazmatyka stanę się młodym marazmatykiem. W takim razie inaczej: hoduję sobie nowe ciało i przepisuję w nie swoją pamięć. Też źle: przepisana pamięć nie ładuje się do długoterminowej i po upływie doby zostaje z niej figa. Mam mu dwa razy dziennie odtwarzać pamięć czy jak? Tak to przecież w ciągu czterech lat spalę sobie wszystkie komórki mózgu! A jeśli zaprojektować żywy mózg, który przechowywałby także pamięć długoterminową? Na Ziemi o tym się tylko dyskutuje, gdyż to jest eugenika, a co mi pozostaje? Zresztą przeprowadzę to doświadczenie na sobie, na nikim innym, i to tylko w tym przypadku, jeśli nic innego nie wymyślę. Zresztą to naprawdę smutno wyjdzie. On będzie mną, ale ja nie będę nim, umrę. Mogę nawet zrobić kilka kopii siebie. Jeden zginie, inni będą kontynuowali. Słyszysz, Grom, dam sobie radę! Zrobię wszystko, będę pracował za dziesięciu, poświęcę życie, ale dam radę! Przysięgam na imię mojej matki!”.

 – Nie mów hop i postukaj po drzewie. Możesz i po swoim czole –odezwał się desantowiec.

 Zaplątana w koc Kora przyszła i przysiadła się do Dżafara koło ogniska. Objął ją za ramiona. Dziewczyna najpierw zadrżała, potem ufnie przytuliła się do jego boku.

 Kora obudziła się jak zwykle, z pierwszymi promieniami słońca. Rozejrzała się ze zdumieniem. Bardzo ciepły, niezwykle lekki koc, zasłona nad głową, mężczyzna obok. Dżafar! Serce mocniej zabiło z radości i szczęścia. Spełniło się to, co wywróżyła jej stara Cyganka, to, na co czekała, nie dowierzając, prawie dziesięć lat.

 „Jaką on ma niezwykłą twarz: z pozoru młodą, ale siwe włosy, a w spojrzeniu mądrość i smutek” – pomyślała. – „I nikogo się nie boi. Przed sir Kidem nie zdjął czapki, nawet nie pochylił głowy. Przejechał po nim niewidzącym spojrzeniem, jak po pustym miejscu, i chciał iść dalej. A jak stał przed patrolem! Jakby to oni mieli mu składać raport, a nie on im. Żartował z nimi, śmiał się. Dopiero co był prostym człowiekiem, włożył kolczugę – i już się zamienił w rycerza. Dumna postawa, spokojne i władcze spojrzenie. Nie zdjął zbroi z sir Kida. A przecież za nią można dostać kilka złotych. Ze mną rozmawiał jak z równą. Podarował mi konia, podzielił się pieniędzmi, dał część swoich na przechowanie. Z pewnością nie wie, że koń jest zajeżdżony. No i co z tego? Może chodzić stępa, nawet lekkim kłusem, jeśli niedługo. Można nim orać, tylko trzeba dawać mu częściej odpocząć, po każdej bruździe. I nie ma tyle siły co chłopskie koniki. A jeśli w zimie będzie zupełnie źle, można go zjeść. Ale po co taki człowiek wziął mnie ze sobą? W takim namiocie, pod takim kocem jest ciepło nawet w najzimniejszą noc. Bardzo się zdziwił, że jestem taka chuda. Ależ się wczoraj najadłam! A kochać zupełnie nie umiem. Skąd wiem? Gospodarz zawsze syczał «Zamknij paszczę, usłyszą». Sir Kid też: «Nie ruszaj się. Usuń łapy, bo ci palce obetnę». Leżałam więc spokojnie, nie ruszałam się, a on: «Coś nie tak? Nie podoba ci się?». Zaczął mnie uczyć. Ależ on dużo wie! Okazuje się, że to naprawdę przyjemne. Ale co on o mnie pomyślał, o Boże! Wczoraj wieczorem sam za mnie mył kociołek. O Boże, co za wstyd! Wygoni mnie, na pewno wygoni, gdy tylko znajdzie lepszą. Nie taką chudą i z językiem, żeby w mieście jechała przed nim, krzycząc: «Droga dla sir Dżafara!«. Kasandra przecież mówiła, że mój los jest jak rozgałęzione drzewo. Którą gałąź wybiorę, za mną pójdzie los całego świata. A ja w jeden wieczór wszystko zepsułam”.

 Dziewczyna naciągnęła koc po same oczy i zadrżała tak mocno, aż Dżafar się obudził. Spojrzał w jej przestraszone, zaokrąglone oczy i zaraz podniósł się, stał się niespokojny, czujny.

 – Niebezpieczeństwo? – zapytał szeptem.

 – Nie.

 – Przyśniło ci się coś strasznego?

 – Tak! Tak! Tak! Tak!

 Przycisnął ją do siebie i znowu zadrżała, wtuliła mu twarz pod pachę, przycisnęła się z całej siły, płacząc i próbując mu coś powiedzieć. Dżafar głaskał ją po włosach, uspokajał. Kora całowała go po rękach, biła się pięścią w pierś.

 – To mii wygląda na przysięgę wasalną – powiedział, a kiedy zaczęła pewnie i gorąco przytakiwać, dodał: – No coś ty, malutka. Nikomu nie pozwolę cię obrazić, mój skarbie. Urodzisz mi syna i córkę, odważną, mądrą jak ja, piękną jak ty.

 Pochlipywania stopniowo ucichły, przeszły w podrygiwanie. Dżafar całował ją w oczy, głaskał po chudych ramionach i ksylofonie żeber. Wczepiła się w jego rękę, przycisnęła do siebie, wodziła palcami po jego wargach. Obudziło się w nim pożądanie, i wziął ją, gorąco, namiętnie. Jej ciało drgało pod nim… A potem oboje zasnęli i obudzili się bardzo późno.

 – Nie zamierzasz wstawać? – zapytał.

 – Nie.

 – Przed nami daleka jazda.

 – Tak.

 – Jestem głodny jak wilk.

Kora od razu się zerwała, pomacała czołową ścianę namiotu i obróciła się do Dżafara ni to przepraszająco, ni to z lekką obrazą. Rozsunął trzy zamki błyskawiczne i popchnął drzwiczki. Kora ubrała się błyskawicznie i zaczęła zbierać drwa. Było około południa.

 „Jaka miła” – pomyślał Dżafar. – „Trzeba szybko uruchomić laboratorium i odtworzyć jej język. Ale życie ją biło. Z pewnością całą zimę głodowała. Skóra i kości, wszystkie żebra sterczą. I cała w siniakach. Świeżych”.

 Niedługo wesoło trzaskał ogień, kipiał kociołek. Kora kategorycznie odmawiała jedzenia kanapek, dopóki Dżafar nie odkrawał od każdej jednej trzeciej dla siebie. Zjedli. Podczas gdy Dżafar składał namiot, Kora zebrała cały pozostały bagaż i objuczyła nim konie. Rozpięła i pokazała mu, że kolczuga jest w prawej torbie przy siodle, kolczugowe rękawiczki w lewej, miecz przypięty z lewej, wyjmuje się go jednym ruchem, a tarcza za siodłem. Do p0rawej torby Dżafar przywiązał kaburę pistoletu laserowego, wyjaśnił Korze, jak się nim posługiwać, ale surowo zabronił dotykać, dopóki on żyje. Szczerze mówiąc, pistolet nadawał się tylko na postrach. Chociaż jego akumulator był na nadprzewodnikach, i tak tracił energię na promieniowanie cyklotronowe.Teraz zostało jej w nim na półtorej sekundy ognia ciągłego.

 Dżafar ścisnął konia kolanami.

 – Szybciej! Doganiaj, Kora! Szybciej!

 – Afa! Afa!

Obejrzał się. Koń wciąż szedł stępa, ale Kora stanęła w strzemionach i machała mu ręką. Potem zeskoczyła na ziemię i pobiegła. Dżafar ściągnął cugle, jego kobyła zatrzymała się.

 – Afa, Afa! – krzyczała dziewczyna, jedną ręką uczepiwszy się jego nogi, a drugą wskazując na swojego konia i przesuwając dłonią po gardle.

 – Nic nie rozumiem – powiedział Dżafar, podniósł Korę i posadził przed sobą. – Odsapnij i powtórz wszystko od samego początku, spokojnie.

 Kora posłusznie przytuliła się do jego piersi. Potem wskazała na swojego konia, na udzie Dżafara przedstawiła biegnącego konia, Złożyła ręce na krzyż i pokręciła przecząco głową. Wskazała na swoją pierś, na konia, zadyszała jak zziajany pies i powtórzyła gest przeczenia.

 – Twój koń ochwacił się i przeforsował układ oddechowy. Zajeździli biedaka – przetłumaczył Dżafar. Kora potwierdziła.– Czemu mi wczoraj nie powiedziałaś? To nic, przyjedziemy, naprawię generator, wyleczę.

 Koń tymczasem zrównał się z nimi i zatrzymał się, zezując ciemnoniebieskim okiem. Dżafar przesadził Korę na siodło źrebaka i, wybierając litery alfabetu, zaczął wyjaśniać, jak nazywają się konie. Okazało się, żekobyła nazywa się Chajkara, a źrebak – Tabak. W czasie tych wyjaśnień dziewczynie poprawił się humor, a na horyzoncie pojawiła się wioska. Dżafar postanowił uzupełnić zapasy żywności. Włożył kolczugę, popatrzył po sobie. Kora wyjęła skądś czarną narzutkę, położyła mu na ramionach. Obejrzała krytycznie, przepasała rzemieniem, powiesiła na nim kindżał w pochwie. Zachwycona, uniosła w górę rozczapierzoną dłoń.

 W oberży Dżafar chciał posłużyć się poprzednią taktyką. Milcząc wskazał na stół, na talerze, podniósł w górę dwa palce. Ale ten oberżysta okazał się niedomyślny.

 – Durr-niu! Mięsa, kartofli, chleba, piwa dla dwojga, migiem!

 Oberżysta zrozumiał. Niedługo przed nimi parowały talerze. Kora cierpliwie czekała, dopóki Dżafar pierwszy raz nie zaczerpnie, po czym spałaszowała swoją porcję z niesamowitą szybkością. Dżafar zamówił jej dokładkę. Kiedy oboje zjedli, wezwał oberżystę i rozkazał:

 – Szynka, trzy chleby, pół kilo soli na wynos – i rzucił na stół srebrną monetę.Oberżysta przyniósł zamówienie, wydał resztę. Kora spojrzała na miedziaki, zasyczała jak żmija i zacisnęła w ręce nóż. Dżafar położył na jej dłoni swoją, wezwał gestem oberżystę i głośno,na całą salę, „wyszeptał” mu do ucha:

 – Moja towarzyszka chce ci obciąć uszy. Zwykle jej na to nie pozwalam, ale czasem trzeba ustąpić małym kobiecym słabostkom. Nie masz nic przeciwko temu?

 Sala ucichła, oberżysta pobladł.

 – Nie wiesz przypadkiem, dlaczego ona chce ci obciąć uszy? –Nie ustępował Dżafar. – Może się pomyliłeś?

 – Może się pomyliłem, tak, tak, oczywiście, pomyliłem się, sir kazał przynieść tylko pół kilo soli, a ja policzyłem jak za… ja zaraz… – mamrotał oberżysta, odliczając pieniądze drżącymi rękami.

 – Nie, Kora, nie mogę ci pozwolić obciąć uszy temu szlachetnemu, uczciwemu oberżyście – poważnym tonem powiedział Dżafar. – Może wieczorem, w następnej oberży?...

 Wyszedłszy na ganek, oboje roześmiali się wesoło. Dżafar pocałował Korę w policzek i jednym ruchem wrzucił na siodło. Po drodze opracowywali język gestów, udoskonalając metodykę rozmowy, opartej dotychczas na systemie odpowiedzi „tak” i „nie”.

 Dżafar nie mógł podjąć decyzji. Coś z tym trzeba było zrobić, ale co? Kora jest już z nim cztery dni, i z każdą godziną sytuacja się pogarsza. Gdzie podziało się to śmiałe spojrzenie, którym go powitała przy pierwszym spotkaniu? Zostało, oczywiście, ale tylko dla obcych. Gdy byli we dwoje, na Dżafara patrzyły oczy oddanego psa. Kiedy prosił ją, żeby spojrzała mu prosto w oczy, spojrzenie wiernego psa zamieniało się w spojrzenie pobitego wiernego psa. I cały czas jakiś dokładnie ukrywany, ale odczuwalny strach, znikający tylko w chwilach zbliżenia. Ale dzisiaj w oberży… Dżafar już zjadł i przyglądał się wesołej, pulchnej służącej o ostrym języku – i nagle spojrzał na Korę. Ona też obserwowała służącą, ale w jej oczach zastygły dwa jeziora przerażenia. Dżafar rzucił na stół srebrnika i wyciągnął Korę za rękę z oberży. Wrzucił ją w siodło, wyjechał kłusem ze wsi, ciągnąc na lejcu jej konia, skręcił w las.

 – Co cię tak przestraszyło? Tam, w oberży? Niebezpieczeństwo?

 – Nie.

 – Przecież byłaś śmiertelnie przerażona.

 – Tak.

 – Ta służąca? Znasz ją?

 – Nie.

 – Nie znasz, ale się jej boisz. Wiedźma czy co?

 – Nie wiem.

 Dżafar zamyślił się na długo.

 – A mnie się boisz?

 – Nie – Kora uderzyła się pięścią w pierś, po czym wyjęła kindżał, przycisnęła go ostrzem do piersi, a na rękojeść płożyła rękę Dżafara.

 – Więc czego właściwie się boisz? Wyjaśnij.

 Kora zmieszała się. Jak przekazać słowa mądrej Cyganki: „Nigdy niczego się nie bój, bój się tylko tego, że stracisz jego miłość. Nie przyczepiaj się do niego ze swoimi radami. Potrzebna mu jest pomocnica, a nie doradczyni. On jest Słońcem, ty – Księżycem. Będziesz świecić jego światłem. Ale i o0n bez ciebie nie wypełni tego, co jest mu przeznaczone. Będziecie związani jak rzeka i brzegi. Nie będzie jednego bez drugiego”. Przeszukała oczami polanę, przyciskając pięści do twarzy. Podniosła szyszkę, położyła przed nim, wskazała na szyszkę, na swoją pierś, po czym jego butem odrzuciła szyszkę na bok.

 – Boisz się, że ja ciebie rzucę?

 – Tak! Tak!

 – Okazuje się, że jesteś po prostu zazdrosna – roześmiał się Dżafar.

 – Nie! – Kora oczyściła kawałek ziemi i zaczęła rysować na nim sztyletem. Dżafar przyjrzał się. Człowiek z mieczem – to on. Dwie inne figurki idą do niego, obie wyraźnie żeńskie. Nie, jedna z nich ciągnie drugą.

 – Chcesz powiedzieć, że jesteś gotowa tą służącą przyciągnąć do mnie za włosy?

 –Tak.

 – Jesteś święta czy co?

 – Nie ja. Ty.

 – Ja święty?!

 – Tak.

 – Zwariowałaś czy co?

 – Słyszałam.

 – Gdzie? Kiedy? Jak dawno?

 – Dziewięć. Dzień-noc. Więcej, dużo więcej.

 – Dziewięć tygodni?

 – Dużo więcej.

 – Dziewięć lat?!

 – Tak.

 – To jakaś bzdura. Nie mogłaś słyszeć o mnie dziewięć lat temu.

 – Przysięgam! – Kora bezradnie rozejrzała się po polanie, zaszlochała, przycisnęła jego rękę do swojego serca. – Przysięgam! – powtórzyła i wskazała na swoje usta i ucho.

 – Od kogo? Dawaj imię po literach. Pierwsza: A?

 Kiedy ułożyło się imię „Kasandra”, po plecach Dżafara przebiegły zimne mrówki. Uwierzył od razu i bez zastrzeżeń To imię, chociaż nic nie wyjaśniało, ustawiło jednak wszystko na swoim miejsc. Nawet więcej, spowodowało, że Dżafarowi przeszła cała ochota na wyjaśnianie szczegółów. Co innego planować przyszłość, a zupełnie co innego wiedzieć na pewno. Przysiadł pod drzewem, posadził Korę sobie na kolanach i zamyślił się głęboko. W tym świecie i czasie o nim już wiedziano. Zupełnie mu się nie chciało robić z siebie misjonarza. Może Riviera skorzystałby z takiej możliwości, ale on był urodzonym socjologiem i psychologiem.

 – No dobrze, słyszałaś o mnie, ale jaka ma być w tym wszystkim twoja rola?

Kora dotknęła swojej piersi, a potem jego lewej ręki.

 – Chcesz powiedzieć, że jesteś moją ręką?

 – Tak.

 – I zrobisz wszystko, co ci rozkażę?

 – Tak.

 – Nawet jeśli każę ci się utopić? Albo obciąć sobie rękę?

 – Tak – z całą pewnością siebie, choć oczy szeroko otwarte z przerażenia.

 – Głuptasku. Komu od tego będzie lepiej?

 – Tobie.

 Dżafar speszył się. Potem przytulił ją tak mocno, aż pisnęła i wtulił twarz w jej włosy.

 – Wiesz co, maleńka, ja się ciebie boję. Nie można tak ślepo, bez namysłu… Czekaj no – odsunął dziewczynę, zajrzał w jej oczy. – A może ktoś ci kazał być ze mną?

 – Nie. – ze zdumionym mrugnięciem. Przycisnęła się nieśmiało, pogłaskała Dżafara po ramieniu. Przełknął ślinę.

 – Posłuchaj, będę bardzo dużo pracował. Nie będę miał czasu dla ciebie.

 Dziewczyna mocniej ścisnęła jego rękę.

 – I będę żył tylko dziesięć, najwyżej piętnaście lat.

 – Wiem.

 Dżafar ścisnął kolanami boki konia, ale zaraz zorientował się i zwolnił, zanim jeszcze rozległo się z tyłu żałosne „Afa!”. Odwrócił się i zdążył złapać na twarzy Kory wyraz szczęścia, który zaraz zmienił się w pytanie i strach. Obgryzł już wszystkie paznokcie, ale nie mógł wymyśleć, jak przegonić z jej twarzy to niewolnicze spojrzenie. Chciał myślowo skonsultować się z Gromem, ale w żaden sposób nie mógł go sobie wyobrazić.Zacisnął powieki, aż przed oczami zatańczyły mu kolorowe plamy. Wreszcie udało mu się skoncentrować.

 – Rozpatrz problem z wszystkich stron – poradził Grom. – Wyobraź sobie, że Kora odeszła.

 – Ona nie odejdzie.

 – W takim razie wyobraź sobie, że umarła.

 Dżafar zadrżał całym ciałem i otworzył oczy.

 – Kora, kochasz mnie?

 – Tak! – pewnie i gorąco. Dżafar odwrócił się w siodle, zdjął Korę z Tabaka, posadził przed sobą na Chajkarze. Kobyła parsknęła z oburzeniem.

 – Chcesz zostać moją żoną?

 – Tak.

 Dżafar rozejrzał się i skierował konia na szczyt wzgórza, początkowo lawirując między pniami sosen. Rzadki las szybko się skończył, a ze szczytu wzgórza otwierał się wspaniały widok na lasy, kawałki łąki i łańcuch jezior – aż po horyzont. Przeciwne zbocze wzgórza, nieporośnięte lasem, schodziło łagodnie aż do żółtego pasa plaży nad jednym z jezior.

 – Nadaje się – powiedział Dżafar. – Akurat tego nam potrzeba. Kora, rozejrzyj się i zapamiętaj to wszystko: każde drzewo i każde jezioro, żeby pamiętać do samej śmierci. Ależ nie bój się, uśmiechnij się, zobacz jak tu pięknie.

 Dziewczyna posłusznie pokręciła głową. Dżafar rozebrał się do pasa, wyjął z pochwy kindżał i dokładnie wytarł ostrze. Przechwycił przerażone spojrzenie Kory.

 – Nie bój się, malutka, będzie trochę bolało, trzeba pocierpieć.

 Nie wiadomo dlaczego jego słowa o przyszłym bólu uspokoiły ją. Dżafar przejechał ostrzem na ukos po swoim lewym nadgarstku. Okazało się ostrzejsze, niż oczekiwał, omal nie otworzył sobie żyły. Potem wziął jej lewą rękę i ostrożnie, samym koniuszkiem kindżału, zrobił ukośne zadrapanie na jej nadgarstku. Poczekał, aż pojawią się krople krwi, i przyłożył do zadrapania rankę na swojej ręce.

 – Od dzisiaj aż do śmierci moja krew krąży w twoich żyłach, twoja krew krąży w moich żyłach. Jestem twoim mężem, a ty – moją żoną. Zrozumiałaś, głuptasie? Nawet, jeśli nie będzie mnie przy tobie, i tak jesteś moją żoną, jedyną i niepowtarzalną. A kiedy zwątpisz, popatrz na szramę i przypomnij sobie ten dzień.

 Dżafar opalał się na plaży, udając, że drzemie i skrycie obserwując, jak Kora wchodzi do wody. Skóra, kości, mięśnie, szramy od bata w poprzek pleców, żółte plamy siniaków na żebrach i ani śladu tłuszczu. Piersi jak dwie skórzane fałdki. Można byłoby na niej studiować anatomię, policzyć jej wszystkie żebra nie dotykając palcem. Za to wewnątrz – żelazny upór, twarda świadomość celu i nieograniczona siła miłości. Duma i oddanie – Dżafarpo prostu nie pojmował, jak można połączyć takie cechy. Teraz to naczynie z zaletami płynęło po psiemu wzdłuż brzegu, spieniając wodę nogami. Kora była szczęśliwa i już się nie bała, choć Dżafar zauważył, jak chyba z pięć razy spojrzała chyłkiem na swój nadgarstek. Spojrzał na swój, podniósł głowę i napotkał spojrzenie dziewczyny. Kora z radosnym piskiem wyskoczyła z wody i przytuliła się do niego mokrym ciałem.

 – Uch, aleś ty zimna! – wykrzyknął, porwał ją w objęcia i pobiegł do wody.

 – Mamy jeszcze do przejechania sześćdziesiąt kilometrów. Proponuję zrobić sobie dzisiaj dzień wolny – przedstawił swój plan, podając Korze czwartą kolejną kromkę ze słoniną. – Jutro nakupimy żywności na zapas i pojedziemy do mojego bunkra. Nie masz nic przeciwko?

 Kora nie miała. W ogóle nigdy mu się nie sprzeciwiała. Gdy Dżafar próbował wyjaśnić, dlaczego, otrzymał w przybliżeniutaką odpowiedź: „Ty myślisz i rozkazujesz, ja pracuję”. A na pytanie, czywie, co mają do zrobienia, dostał jasną i wyrazistą odpowiedź: „Ty wiesz”.

 – Nie, Piętaszku, nie, żebyś całkiem nie trafił, ale nie trafiłeś w kulkę – wymamrotał.

Korę to zaciekawiło, więc opowiedział jej bajkę o Winnie-Poohu i jego przyjaciołach. O niepoprawnych pszczołach i niebieskiej kulce powietrznej. Do wieczora kąpali się, kochali, opowiadał jej bajki i doskonalili język gestów.

 – Co to znaczy „nie chcę”. To ja nie chcę, żeby wiatr zdmuchnął moją żonę z konia. Jedz szybko!

 Kora posłusznie zaczęła ruszać łyżką. Konie odpoczęły, były świeże. Tabak przypomniał sobie, że jest rozpłodnikiem i próbował po swojemu wytłumaczyć to Chajkarze, ale na razie nie znajdował u niej zrozumienia. Dżafar poklepał go po szyi, obiecał szepnąć słówko Chajkarze i osiodłał. Oboje z Korą postanowili na jakiś czas zamienić się końmi, żeby te przywykły do obu jeźdźców.

 Przez całą drogę opowiadał dziewczynie o sobie, o swoim świecie, o tym, jak utknął w tym i przespał w anabiozie tysiąc lat. Kora słuchała uważnie, kiwała głową, wzdychała i cicho się cieszyła.

 – Z czego ty właściwie tak się cieszysz? – zapytał.

 – Ja. Ty. Razem.

 Gdy podjechali do bunkra, Dżafar roześmiałsię ze swojej próby zamaskowania wejścia. Ziemia osiadła, gałązki uschły i bardziej przyciągały uwagę niż maskowały. Łopata była na miejscu, ziemia – miękka, więc po dwóch godzinach przejście było odkopane. Po namyśle Dżafar poświęcił jeszcze dwie godziny, żeby odkopać drzwi w całości. Czasem siadał i odpoczywał, a wtedy do pracy brała się Kora. Teraz, w razie niebezpieczeństwa, można było wprowadzić do bunkra konie. Dżafar przeszedł się po dusznych, zakurzonych korytarzach, dziwiąc się, jak mógł je uważać za przytulne i ojczyste. Kora szła za nim krok w krok, ostrożnie dotykając błyszczących przedmiotów i patrząc z obawą na zamglone światełka pod sufitem. Objaśnił jej, gdzie mieszkał, jak się włącza światło i wodę, pokazał sarkofag anabiotyczny. Potem zaprowadził ją do składu i wybrał ubranie według wzrostu. Kora od razu przebrała się w lekki kombinezon desantowy i wybiegła na zewnątrz.Wkrótce z korytarza dobiegło szuranie miotły z zielonych gałązek. Wbrew wszelkim instrukcjom Dżafar otworzył i podparł kamieniami zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne drzwi przedsionka, po czym poszedł do składu po odkurzacz. Ten z wysiłkiem zaszumiał i zadymił, jakby miał się zaraz zapalić, więc Dżafar go wyłączył. W kącie składu znalazło się wiadro, szufla i szczątki szwabry. Zaklął i związał sobie taką samą miotłę. Kora zrobiła słabą próbę odebrania mu jej, ale on zakomunikował, że brudu wystarczy dla obojga. Najpierw zamiótł messę, a Kora zaraz zaczęła ją sprzątać na mokro, wykorzystując jako szmatę swoją starą spódnicę. Dżafar przyniósł drabinkę, po czym przetarł lampy i świetlówki. W sali zrobiło się dwa razy jaśniej. Przejechał palcem po ścianie. W kurzu zrobiła się ścieżka koloru soczystej żółci.

 – A ja myślałem, że cała farba zeszła ze ścian – ucieszył się.

 Kora objęła spojrzeniem ściany,weszła na drabinkę, przejechała miotłą po suficie, po czym zeszła, obwiązała sobie głowę chustką, zostawiając tylko szparę na oczy, i wyrzuciła go za drzwi, wyjaśniając znakami, żeby zajął się czym innym. Dżafar poskarżył się na los Tabakowi, pogłaskał go między uszami, wyjaśnił Chajkarze, że ona nie ma racji, odrzucając zaloty takiego pięknego źrebaka, po czym wziął łopatę i poszedł odkopywać wrota hangaru. Konie poszły za nim. Kopiąc i przeklinając korzenie, kamienie, odciski, zaczął wykładać im swój plan. Chajkara uważnie słuchała, kiwając głową. Tabak wysłuchałpołowy planu – o przekształceniu porzuconego młyna w elektrownię wodną – potrząsnął głową, jakby uważał to za brednie, powąchał ziemię i poszedł sobie.

 – Masz rację, Chajkara, on nie jest wart twojej miłości – zakończył Dżafar, przecinając łopatą kolejne korzenie.

 – Afa! Afa! –Kora podbiegła i pociągnęła go za rękę do bunkra. – Mmm? – zapytała, szeroko rozkładając ręce.

 – Jak za dawnych dobrych czasów – zdumiał się Dżafar. Biały z lekką domieszką niebieskiego sufit, dwie ściany soczyście żółte, trzecia jasnoniebieska, a na czwartej kolorowy hologram rwącej alpejskiej rzeki z zastygłą pod wodą tęczą. – Mój ty zuchu! – Podniósł dziewczynę i zakręcił nią po pokoju. – Dosyć, ogłaszam koniec dnia pracy!

 Przyspawał dwa przewody do głośnika, szczęknął wyłącznikiem.

 – Niesprawny blok autonaprawy № 1. Niesprawny blok autonaprawy № 2. Niesprawne obwody kierowania prawym manipulatorem. Krótkie spięcie w obwodach kierowania lewym manipulatorem – od razu zatrajkotał cyber. Ten sam, w którym Dżafar pokładał największe nadzieje. Kora otworzyła usta ze zdumienia.

 – Cyber, słyszysz mnie? Odpowiadaj! – rozkazał Dżafar.

 –Zgadza się. Proszę o zamianę bloku autonaprawy № 1. Proszę...

 – Stop! Możesz patrzeć, słyszeć, mówić. Tak?

 – Tak.

 – Co jeszcze możesz?

 – Nic więcej. Nadaję się do naprawy.

 – Mówiąca głowa. Aha, zapamiętaj, nazywasz się Głowacz. Będziesz pomagał mi je naprawiać. – Dżafar przywlókł trzy pozostałe, ułożył je na podłodze koło siebie i zdjął ich tylne pokrywy. – Krótko i węzłowato: co tam macie w środku?

 – Bloki procesorowe jednolitego typu. Każdy blok procesorowy zaopatrzony jest we własny blokenergetyczny i połączony kablami z optowłókna z innymi blokami procesorów, blokami autonaprawy oraz pomocniczymi mechanizmami i sensorami. Każdy blok procesorów może kierować całym systemem, dopóki funkcjonuje jego blok energetyczny. Każdy blok energetyczny może zaopatrywać dowolny węzeł systemu. To podnosi żywotność systemu w sytuacjach awaryjnych.

 – Stop, stop, stop! Przestań się chwalić. Już ja widzę, jaką ty masz żywotność. Czy bloki autonaprawy to te ośmionogie?

 – Tak.

 – Od czego zacząć naprawę?

 – Sprawdzić napięcie na zaciskach 1 i 2 pierwszego bloku energetycznego.

Kierując się napisami, Dżafar znalazł blok energetyczny i dotknął zacisków testerem.

 – Zero.

 – Sprawdzić napięcie na zaciskach 1 i 2 drugiego bloku energetycznego.

 – Zero.

 – Sprawdzić napięcie na zaciskach 1 i 2 trzeciego bloku energetycznego.

 – O Boże, ile ich tam jest?

 – Szesnaście.

 – Na wszystkich zero – zakomunikował Dżafar, sprawdziwszy.

 – Naładować albo wymienić bloki energetyczne od pierwszego do szesnastego.

 – Ty, Głowaczu, nie wymądrzaj się za bardzo – mruknął Dżafar i zabrał się do sprawdzania bloków energetycznych pozostałych cyberów.

W drugim też nic nie było, ale w trzecim, tym ze śladami świeżej sadzy na wnętrznościach, w czterech blokach energetycznych zachowała się energia. Dżafar ostrożnie przeniósł je do pierwszego, szczęknął przełącznikiem. Przez jakiś czas nic się nie działo, potem żelazny pajączek bloku autonaprawy poruszył jedną łapką, drugą zapalił na grzbiecie czerwoną lampkę.

 – W celu synchronizacji działań trzeba połączyć kablem z optowłókna wyjście № 10 mojego pierwszego bloku procesorów z wyjściem № 17 pierwszego bloku autonaprawy remontowanego cybera – zakomunikował Głowacz. Dżafar pobiegł do składu, Kora za nim.

 –Działa, rozumiesz, działa – wyjaśnił jej radośnie, szukając na zakurzonych półkach. – A-psik! – kichnął od kurzu. – Jeśli tak dalej pójdzie, do wieczora wszystkie postawimy na nogi. W ostateczności z czterech zawsze da się zrobić jednego!

 – Blok autonaprawy № 1 wymaga smaru – zameldował cyber po podłączeniu do pajączka.

 – Skąd ja ci wezmę smar?

 – W składzie. Regał 7, półka 2, kontener 4 z napisem „SM-M-38/65-18E”.

 – Tam nie ma. Wyschnął na kamień. Słuchaj, a może sarkofag anabiotyczny go syntetyzuje?

 – Tak.

 Po kwadransie Dżafar wrócił ze smarem i pipetką, którą szczodrze pokropił manipulatory pajączka, mając nadzieję, że smar trafi, gdzie trzeba. Pajączek, kulejąc na pięć z ośmiu nóg, podpełznął do drugiego, zdjął z jego grzbietu ośmiokątną pokrywkę, usiadł na nim, włożył mu łapki do środka i zaczął tam grzebać. Na prośbę cybera Dżafar kapnął z pipetki na zdjętą pokrywkę i pajączek co chwilę zanurzał w „zbiorniczku” końcówkę manipulatora, przenosząc kropelkę smaru do wnętrza drugiego. Mijały minuty. W końcu Korze znudziło się obserwowanie ledwie zauważalnych ruchów pajączka. Chciała kontynuować sprzątanie, ale Dżafar powiedział, żeby nie kurzyła. Przypomniała sobie, że Dżafar odkopywał coś wczoraj wieczorem, wzięła łopatę i poszła kontynuować jego pracę. Wielkość wrót hangaru ją poraziła. Że to wrota, domyśliła się od razu. Metal błyszczał tak samo jak ten, z którego wykonane były drzwi wejściowe bunkra. Zresztą po co Dżafar by tu odkopywał, gdyby to nie były wrota? Ale szerokość była imponująca, mogłyby nimi przejechać cztery wozy w rzędzie.

 Gdy po trzech godzinach wróciła do wielkiego pokoju, który Dżafar nazywał messą, nic się tam nie zmieniło. Wciąż tak samo krzątał się żelazny pajączek, siedząc na swoim kompanie, a jej mąż i ten żelazny o wielkich oczach śledzili uważnie jego ruchy, nie zmieniając póz. Zobaczywszy ją, Dżafar z chrzęstem wyprostował plecy i przywołał ją ruchem ręki.

 – Chodź tutaj. Zaraz zacznie się najciekawsze.

 „Najciekawsze” sprowadziło się do tego, że pajączki zamieniły się miejscami. Górny odpełznął na bok, a drugi nieuchwytnie szybkim ruchem wstawił pokrywkę sobie na grzbiet, zdjął taką pierwszego i usiadł na nim, bucząc jak żuk w maju. Kora pochyliła się nad pajączkami, przyjrzała się im. Błyszczące metalowe żyłki, sześcianki, koraliki. „Nigdy się w tym nie połapię”. – pomyślała, pokręciła przecząco głową i ufnie przytuliła się do męża. Dżafar pocałował ją w szyję, odgiął po jednym zapaćkane ziemią palce i zrobiło mu się wstyd.

 – Dość tych głupstw, będziemy się uczyć – powiedział i zaniósł Korę do łazienki, żeby się umyła. – I najważniejsze, nic się nie bój, twoim oczom nic się nie stanie, uwierz mi!

 Posłusznie umyła twarz i ręce, potem nie wiadomo po co pobiegła zamknąć hermetyczne drzwi przedsionka. Dżafar wyciął z papieru kilkadziesiąt kwadracików, na każdym narysował literę i rysunek przedmiotu, zaczynającego się na tą literę. Po namyśle kilka wyrzucił, narysował nowe. G-ARNEK można nazwać R-ondlem, ale G-RZEBIEŃ zawsze będzie grzebieniem. Na wszelki wypadek podał Korze nazwy narysowanych przedmiotów. Przeczytał wykład o głoskach i literach. Początkowo dziewczyna nie mogła zrozumieć zasad rozbioru słów na litery, podwajała samogłoski, łączyła spółgłoskę z samogłoską i w żaden sposób nie mogła znaleźć odpowiedniego obrazka. Dżafar także nie mógł zorientować się, w czym szkopuł, dopóki nie zaproponował jej, żeby sama rysowała obrazki.

 – Nie ma takiej litery „ra” – tłumaczył jej cierpliwie – Słowo „rak” składa się z trzech liter, a nie z dwóch. Jest litera „r”, „r-r-r” i litera „a”. Spróbuj jeszcze raz.

 Wreszcie dziewczyna pięć razy pod rząd wykonała zadanie bez błędów, jeśli nie liczyć ortograficznych.

 – No a teraz sama ułóż z liter, czego chciałabyś najbardziej.

 Kora ułożyła. Dżafar poczerwieniał, roześmiał się, porwał ją w objęcia i zaniósł do łóżka – zrealizować marzenie.

 Kiedy po południu wrócili do messy, pajączki-remontowce pierwszego cybera, naciągnąwszy żyłki przewodów, przepełzły do drugiego i trzeciego i grzebały we wnętrzach swoich towarzyszy. Dżafar zaniepokoił się. O ile znał cybery, nie powinne były przejawiać aż takiej samodzielności. Jeśli rozregulowały się w ciągu tysiąca lat, byłby to koniec całego planu. Bez cyberów nie naprawi flyera, bez flyera nie przywiezie laboratorium, i tak dalej.

 – Słuchaj, Głowaczu, dlaczego bloki autonaprawy przeszły do drugiego cybera? – zapytał.

 – Otrzymano rozkaz: pomóc człowiekowi w naprawie trzech cyberów. Analiza wariantów wykazała, że najefektywniej zacząć od uruchomienia wszystkich bloków autonaprawy.

 – Zuch! Trochę mnie przestraszyłeś. Kontynuuj w tym samym duchu i nie zapomnij wyremontować także siebie. Co ci potrzeba do naprawy?

 Głowacz odpowiedział długą listą kabli z optowłókna, przewodów i innych rzeczy. Dżafar podrapał się w kark, po czym przyniósł ze składu kilka skrzyń części zapasowych cyberów i pod dyktando Głowacza odkładał potrzebne części w jedną stronę, a niepotrzebne – w drugą. Potem poszedł do pokoju sterowniczego, żeby sprawdzić stan systemów zabezpieczenia życia bunkra. Sklął samego siebie na czym świat stoi, po czym przełączył baterię termoelementów na ładowanie akumulatora. Sprawdził poziom wody w cysternie. Zostało jej bardzo mało, zaledwie na dwie kąpiele. Wprawdzie można byłoby przełączyć się na cykl zamknięty, ale to wymagało dużo energii, a tej też było tyle, co kot napłakał. Wrócił i znalazł żonę.

 – Kora, chodźmy obejrzeć stary młyn – powiedział.

 Dziewczyna skinęła mu wesoło, wzięła siodła i pobiegła. Dogonił ją w stajni.

 – Po co? – zdziwił się – Tam jest niecałe dwa kilometry.

 Poklepała konia po nodze, pokazała palcami konia w biegu. Przyznał jej rację: koniom też przynajmniej od czasu do czasupotrzebna jest przejażdżka.

 Na miejscu Dżafar dokładnie obejrzał pozostałości tamy. Niestety, pozostało niewiele. Widocznie w którymś roku poziom wody był szczególnie wysoki. Za to koło zachowało się całkiem dobrze. Dżafar obejrzał pomieszczenie, do którego prowadził wał, pomierzył taśmą mierniczą odległości, narysował wszystko.

 – Tu postawimy generator – powiedział.

 Kora klasnęła ze zdumieniem, wskazała palcem na żarna: „To?”.

 – Nie, pokażę ci, jak wrócimy.

 – A żebyście wszystkie zdechły w strasznych mękach, krrrwiopijcy! – Dżafar klął komary po ziemsku, w miejscowym języku, w miejscowym sprzed tysiąca lat, i znowu po ziemsku. Obie ręce miał zajęte olbrzymim pobijakiem, którym wbijał w dno pale pod przyszłą tamę, i komary z tego bezlitośnie korzystały. Pali trzeba było sporo – ponad pięćdziesiąt, a w ciągu jednego dnia można było wbić ich najwyżej dziesięć.

 Kora podawała mu, co chciał, ale do wbijania pali była za słaba. Był zdumiony jej pracowitością i bystrością przy pracy. Tylko nie mógł się z nią spierać. Gdy tylko wypowiadał swoje zdanie, uważała sprawę za zamkniętą. Raz nawet nakrzyczał na nią za to. Rozpłakała się i uciekła. Dżafar poszedł za nią, żeby ją pocieszyć i przeprosić, ale wpadł na nią w drzwiach. Niosła karteczki z literami, które przy zderzeniu rozsypały się po podłodze. Pocieszył ją, posadził przy stole, pozbierał karteczki.

 – No a teraz: co chciałaś napisać?

 Kora, pociągając nosem, ułożyła zdanie: „JA POMAGAĆ A NIE RADZIĆ”. Dżafar długo rozmyślał nad tym arcydziełem, wreszcie wezwał na pomoc psychologię stosowaną. Najpierw proponował jej narysowanie własnego wariantu, po czym porównywał go z własnym. Albo dawał jej do wyboru kilka wariantów i pytał, który uważa za najlepszy.

 Stopniowo ustalił się rozkład zajęć. Rano – śniadanie, nauka, sprawdzanie, co u cyberów. Dżafar dał im rozkaz naprawić WSZYSTKO, ale przy tym nie tracić więcej niż połowy wyprodukowanej w ciągu doby energiielektrycznej. Dlatego entuzjazmu pracy nie starczyło im na więcej niż pół godziny. Czasem Dżafar korygował im harmonogram pracy, każąc zaczynać od naprawy czegoś, co wymagało mniej energii. Potem zajęcia przy koniach. Tym w zasadzie zajmowała się Kora, ale Dżafar uczył się i w razie konieczności mógłby to już sam zrobić. Potem były prace przy „budowie giganta hydroenergetyki” – budowa tamy, obiad, znowu zajęcia przy koniach, przejażdżka wierzchem, kolacja, zajęcia z Korą, sen. Kładli się wcześnie, gdyż Dżafar oszczędzał energię. Wszystko, co mogli, robili na otwartym powietrzu. Zbudowali letnią kuchnię, jadalnię, szopę dla konni. Najpierw zrobili daszek na palach, potem Kora chciała zbudować ściany z prętów wierzbowych, ale Dżafar obciągnął wszystko półprzeźroczystym zielonkawym plastikiem. Wyszło pięknie i koniom też się podobało.

 Kora już przywykła w razie kłopotów z językiem gestów biegać po karteczki z literami i układać z nich zdania. Teraz też pojawiła się z pudełkiem karteczek pod pachą, ale tym razem Dżafar zabrał jej pudełko, położył przed nią arkusz papieru i powiedział:

 – Pisz.

 Marszcząc czoło z napięcia napisała drukowanymi literami: „Boję się tych żelaznych”. Dżafar poprawił błędy i roześmiał się. Na taki obrót wydarzeń był już od dawna przygotowany, przygotował na niego także cybery.

 – Aleś ty głupia! Po pierwsze, zakochały się w tobie po uszyzaraz po przebudzeniu, a po drugie, same się ciebie boją, gdyż patrzysz na nie krzywo i ani razu nie pogłaskałaś. Głowacz mi mówił.

 – Siedzą i patrzą – napisała Kora.

 – Są głodne. Jedzą energię elektryczną, a u nas nie wystarczy jej nawet dla jednego.

 I już Kora nie bała się cyberów. Było ich jej żal i przechodząc, zawsze głaskała je po głowach, a one jej odpowiadały basowym mruczeniem. Po trzech dniach ubrała je w futrzane kamizelki i cała czwórka przybrała zadziwiająco sympatyczny, domowy wygląd.

 – To mi się podoba! – zachwycił się Dżafar. – Jak doszłaś do tego?

 – Głodni zawsze marzną – napisała Kora.

 Pierwsza część pracy została wykonana. Pale wbite w odległości około metra jeden od drugiego, między nimi naciągnięty w dziesięć rzędów nierdzewny drut, umocniony gwoździami. Teraz Kora wplątywała między rzędy drutu wierzbowe pręty. Na szczęście w najbliższej okolicy było wystarczająco dużo. Dopóki Kora zajmowała się ścianą, Dżafar pracował nad kołem. Podniósł je o pół metra, zastąpił drewnianą oś przez żelazną. Zamiast łożysk ślizgowych zainstalował wielkie łożyska rolkowe. Przedłużył łopatki o pół metra nasadkami ze stopu tytanu. Teraz czterometrowe koło błyszczało w słońcu i wyglądało współcześnie, przemysłowo. Przez tydzień Dżafar krzątał się, podnosząc o metr ściany rynny, doprowadzającej wodę do koła i przerabiając śluzę, którą odpływała wykorzystana woda. Potem przygotował włókę i z pomocą Chajkary, Kory i przekleństw przetaszczył z bunkra do młyna sześćsetkilogramowy generator z podnoszącym ciśnienie reduktorem na wale. Sprowadził cybera, objaśnił mu zadanie i kazał wyliczyć najlepsze miejsce dla generatora. We wskazanym miejscu zdjął półmetrową warstwę gruntu, zasypał suchym piaskiem i polał obficie emulsjonką – dalekim potomkiem cementu. Podczas gdy emulsjonka się ścinała, przez dwa dni umacniał ściany i remontował dach. Znowu wezwał cybera, kazał mu ustawić generator na osi koła, podstawę zasypał piaskiem i zalał emulsjonką. Między starą groblą a nowo postawioną ścianą powstał trzymetrowy korytarz długości sześćdziesięciu metrów, oprócz tego nowa grobla miała być o metr wyższa od starej. Kiedy Dżafar wyjaśnił Korze, że ten korytarz trzeba będzie w całości zasypać, dziewczyna usiadła na skraju grobli i cicho zapłakała.

 – A no, spójrz mi w oczy. Boisz się, że nie poradzimy sobie z tym? – zdziwił się.

 Kora wyjęła zza cholewy kindżał, rozejrzała się i zaczęła bazgrać na piasku:

 – Lato się kończy. Nie posadziliśmy ziemniaków. Nie ma chleba. Siano nieskoszone. Zabiliśmy trzy łosie, to kłusownictwo. W zimie będziemy głodowali. Konie zdechną. W domu nie ma piecyka. Zamarzniemy.

 – Ech ty, to drobiazg! Myślałem, że masz coś poważniejszego. Kiedy zadziała generator, będziemy mieli wszystko. I ciepło, i jedzenie.

 – W zimie rzeka zamarza. Młyn się nie kręci.

 Dżafarowi aż się zimno zrobiło.

 – Zamarza aż do dna?!

 – Nie. Tylko z wierzchu.

 – No to sobie poradzimy.

 Kora od razu uspokoiła, poweselała, za to Dżafar pierwszy raz pomyślał poważnie o zimie.

 Napełnić worek – dziesięć łopat piasku – wlać do niego wiadro rozwodnionej do granic możliwości emulsjonki, odciąć kawałek sznurka ze zwoju, zawiązać worek, wrzucić na wóz. Wziąć następny, napełnić, plusnąć emulsjonki, zawiązać, na wóz. Wreszcie wóz jest pełny. Więcej nie można, koń nie pociągnie. W czasie, gdy Dżafar wiezie, a potem zrzuca worki w szczelinę, Kora przygotowuje nowe. Odkręca z niekończącego się rulonu metrowy kawałek plastikowej pończochy, odcina, związuje z jednej strony sznurkiem. Worek gotowy. Dżafar zrzuca w błoto ostatnie worki. Jeszcze jeden metr. Nie można aż tak rozwadniać emulsjonki. Nie skrzepnie. Albo skrzepnie za rok. Ale co robić, jeśli w składzie jest mniej niż tona suchego proszku? Za to w głównej bazie – do licha i trochę. Tam wszystkiego jest pod dostatkiem, wszystkiego oprócz energii. A u mnie tu flyer stoi. Godzinę tam, godzinę z powrotem – i już mam pół tony emulsjonki. Tylko że najpierw trzeba tamę zrobić, akumulatory flyera naładować, a dopiero potem będzie godzina tam, godzina z powrotem. Błędne koło. A Kora zuch, moja kochana. Znowu napełnia worki. Powiedziałem jej przecież, żeby odpoczywała, dopóki nie wrócę. Ona jest doprawdy niezmordowana. To się nazywa, że się nad nią ulitowałem, obroniłem? Haruje jak murzyn na plantacji. Ba, jak dziesięciu murzynów. Piasek na zębach, piasek za kołnierzem, wszędzie. Nie można kombinezonu zdjąć, komary, bąki. Trzeba rozkazaćcyberom, żeby zrobiły odstraszacz ultradźwiękowy. Tylko nie zapomnieć do wieczora!

 – K-k-kora, khe-khe, mówiłem ci, przygotowałaś worki – odpocznij.

 Strzeliła oczami – i dalej napełnia.

 –Kora,odłóż łopatę, spójrz mi w oczy. Dlaczego mnie nie słuchasz?

 Wyjęła kindżał, skrobie na piasku. Po co cały czas chodzi z kindżałem?

 – Tam są głodne cybery.

 – Zrozum, kochana, że ich z głodu nic nie boli. Dzień wcześniej czy później nie ma dla nich znaczenia. Po prostu śpią, i tyle. Nie, nawet nie śpią, lepiej byłoby powiedzieć drzemią. Opowiem ci wszystko o nich później. A po co cały czas nosisz kindżał?

 – Jestem twoją żoną. Jak kto się przyczepi, uderzę.

 Worek, dziesięć łopat piasku, emuulsjonka, zawiązać, na wóz. Następny. Na wóz. Następny. Na wóz. No, Chajkara, nie kręć głową, nie więcej, niż zwykle. Zmieniam plan. Spiętrzać wodę do zbiornika zacznę, kiedy tylko podniesiemy tamę jeszcze o metr. Albo kiedy z tej polanki wybierzemy cały piasek, nie wiem, co będzie wcześniej. Jeśli od razu całą rzekę zagrodzę, wyschnie i chłopi pójdą wyjaśniać, co i jak. A jeśli zagrodzę połowę, spłycieje, zaniepokoją się oczywiście, ale w gorące lato to się zdarza. Postanowione, będę podnosił poziom wody razem z tamą, tak na pół metra niżej. I, jeśli zacznie gdzieś przeciekać, zaraz zobaczę. W ogóle trzeba oduczyć chłopów chodzenia do tego lasu. Może rozrzucić po lesie plastikowe szkielety? Tak ze dwie-trzy setki. A w młynie cztery posadzić przy stole, niech grają w karty. A co, o opuszczonych młynach zawsze opowiadają straszne historie. Każę cyberom przygotować cztery automaty do gry w karty, w kształcie szkieletów z płonącymi na czerwono oczami. Posadzę je przy stole i niech grają na pieniądze. Albo jeszcze lepiej na kości. Oświetlenie dam ciemnoniebieskie, prawie fioletowe. I zwycięzca będzie śmiał się strasznym grobowym śmiechem. Kto zajrzy w okno, nigdy już nie pójdzie do tego lasu. Można jeszcze głos zrobić, miły, kobiecy, żeby uprzedzał: uciekajcie stąd jak najszybciej, nie mam siły powstrzymywać Złego. Jeśli nie odejdziecie, to i z was zostaną tylko szkielety.

 – Koniec, Kora, przerwa na obiad. Chajkara, ty odpoczniesz trochę dłużej, parę godzin popracuje Tabak. Co tak kręcisz głową? Wiem, łatwo się męczysz, ale z przerwami tyle wytrzymasz. Nie chcesz pracować? Ajajaj! I ty byłeś rycerskim koniem! Nie słyszałeś, że praca zrobiła z małpy człowieka? Może zrobi i z ciebie, próżniaka? Znowu kręcisz głową, nie chcesz być człowiekiem? A może masz i rację. Trudno jest być prawdziwym człowiekiem. Słyszałeś o brzemieniu białego człowieka? No proszę, ale jesteś oczytany! Tylko po co tarzałeś się w piasku? Kora rano pięknie cię wyczyściła, a ty buch w piach i nogi do góry. Koniec, nie mam więcej cukru. Dostaniesz jak zarobisz. Pobiegaj z godzinkę, dopóki nie zjemy obiadu – zakończywszy „rozmowę” z końmi, Dżafar zwrócił się do żony:

 – Kora, mam nowy pomysł. Jak tylko woda podniesie się o dwa metry, zrobię tymczasową rynnę na połowę wysokości koła. Niech pracuje chociaż na ćwierć mocy, nawet na jedną dziesiątą,już jeden z cyberów będzie mógł nam pomagać. No, jak ci się to podoba?

 Worek. Na wóz. Worek. Na wóz. Do diabła, emulsjonka w beczce się kończy. Na ten wóz jeszcze wystarczy, a potem rozpuszczę nową. Ile trzeba wszystkich worków? Przecież liczyłem. Dwadzieścia na metr kwadratowy na decymetr wysokości. Od czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy. A my w najlepsze dni robimy po tysiąc. Minus dni deszczowe – skończymy akurat we wrześniu, gdy zaczną żółknąć liście. Liście żółte kręcą się, spadając… Ciężki, cholera! Dwie dodatkowe łopaty wsypałem. Cichy szelest pod nogami wydają. I przed jesienią nie schowasz się przecie… Koniec, ostatni. Liście żółte, o czym śnicie, powiedzcie…

 – Kora, ty na razie odpocznij. Ja rozwodnię emulsjonkę. O co pytasz? Skąd tyle plastikowej taśmy na worki? Wozili ją do Azji Środkowej. Tam jest pustynia piaszczysta, gdzie cały rok słońce praży jak tu dzisiaj. A gdyby te piaski dostały choć trochę wody, dawałyby nawet trzy zbiory w roku. Chcieliśmy tam stworzyć strefę nawadnianego rolnictwa. Ale nie zdążyliśmy. Nic nie zdążyliśmy. No, wszystko, a teraz popatrz tutaj. Zaczynamy najciekawszą część pracy. Zasypiemy podstawowe koryto, tam, gdzie rzeka całkiem rozmyła tamę. Woda podniesie się o metr i popłynie kanałem ze śluzą. A kiedy doprowadzimy tamę do wysokości dwóch metrów, woda dopłynie tą tymczasową rynną do koła. Wtedy dopiero pożyjemy!

 Zbliżał się wieczór. Dżafar poprawił ostatni worek, zdjął buty, włożył nogi do chłodnej wody. Wyprostował się i popatrzył wzdłuż tamy. Żółte worki, ułożone jak parkiet, ciągnęły się w dal i znikały za lekkim zakrętem.

 – Kora, Kora, popatrz no, czy tobie to czegoś nie przypomina? To przecież droga z żółtej cegły. Później opowiem ci o niej bajkę. O dzielnej dziewczynce Elli, Mądrym Strachu na wróble, czarnoksiężniku ze Szmaragdowego Grodu. A teraz zapamiętaj: tego, kto idzie po drodze z żółtej cegły, czeka mnóstwo przygód. Zdejmuj buty i idziemy.

Iść po zimnych, nieco śliskich i mokrych po niedawnym deszczu workach było zadziwiająco przyjemnie. Dwukrotnie przeszli całą tamę tam i z powrotem, podziwiając wieczorne piękno sztucznego jeziora.

 Dżafar obrócił ciężki kołowrót, opuszczając wrota śluzy jeszcze o dwadzieścia centymetrów. Potok za jego plecami znacznie osłabł. Ale poziom wody w zbiorniku podnosił się bardzo powoli, prawie niedostrzegalnie dla oka. Oboje z Korą zdążyli zjeść obiad, zanim pierwszy strumyczek dotarł po rynnie do koła młyńskiego. I czekali jeszcze dziesięć minut, zanim koło młyńskie obróciło się o kilka stopni i znowu zamarło.

 – Hydryt twój anhydryt! – zaklął niezrozumiale Dżafar i podniósł koniec rynny o dziesięć centymetrów, podkładając pod niego kawałek drewna. Potok stopniowo nabierał siły, koło obracało się nieprzerwanie, choć bardzo powoli. Dżafar pobiegł w głąb pomieszczenia, do pulpitu z wskaźnikami.

 – Jeden kilowat! – krzyknął z okna.

 – Czy to dużo? – zapytała Kora gestami.

 – Mało! Ale dotąd mieliśmy tylko pięćset watów.

 Dżafar dwa razy obejrzał wszystkie węzły generatora, potem koło, nawet spróbował kręcić je rękami, po czym zapytał z zakłopotaniem:

 – Ale dlaczego tak mało? To tyle, co kot napłakał. Aż śmieszne…

 Sądząc po jego głosie, wcale nie było śmieszne. Kora pogłaskała go po plecach i zacisnęła dłonie na jego ramionach.

 – Nie, popatrz no, taki potok – to przecież ponad sto litrów wody na sekundę – oburzał się Dżafar. – I tylko jeden kilowat!

 Kora też obejrzała koło. Woda szła gdzie trzeba, nigdzie się nie przelewała. Dżafar usiadł na ziemi i zamruczał:

 – Wat – to dżul na sekundę. Czyli E równa się em fał kwadrat przez dwa. Nie, łatwiej, E równa się em gie ha. Sto litrów razy dwa metry, nawet trochę więcej, razy 9,8 – zaokrąglimy do dziesięciu – to dwa kilowaty. A ja mam na wskaźniku jeden. Współczynnik Korzystnego Działania pięćdziesiąt procent. Wszystko się zgadza, nawet całkiem nieźle – ale patrząc na jego minę Kora upewniła się, że mu się to nie podoba. – Jutro będzie więcej.

 Po trzech dniach koło dawało już pięć kilowatów i Dżafar mógł włączyć do pracy cybery. Prace poszły kilka razy szybciej. Cyberów było cztery i mogły pracować okrągłą dobę. Ale Dżafar nie dopuszczał ich do układania tamy, więc piaszczysty wąwóz ciągle zarastał i zarastał warstwami worków jego roboty. Po dalszych czterech dniach Dżafar zgromadził cybery pod kołem i powiedział:

 – Chłopcy, mam dla was zadanie. Wysokość tamy wyniesie cztery metry. Rzeka daje od dwu do dwu i pół metra sześciennego na sekundę. W idealnych warunkach może to być sto kilowatów. A nasz generator jest obliczony na dwieście pięćdziesiąt. Pomyślcie, jak można przerobić koło i co jeszcze trzeba zrobić, by otrzymać maksimum energii. Gdy już wymyślicie, zakomunikujcie mnie i wykonajcie. Aha, nie odchodźcie stąd dalej, niż na dwa kilometry i starajcie się nie pokazywać obcym ludziom. Zanim zaczniecie prace, napełnijcie akumulatory energią tak, żeby mieć jej potrójne zapasy. Zadanie jasne? Są pytania? Wykonujcie.

 Cybery ustawiły się w kółko, powtykały sobienawzajem w brzuchy jakieś przewody, postały chwilę; po czym rozbiegły się po brzegach rzeki: dwa poszły w górę, dwa w dół. Dżafar obserwował je z dużym zainteresowaniem. Nigdy wcześniej nie interesował się cybernetyką, a do cyberów odnosił się jak do mebli. Są – i dobrze. One zajmują się swoimi sprawami, on – swoimi. Wiedział oczywiście, iżcybery nic nie zrobią bez rozkazu. Jednak ile bazowych, umieszczonych jeszcze w fabryce rozkazów przechowuje ich pamięć, ile nieskasowanych rozkazów pozostało tam jeszcze z „czasów przedhistorycznych” – tego nie wiedział nikt. Oprócz tego cybery gromadziły doświadczenia „życiowe”, uczyły się na własnych błędach. Na przykład, jaką informację teraz wymieniały między sobą? Może jak jest zbudowany Dnieproges, a może jak chodzić po błocie? Ogólne zasady programowania były takie: rozkazujący stawia zadanie, opisuje warunki graniczne i wyjaśnia, czy cyber dobrze je zrozumiał i ile czasu mu to zajmie (jeśli nie zostało to określone w warunkach granicznych). W złożonych sytuacjach każe cyberowi komunikować o przebiegu wykonania rozkazu i przedsięwziętych krokach. Przy wydawaniu rozkazu unikaćsformułowań typu „za wszelką cenę”, czy „dopóki nie zrobisz, nie wracaj”. W przeciwnym razie cyber wysłany do ogrodu po marchewkę zasadzi ziarenko i będzie cierpliwie czekał, aż urośnie.

 Dżafar wrzucił na wóz dwadzieścia worków i poklepał konia po kłębie:

 – No, leniuchu!

 Tabak odpowiedział mu niewyobrażalnie smutnym spojrzeniem.

 Cybery opracowały projekt, obejmujący między innymi oczyszczenie porohów pół kilometra poniżej tamy, i teraz gromadziły energię. Wykonywały równocześnie drobne naprawy komputerów i całej techniki użytkowej, jeden z nich pomógł Korze zakończyć globalne sprzątanie pomieszczeń bazy. Tymczasem Dżafar dalej budował groblę. Na czwarty dzień kazał cyberom przygotować zapas worków, a na piąty ze zdziwieniem obserwował, jak kroją i spawają dla siebie z grubego plastiku kostiumy do pracy w wodzie. Oczyszczenie porohów poszło szybko. Rozbiwszy się na pary, cybery żwawym truchtem wbiegały w rzekę, ładowała na nosze kamienie i równie żwawo wynosiły je na brzeg. Rzeka powyżej porohów spłyciała, przyśpieszyła, poniosła po dnie ił i piasek. Skończywszy z porohami, cybery wzięły łopaty oraz rulony plastiku i pobiegły gdzieś w górę rzeki. Dżafar poszedł za nimi. Cybery zaczęły budować wał między dwoma wzgórzami. To było niedopatrzenie Dżafara. Gdyby woda podniosła się jeszcze o metr, rzeka przebiłaby sobie nowe koryto, omijające tamę. „Aj-ja-jaj” – powiedział sobie Dżafar. – „Omal mnie nie spotkała straszna niespodzianka. Ale to «omal» się nie liczy! Jak mawiała moja babka: «Myśleć trzeba. Głową!». A cyby zuchy! Z takim i chłopcami przewrócimy cały ten świat”.

 Kora, zziajana, z wytrzeszczonymi oczami, wpadła do bunkra, pokazała palcami: „niebezpieczeństwo”, „nieszczęście”, wsunęła Dżafarowi w ręce miecz i pistolet laserowy. Dżafar pochylił się, wyskoczył na zewnątrz, rozejrzał się. Nikogo. Skoczył z powrotem do bunkra i zderzył się w drzwiach z Korą, uzbrojoną w topór i łom.

 – Kto tam jest, ilu ich?

 – Wawawa i-i-wi! – Pokazała cztery palce, potem rękami coś dużego, okrągłego.

 – Weź papier i pisz!

 Kora odrzuciła łom i topór, pobiegła do pokoju. Odbity od ściany łom boleśnie uderzył Dżafara w łydkę. Ten ryknął jak niedźwiedź i poskakał za Korą na jednej nodze.

 – Cybery złamały koło – nabazgrała po prostu na stole.

 Kilka sekund patrzył nic nie rozumiejąc, potem usiadł ciężko na podłodze.

 – Kora, wybacz mi, jeśli możesz, zapomniałem cię uprzedzić. Kazałem im zrobić nowe koło, lepsze od starego. Całą drogę biegłaś, biedactwo. – Objął ją za ramiona i przytulił.

Kora ciągle jeszcze nie mogła złapać oddechu. Mimo jej słabych sprzeciwów wyprowadził ją na zewnątrz i zaczął prowadzić jak konia po galopie. Wreszcie przyszła do siebie, spojrzała mu w oczy, chlipnęła przepraszająco i uśmiechnęła się. Przeszli jeszcze kilka kroków, pochyliła się, zebrała garstkę jagód i wysypała mu na dłoń.

 Cybery zabrały się do pracy z rozmachem. Pogłębiły o metr kanał, odprowadzający wodę z koła, anowe koło, o trzymetrowej grubości i pięciometrowej średnicy, wyprodukowały ze szczególnie wytrzymałego stopu. Zrobiły nowe podpory łożysk, poprawiły śluzę. Krótko mówiąc, przerobiły wszystko, co własnoręcznie zrobił Dżafar, i z czego był tak dumny. Do generatora podłączyły dużo elektroniki i podwyższający transformator. Dowiedziawszy się, że kablem pójdzie teraz sześć kilowoltów, Dżafar kazał zakopać go w ziemi na głębokości dwóch metrów. Według nowego planu wysokość grobli należało podnieść jeszcze o pół metra, więc Dżafar z ciężkim sercem powierzył cyberom układanie worków. Ponieważ wychodziło im to całkiem dobrze, Dżafar powierzył im wszystkie prace przy tamie i nieoczekiwanie stał się praktycznie bezrobotny. Flyer stałnienaprawiony, jego akumulatory pozostawały puste. Elektrownia pracowała na jedną dziesiątą mocy i ta moc prawie w całości szła na budowę tamy. Napełnianie zbiornika wodą zostało zsynchronizowane ze wznoszeniem tamy. Wszystkie zaczęte prace toczyły się swoją koleją i nie wymagały ingerencji. Dżafar postanowił naradzić się z Korą i, jeśli nie znajdzie się pilnych prac, zrobić święto. Naturalnie, praca się znalazła.

 – Trzeba kosić siano – napisała Kora.

 – U-u-u! – powiedział Dżafar – A wiesz co, nie będziemy kosili, tylko kupimy.

 Kora zgodziła się chętnie. Opracowali plan działań, omówili, ile trzeba siana, ile ono kosztuje, gdzie zrzucić. Kora ubrała się jak chłopska dziewczyna, a Dżafar jak rycerz. Osiodłał Chajkarę, posadził Korę przed sobą i pojechali. Po dziesięciu kilometrach jazdy znaleźli chłopa, ładującego na wóz siano.

 – Hej, chłopie, chodź no tu! – krzyknął Dżafar. Chłop podszedł, ukłonił się. – Ona potrzebuje siana. Kupuję je u ciebie. Kora, umawiaj się co do ceny.

 – Ależ szlachetny rycerzu, ja nie mam siana na sprzedaż.

 – A to co? Ja za nie płacę, więc się sprzedaje.

 Kora zeskoczyła z konia i zaczęli się targować. Chłop coś pokazywał na palcach, Kora to odrzucała ostrym gestem, chłop się nie zgadzał. Ręce szybko migały. Chłop rzucił na ziemię czapkę, tupnął po niej nogą, podniósł trzy palce. Kora wzięła się pod boki, też tupnęła bosą nogą, pokazała dwa palce. Chłop zgiął jeden palec. Uderzyli po rękach. Dżafar się roześmiał.

 – Zapłać mu podwójnie – powiedział. – Jak się nazywasz, chłopie?

 – Brian, sir.

 – A więc, Brian, jutro o tej porze przygotuj nam jeszcze jeden wóz po takiej samej cenie. Konia i wóz otrzymasz z powrotem tutaj o zachodzie słońca.

 – Jeśli pan zechce, sir, przygotuję wam dziesięć wozów! Tylko czy ja nie mogę sam…

 – Nie możesz. Czy jesteś podobny do pięknej dziewczyny?

 – Chciałem zapytać, czy nie można konia zwrócić wcześniej?

 – A, to można. Bez wozu, galopem…

 – Nie, nie trzeba, sir. Jak o zachodzie, to o zachodzie, poczekam. Dziękuję, szlachetny sir.

 Pod czepliwym spojrzeniem Kory dokończył załadunek wozu. Kora odliczyła pieniądze, wdrapała się na górę, uderzyła konia wodzami i wóz ruszył. Dżafar jakiś czas jechał obok,potem stanął w siodle, przeskoczył na wóz i objął Korę za ramiona. Dziewczyna roześmiała się i pomachała chłopu ręką.Po chwili zatrzymali się i zaprzęgli Chajkarę obok jego konia.

 Z okazji uzyskania przez hydroelektrownię planowanej mocy 85 kWh i zakończenia prac gospodarskich postanowili zrobić sobie święto i pojechać na niedzielny jarmark do najbliższego miasteczka, Tonto. Kora chciała jak zwykle ubrać się po chłopsku, ale Dżafar nalegał, żeby się ubrała jak lady. Przygotowywali się cały dzień. Dżafar znalazł w składzie skrzynkę ze sztabkami technicznego srebra, włożyłdo automatu kopiującego kilka srebrnych monet, zredagował na jego monitorze daty wybicia i wypuścił własną serię. Kora przeraziła się, pokazała gestami, że za fałszowanie pieniędzy obcinają ręce, ale po dokładnym obejrzeniu monet i porównaniu ich z prawdziwymi uspokoiła się.

 W Tonto zapłacili za pokój w karczmie, wynajęli tragarza z wózkiem i trzy razy obeszli wszystkie kramy. Na placu występowali akrobaci, siłacze, zapaśnicy, roznosiciele handlowali pierogami i mięsem pieczonym w cieście, gdzieniegdzie sprzedawano piwo lub wino. Oczy Kory błyszczały jak gwiazdy, Dżafar kupował wszystko, na co tylko wskazała. Większość srebra wymienił u wymieniacza na złote, wyjaśniwszy Korze, że potrzebne są mu wzory, resztę szczodrze wydawał. Kupił sobie kilka noży do rzucania, kindżał z jakiejś birukańskiej stali, mały kindżał w pozłacanej pochwie dla Kory. Skończywszy z zakupami, jeszcze raz poszli na plac, żeby odpocząć. Zatrzymali się przy arenie, na której walczyli zapaśnicy. Dżafar zdjął kolczugę, zrobił rozgrzewkę, rozebrał się do pasa i położył jednego po drugim pięciu zapaśników, ale długo nie mógł poradzić sobie z szóstym, gibkim i zwinnym jak kot. W końcu zdołał przerzucić go przez siebie, ale ten chwycił nogami jego lewą rękę i padli równocześnie, ku uciesze widzów. Zaliczono to jako remis. Roześmiali się, pomogli sobie wzajemnie wstać, wyszli z kręgu, ustępując miejsca następnej parze i wypili po kuflu słodkiego miejscowego piwa. Kora podała Dżafarowi ubranie i udali się pod mur miejski, gdzie rywalizowali łucznicy. Dżafar pięć razy skandalicznie chybił z łuku, zażądał kuszy, rozbił trzy jabłka, nieco zadrasnął czwarte i odciął gałązkę z listkiem piątemu, uprzedziwszy wcześniej, gdzie mierzy. Ponieważ czwarte jabłko spadło z podstawki, też mu je zaliczono i wydano nagrodę: dzbanuszek wina. Winno okazało się znakomite. Dżafar wypytał, gdzie go kupili, poszedł do tej karczmy, przedegustował całą piwnicę, kupił trzy beczki, dwie kazał odprawić wraz z Korą do swojej karczmy, a z trzeciej wybił dno i kazał ugaszczać wszystkich chętnych. Karczmarz wystawił upieczoną w całości świnię, Dżafar ją całą kupił spróbował, smakowała. Wypił jeszcze kufel wina, skoncentrował spojrzenie na świńskim ryju i ryknął:

 – Chłopcy, co ma wspólnego sir Kid Włóczęga z tą świnią? Kto zgadnie, dostanie wiadro wina i świńską szynkę.

 Posypały się nieśmiałe propozycje.

 – Nieprawda! – odrzucił ruchem ręki wszystkie hipotezy. – On też był świnią! Ja t-to dobrze wiem, bo z nim w-walczyłem. – Dżafar wyjął miecz, chwycił obiema rękami jego rękojeść – ludzie uciekli na boki – zamachnął się szeroko i jednym potężnym ciosem rozciął tuszę na pół. – Chodźcie tu, chłopcy! Dziczyzna podana. Karczmarzu, wina! Knur to dziczyzna? – zażądał odpowiedzi od chudego chłopa, osowiale klapiącego powiekami. – Dziczyzna. Więc i świnia to też dziczyzna. Zrozumiałeś, przodku proletariatu? Świnia – to dziczyzna!

 Chłop przewracał oczami i kiwał twierdząco. Było u dobrze. Świńska tusza szybko zamieniła się w stos kości na podłodze.

 – Moja czapka mu się nie podobała – wyjaśnił Dżafar drugiemu chłopu – więc wziąłem go za... – Tu Dżafarowi wpadł do głowy inny dobry pomysł. – A kto z was umie grać w baseball? – krzyknął na całą salę. Nikt nie umiał. – A w piłkę nożną? W hokeja? – Dobrze, zaraz nauczę – mamrotał, wykręcając dębową nogę stołową. – Hej, chłopcy, odejdźcie od tej ściany. Ty, łysy, będziesz podawał piłkę. Karczmarzu! Wina i piłkę! Nie ma piłki? Gdzie ja trafiłem? Piłka – to taki buk-łak.

 Uderzony mocno bukłak z winem przeleciał pół sali i rozwalił górną półkę nad kominkiem.

Gliniane kubki i metalowe talerzyki z łoskotem posypały się na podłogę.

 – Sztanga-a! – ryknął Dżafar. Chłopi nie zrozumieli, ale z entuzjazmem podchwycili. A on ryczał dalej, zwracając się do karczmarza: – A ty kto? Sędzia? Masz tu żółtą kartkę! – Włożył mu do kieszeni złotą monetę. – Wy-wynoś się z boiska do końca mecz-czu! Piłka w grrrę!

 W drzwiach pojawiły się trzy figury w ciemnych kapturach mnichów. Karczmarz pobiegł do nich, zatrajkotał coś szybko, zapewniająco. Było słychać tylko: „Wszystko w porządku, tak, tak, zapłacone, wszystko zapłacone, nikt nie zgłasza pretensji”.

 – Kar-rczmarzu, wina dla nowych gości! Twoi goście – to moi goście!

 – To nie goście, to kaplisze – wyszeptał mu ktoś do ucha.

 – A kaplisze to co – nie ludzie? Karczmarzu, wina kapliszom! Mam dziś święto, więc wsz-szyscyy mszą mieć wino-o!

 W sali podskoczyło napięcie, zapanowała cisza. Ludzie szybko i jakoś niezauważalnie zaczęli się rozchodzić. Dżafar skoncentrował się, połączył rozdwajające się obrazy, postawił pionowo ocalały stół.Natychmiast zjawiły się kufle piwa i talerzyki z dymiącym mięsem.

 – Święto, powiadasz? –poinformował się najstarszy z trójki kapturników.

 – Zbudowaliśmy griddro… hydro… nieważne. Budowaliśmy, budowaliśmy i wreszcie zbudowaliśmy. Dlaczego mój kufel jest pusty? Niech Kamil nie mówi, że nie dam rady! Tymi oto rękami – widzicie! A wiecie, co to jest droga z żółtej cegły? Tam jest po pierwsze, zamek ludojada! Po drugie, szablozębne tygrysy! Po trzecie,Szmaragdowe Miasto! Po czwarte, feja Morgana! Wy jesteście ciemny lud, ale niedługo, zanim miną dwa pokolenia, każdy dzieciak będzie wiedział, co to jest liczba urojona.

 – My wiemy, co to jest liczba urojona – odrzekł jeden z mnichów.

 – Doprawdy? – ucieszył się Dżafar – A pochodna E do potęgi iks?

 – Też wiemy. Egzamin zakończony?

 – To świetnie! Pierwszy raz tu widzę wykształconych ludzi. Muszę was poznać z moją żoną. Tylko że ona nie lubi mnichów.Musicie się przebrać za rycerzy. Karczmarzu, zbroje rycerskiedla moich gości! Potrzeba nam bardzo wielu mądrych ludzi. Wiedza to siła, zapamiętajcie to, chłopcy! Trzeba nieść wiedzę w naród. Ale zaczynać trzeba od dzieci. Dorosłych nie ma po co uczyć, prawidłowo mówię? Mózgi im skostniały. Dlatego będziemy budowali bazy i uczyli dzieci, otóż to! I pierwszą bazę zaczęliśmy już budować, otóż to, chłopcy! Zapamiętajcie ten dzień. Potem będziecie opowiadali o nim swoim wnukom. Powiedzcie mi, jak się naszywacie, a ja zazere… zarezerwuję wam miejsca. Będziemy pierwsi, a za nami pójdą masy. Ale na razie tss!... Dziesięć lat głębokiej konspiracji… – Głowa Dżafara głośno uderzyła o stół, rozległo się chrapanie. Mnisi zbliżyli się do siebie, ich głosy przycichły.

 – Bracia, to przecież nasz… Słyszeliście? Jeśli go dobrze zrozumiałem, zaczyna się drugi etap. I otrzymaliśmy zaproszenie.

 – Pomyśl głębiej, Amadeuszu. Módl się, żeby zapomniał twoją twarz, kiedy się obudzi.

 – Dlaczego?

 – Nie domyślasz się? Dlatego, że dziesięć lat głębokiej konspiracji – to gorsze niż dżungle Amazonii. Jak myślisz, dlaczego on tak zaszalał? Bo szaleje za dziesięć następnych lat.

 – Ale po co ta konspiracja, jeśli to nasz projekt?

 – A po to, że każda zmiana status quo uderzy w czyjeś interesy. Zacznie się nowy podział koryt. Znasz takie wyrażenie: „koryto władzy”, Amadeuszu? Władza karmi tego, kto ją posiada, rozumiesz? Bracie Saidzie, kto w Synodzie może stać za tym projektem?

 – Trudne pytanie. Starców-dinozaurów można wyeliminować od razu, gdyż w tym przypadku projekt byłby już dawno realizowany. Najprędzej któryś z tych nowych, którzy zostali wybrani tej albo zeszłej wiosny. Jest ich czterech, ale żaden nie pochodzi z naszego rejonu.

 – To źle. Projekt rozkręcają u nas, i szyszki posypią się też na nas. Mówił o Kamilu. Rzadkie imię. Znałem jednego, kiedy się uczyłem. Wykładał teorię postępu. Dostał awans, ale nie przyjął go i gdzieś wyjechał. Któryś z was coś o nim słyszał? Nic? Tak więc, bracie Saidzie, nie radzisz odnotowywać tego epizodu w dzienniku?

 – Odnotować trzeba, ale nie zwracać uwagi. Podtrzymamy jego legendę. Jakiś podpity bogacz urządził libację, połamał meble, ale za wszystko zapłacił. Wszyscy zadowoleni, nie ma stratnych. Jesteśmy czyści przed bogiem i zwierzchnikiem. Myślę, że trzeba będzie zakomunikować o tym bratu Konorowi, ale bez żadnych papierów.

 – Przez naszego zwierzchnika?

 – Tak, przez zwierzchnika.

 – Ale dlaczego?

 – Z dwu powodów. Po pierwsze, to Konor zatwierdza awanse, więc niech zapamięta nasze imiona. A po drugie, jeśli zacznie się draka na górze, nikt nie powiąże jej z nami.

 – I tak wpadliśmy.

 – Za przyjemności trzeba płacić, bracie Amadeuszu.

 – Za jakie przyjemności?

 – A choćby za to, co teraz pałaszujesz.

 – A co z nim zrobimy?

 – Damy antyal i powiesimy mu na ogoniePiegowatego.

 – Co powiemy Piegowatemu?

 – Żeby go śledził i chronił, przecież to jasne.

 Said wrzucił do kufla okrągłą pigułkę, potrząsnął naczyniem, żeby się rozpuściła. Obudzili Dżafara, włożyli mu kufel do ręki, trącili się z nim swoimi, kazali wypić.

 Ledwie zamknęły się drzwi za mnichami, a już sala znowu zaczęła wypełniać się ludźmi. Dżafar poczuł zwierzęcy głód i rzucił się na stygnące mięso. Z głowy gwałtownie parował mu alkohol. Proces był męczący i trzeba było podjąć natychmiastowe środki, by go zatrzymać, co i tak udało się z trudem. Wtedy Dżafar wyjął miecz, uniósł go jak sztandar i zakomenderował:

 – Za mną, bandar-logi!

 Z reszty pamiętał tylko strzępy. W jakiejś karczmie uczył wybijać ciosami karate deski z przegródki między salą a kuchnią. Uprzykrzony karczmarz mówił coś przez nos, trzeba mu było dać żółtą kartkę i usunąć go z boiska. W innej karczmie, gdzie Dżafar uczył ludzi zarzucać lasso na przybitą do ściany głowę łosia, znowu naprzykrzał mu się karczmarz i znów otrzymał żółtą kartkę i został usunięty. Głowa była mocno przybita, ale kiedy dziesięciu silnych mężczyzn pociągnęło za sznur, poddała się i runęła wraz z przepierzeniem. Za przegródką zapiszczała goła dziewka, a prawie goły mężczyzna przyczepił się do Dżafara z kindżałem. Ten ryknął z zachwytu i spróbował wyciągnąć miecz. Nie mógł, więc złapał grubianina za rękę i nogę, zakręcił nim i rzucił tam, skąd ten wylazł. Wreszcie miecz wyszedł z pochwy, cały w jakiejś tłustej mazi. Grubianin rzucił w Dżafara krzesłem i uciekł. Dżafar zgasił podanie uderzeniem miecza i zaryczał:

 – Akella chybił! Hańba dżunglom! Hej, łysy, podrzuć no tu to krzesło!

 Chłopi szybko zrozumieli zasady gry i zaczęli podawać. Dżafar gasił podania jedno za drugim. Ale krzesła i zydle szybko się skończyły. Wtedy zmienił reguły i zaczął przecinać nogi stołów. Cios liczył się, jeśli przecinał nogę za pierwszym uderzeniem. Ktoś przyniósł siekierę, zorganizowano dwie drużyny. Ale stoły także szybko się skończyły.

 W następnej karczmie sala była długa i wąska. Dżafar uczył ludzi rzucać tomahawkiem. Siekiera podeszła w sam raz. Znowu musiał pokazać karczmarzowi żółtą kartkę. Goła dziewka z poprzedniej karczmy zdążyła się już ubrać i przynosiła „tomahawki” z powrotem. Była niczego sobie, tylko strasznie gadatliwa. Dżafar jej też pokazał żółtą kartkę i kazał się zamknąć, ale z placu gry nie usunął. Dziewka włożyła złotą monetę do ust i milczała, ale zaczęła gestykulować zupełnie jak podniecona Kora. Musiał więc wychlastać ją ręką po gołej pupie, co wywołało zachwyt wszystkich, a zwłaszcza samej dziewczyny. Tymczasem ktoś wymyślił nową zabawę: jedna drużyna podrzucała talerze, druga miała zbić je w locie kuflami.

 Potem w pamięci ziała dziura. Następnym, co pamiętał,było to, jak Kora gdzieś go prowadzi, podtrzymując za ramię. Z drugiej strony podtrzymywała go dziewczyna z karczmy. Jej język obracał się szybko jak katarynka. Opowiadała, jaki jej pan jest przedsiębiorczy, jak z nim było wesoło i przyjemnie, jaki on jest dobry, szczodry i sprawiedliwy. Nieoczekiwanie zrozumiał, że ona mówi o nim. Skoncentrował się, stanął o własnych siłach i zadeklamował:

Chciałbym upić się tak, żeby z mej mogiły

 Gdy już w niej zlegnę, wina snuł się zapach miły,

 Ażeby was upajał, powalał bez czucia

 Przechodzących w pobliżu moich druhów miłych.[[1]](#footnote-2)

 – Omar Chajjan! - powiedział, pouczająco podnosząc palec. – Klasyka!

 Kora ze zdumienia otworzyła usta, a dziewka zaklaskała. Dżafar przyciągnął do siebie jej głowę za uszy, pocałował jej w czoło i powiedział:

 – Idź do domu, czarujące dziecię.

 – Nazywam się Julia, gospodarzu – zakomunikowało obrażone „dziecię”.

 – Więc idź do domu, Julio.

Ale ona uparcie towarzyszyła im do „ojczystej” karczmy, gdzie czekały na nich dwie zaprzężone fury, jedna prawie pusta, w drugiej – dwie beczki wina i sterta pudeł, uplecionych z prętów wierzbowych. Kora sprawdziła, czy wszystko jest dobrze przywiązane, poczęstowała Chajkarę i Tabaka kawałkami cukru, rzuciła srebrnika pilnującemu ich wozu dryblasowi, cmoknęła i wóz, ciągnięty przez Tabaka, powoli ruszył. Chajkara z drugą furą posłusznie poszła za nim sama. Julia machała im ręką, dopóki wozy nie znikły za zakrętem.

ROZDZIAŁ 4

Śmiesznie, nieprawdaż, kochani?

A on śpieszył, lecz nie zdążył,

I jest niedorozwiązane

Wszystko, co niedorozwiązał.

W. Wysocki: „Przerwany lot”.

 Przebudzenie można było nazwać jakkolwiek, tylko nie przyjemnym. Na ból głowy po ciężkim kacunakładały się dreszcze, a na wszystko razem – wyrzuty sumienia za wczoraj.

 – Kora, ty nie wyobrażasz sobie nawet, jakim jesteś skarbem, nie jestem godzien ciebie, wiem to na pewno. Kamil i Kot mi wszystko objaśnili. Trafiłem tu przez pomyłkę, a utknąłem w anabiozie przez własną głupotę. No, tak naprawdę to nie oni mi to wyjaśnili, oni już dawno nie żyją. To ja sam sobie wyjaśniłem, ale w tym trudno się od razu połapać. A ty jesteś skarbem. Powinno się ciebie nosić na rękach i ubóstwiać z daleka. Mężczyzna musi dowieść samemu sobie, że jest godny takiej kobiety. Ale mam mało czasu i dobrze wiem, że sam sobie nie poradzę. Każę ci pracować jak na katordze, a ty musisz się uczyć. A potem, kiedy zamiast mnie będzie nowy ja, nie obrażaj go. Będzie różnił się ode mnie, będzie młodszy,silniejszy, ale jego pamięć, jego ego będzie moje, rozumiesz? To nikczemne i niesprawiedliwe z mojej strony – podsunąć mu wszystkie moje problemy. Pozbawiam go wolności wyboru, a ludzie zawsze powinni ją mieć. Ale ja też, choć zawsze ją miałem, teraz jej nie mam. Nie mam zdrowia, więc nie mam i czasu, rozumiesz? Jak myślisz, ile mam lat? Czterdzieści pięć? Źle! Dwadzieścia! Jestem młodszy od ciebie o cztery lata. To ta przeklęta anabioza. Nikt nie kładzie się w anabiozę na tysiąc lat. Mądrzy ludzie leżą dziesięć razy po sto – i nic im nie jest. A teraz już nie mam innego wyjścia. Muszę wszystko postawić na jedną kartę: albo – albo. Tak, straciłem w anabiozie tysiąc lat i zdrowie. Ale gdybym nie przespał, nie spotkałbym ciebie. A bez ciebie po co mi cała reszta? Ale się zaplątałem, Kora, żebyś wiedziała! Ależ się zaplątałem! A jeszcze ta trzęsionka, boli głowa.

 Nieoczekiwanie trzęsionka się skończyła. W jego ręce znalazła się butelka wina, a przed nim miska z kartoflami i kiszonymi ogórkami. Zjadł i zaczął rozmawiać z Korą.

 –Musisz się uczyć, musisz dużo wiedzieć.

 – A po co mi to? Ty myśl, ja będę robić. Kto ci pomoże, jeśli będę uczyć się 10 lat? – pisała pewnie, ale od czasu do czasu patrząc przepraszająco z ukosa na Dżafara.

 – Żeby mi pomagać, musisz wiedzieć tyle, co ja. Dotąd pracowaliśmy rękami, a teraz będziemy musieli pracować głową.

 – Jak to?

 – Myśleć, tworzyć nowe wynalazki, analizować warianty na komputerze. A potem uczyć innych. Przecież ci opowiadałem.

 – Nie będę mogła uczyć. Obcięli mi język.

 – Będziesz miała nowy język. Już niedługo. O Boże, żebyś tylko nie okazała się taką okropną gadułą, jak Julia.

 Kora ostrożnie odłożyła ołówek, położyła dłonie na kolanach, mocno zmrużyła oczy. Spojrzawszy na drżący podbródek, Dżafar natychmiast wytrzeźwiał do reszty, wziął ją na kolana, przycisnął do siebie i szepnął do ucha:

 – Spójrz mi w oczy, czy ja ciebie choć raz okłamałem? Jeśli mówię, że będziesz miała język, to znaczy, że będziesz go miała. Twoja Kasandra ci nie mówiła? To znaczy, że nie zdążyła. Będziesz uczyła się i mi pomagała, umawiamy się, moja malutka? Tylko nie płacz. Nie chciałem ci o tym przedwcześnie mówić.

Drżenie ramion i pociąganie nosem na jego piersi stopniowo zamarły.

 „A po co właściwie on musi być kropka w kropkę jak ja?” – rozmyślał Dżafar – Mam przecież masę braków. Pamięć będzie moja, a resztę zrobię najlepszą z możliwych. Uczynię go silnym, szybkim, mądrym… N-tak… A jak zrobić mądrym? Zabezpieczę mu dobrą pamięć i korę mózgową, to jest łatwe. Ale od czego zależy mądrość? Ba! Dalej: co jeszcze można poprawić? Po pierwsze, ten defekt z witaminą C. Wszystkie zwierzęta ją syntetyzują, a ludzie nie. Oduczyli się. Szkorbut nie jest nam potrzebny, to pomyłka ewolucji. I koniecznie ma to być cecha dominująca, żeby jego potomkowie wspominali mnie z wdzięcznością. Wyrostek robaczkowy – na cholerę mu to. Ale to drobnostka. Najpierw rzeczy poważniejsze. A gdyby tak zmienić całą energetykę komórki? Czy zdołam pomieścić system aerobowy i anaerobowy w jednej komórce? Równocześnie nie, ale jako mechanizm obrony przy nagłym spadku cząsteczkowego ciśnienia tlenu może coś wyjdzie. Dalej: biograwy. Antygrawitacyjne maszyny na biologicznym poziomie wewnątrz komórki. Akurat przed moim odlotem był wokół nich szum. Coś z nimi nie szło, brakowało energii. A ja podłączę fluor. Nie, z fluorem trzeba uważać. Komórka wykipi. I skąd jego organizm ma wziąć tyle fluoru? To przecież nie tlen z powietrza. Nie wyjdzie. Ale o stabilności temperatury ciała warto pomyśleć. Dodać do komórki po pierwsze antyloden, po drugie termiczny antykoagulant. Będzie jak w bajce: w ogniu nie płonie, w wodzie nie tonie. Ludojad wrzucił go do kotła – a on mu wyjadł wszystkie kartofle z zupy. Zimą zamarzł w zaspie, wiosną odtajał – i odżył. Jeśli wilki nie zjedzą… Aha, przecież będzie musiał walczyć. Co do tego potrzeba? Błyskawiczna reakcja, siła i pełne pole widzenia. Reakcję mogę zrobić, siłę na tych nowych, jak im tam?... Czyżby już się zaczynała skleroza? No cóż, najważniejsze, że mogę. Pełne pole widzenia – nie. Trzecie oko z tyłu łowy za bardzo by go wyróżniało. Za to mogę dodać parę nowych zmysłów. Na przykład żeby odbierał pole elektromagnetyczne. I czuł zero-latarnie. Na początek znakomicie. Teraz co on musi wiedzieć? Wszystko o tym świecie plus Great Encyclopedia Britannica. Jeśli bazę zniszczą, pozostanie mu tylko własna pamięć. Ciekawie wychodzi… A gwiazdkę z nieba chcesz? Zostaje tylko jedno wyjście: zrobić serię moich kopii o różnych specjalizacjach. O Boże, a co z Korą? Przecież oni wszyscy będą ją kochali! Ją rozmnożyć? A czy zechce? Czy ja tego chcę? Nie. Jeśli ją poproszę, zgodzi się. Zgodzi się na wszystko. I właśnie dlatego nie wolno prosić. No cóż, za wcześnie o tym myśleć, trzeba najpierw sprawdzić na sobie. Może nic z tego nie wyjdzie?”.

 Nareszcie flyer został wyremontowany, jego akumulatory naładowane. Dżafar zrobił kilka kół nad polaną, po czym kazał cyberom ponownie przejrzeć mechanizmy. Cybery przeanalizowały zapisy czarnej skrzynki, coś tam podregulowały. W drugi lot Dżafar zabrał Korę. Ta wpadła w żywiołowy zachwyt, piszczała, ciągnęła go za rękaw, pokazywała w górę. Wzbił się po spirali na wysokość ośmiu tysięcy metrów, tam rozległo się ciche „sss” i w kabinie zaczęło spadać ciśnienie. Dżafar stromym korkociągiem zszedł na cztery tysiące, potem o wiele łagodniejszym, na dwóch g, na tysiąc, tu wyrównał lot, zorientował się, gdzie jest i wylądował przed bunkrem. Kora wyjęła notes, ołówek i napisała:

 – Chcę lecieć na Księżyc.

 Dżafar zaprowadził ją do bunkra, żeby nie widziała, jak cybery krzątają się koło flyera, posadził przy komputerze, pokazał fotografie powierzchni Księżyca, i wyjaśnił, ile tam się leci. Obrażona Kora wydęła wargi i zaczęła jednym palcem wystukiwać pytania. Tymczasem cybery zastąpiły gumowe uszczelki plastikowymi i flyer znów był gotowy do lotu. Dżafar zapytałcybery, co im przywieźć z bazy i otrzymał tak długą listę, że pożałował pytania. Po namyśle zagonił dwa cybery do kabiny, uprzedził Korę, że wróci albo na kolację, albo dopiero za tydzień i poleciał na bazę. Doleciał bez przygód, tuż przed czarną paszczą przepołowionego hangaru włączył reflektory, zwolnił do bezpiecznego minimum i zanurkował dokładnie w dziurę w skale. Zatrzymał się, ale po chwili namysłu pojechał flyerem jak samochodem po korytarzu bazy aż pod same drzwi składu. Cybery wysiadły, znalazły komplet laboratorium genetycznego, pomogły załadować, ile się dało. Dżafar kazał im znaleźć wszystko, co im niezbędne, zapakować i położyć przed drzwiami magazynu.Czekać na niego przez tydzień, a jeśli nie powróci, niech same wracają do bunkra, szukając po drodze radarami flyera na ziemi.

 Powrotny przelot też minął bez przygód. Wrócił nawet wcześniej, niż myślał, Kora jeszcze nie przygotowała kolacji. Dwa pozostałe cybery wyładowały skrzynie, obejrzały dokładnie flyer, wymieniły jakąś śrubkę, i wzięły się do wypakowywania laboratorium. Lecieć drugi raz nie było sensu, gdyż zaczynało ciemnieć, a poza tym akumulatory flyera wymagały doładowania, co przy tej mocy elektrowni zajmie prawie dobę.

 Po kolacji Dżafar przerwał Korze mycie talerzy i wyprowadził ją na spacer po wale. Teraz wał zupełnie nie przypominał drogi z żółtej cegły. Cybery pokryły ją darnią i wyglądała, jakby znajdowała się tutaj od wieków. W domu młynarza cztery szkielety waliły o stół wiecznymi plastikowymi kartami. Komputer systemu sygnalizacji ochronnej zakomunikował, że było kilkaset przypadków naruszenia chronionej strefy przez duże zwierzęta i tylko jedno przez człowieka. Dżafar obejrzał nagranie tego epizodu na ekranie. Śmiertelnie przerażony piegowaty chłop, wzdrygając się przy każdym szmerze przebiegał od drzewa do drzewa. Trwało to tak długo, dopóki nie natknął się na klęczący plastikowy szkieleti zmęczony kobiecy głos nie poprosił go, żeby jak najszybciej stąd się oddalił. Chłop uciekł, został po nim tylko but z drewnianą podeszwą i cichnący w oddali wrzask.

 – Działa! – ucieszył się Dżafar, a Kora zrobiła dziwną minę i klepnęła go poniżej pleców.

 Przewóz wyposażenia zajął dziesięć dni. Udało się przewieźć nawet biowanna. Nie wyszło tylko z wielkim tomografem, ale, szczerze mówiąc, nie był za bardzo potrzebny. Przecież raczej rzadko ogląda się na tomografie słonie. Laboratorium genetyczne prowadziło już syntezę regeneratu, proces przebiegał sprawnie, ale wymagał czasu. Kora uczyła się z wściekłem uporem. Widziała, że praca Dżafarowi nie wychodzi i przeklinała siebie, że nie może w niczym pomóc. A projekt „Superczłowiek” rozsypywał się w oczach. Bardzo szybko Dżafar upewnił się, że traci zgodność z ludzkim genomem. Krótko mówiąc, to, co mu wychodziło, nie mogło się już krzyżować ze zwykłym człowiekiem. Ilość zmian przechodziła w jakość. Nawet więcej, trzeba było albo zrezygnować z głębokiej regeneracji, albo wymyśleć coś genialnego.Chodziło o to, że przy takim stopniu regeneracji, jaki chciał uzyskać Dżafar, nowy organizm mógł rozwinąć się praktycznie z każdej komórki, trafiającej na dogodne warunki. Na przykład taki superczłowiek zjadł łyżką galaretę i zapomniał umyć ją i talerz. Na łyżce zostało kilka żywych komórek z jamy ustnej – i proszę! Po paru dniach po talerzu będą pełzać malusieńkie, ale bardzo żywotne ludzkie zarodki. Jeszcze gorzej było z biograwami. Dżafar w żaden sposób nie mógł uzyskać ich synchronizacji. Konkretnie chodziło synchronizację w czasie harmonik, wydzielanych przez poszczególne komórki. Ale komórki za nic w świecie nie chciały tego robić. Pracowały na różnych częstotliwościach, traciły fazy i wektory, i w rezultacie łączny efekt był zerowy. Dżafar projektował najbardziej złożone wielopoziomowe systemy synchronizacji, ale nawet z nimi efekt pozytywny był bardzo słaby. Teoretyczne wyliczenia wskazywały, że Współczynnik Korzystnego Działania wzrastał z powiększeniem masy obiektubiologicznego, – kiedy powstawał efekt synchronizacyjny wprowadzonego promieniowania koherentnego, co trochę przypominało laser –osiągając maksimum gdzieś między trzema a dziesięcioma tonami, po czym znowu spadał. Ale nawet w tym przypadku synchronizacja nie trwała więcej niż kilka sekund i obejmowała najwyżej 0,9 masy ciała. Lewitować bez skrzydeł, samą siłą woli, człowiek nie mógł.

 Dżafar całymi dniami nie wychodził z laboratorium, zapominał nawet o jedzeniu. Talerze i miseczki, przyniesione przez Korę,stygły mu pod łokciem. A jeśli wychodził, to snuł się jak duch po wszystkich pomieszczeniach bunkra, aż w końcu siadał na schodach albo na progu, wpatrując się pustym spojrzeniem w ścianę. Kora siadała przy nim, głaskała go po ramieniu, a nocami, jeśli zostawał w laboratorium, płakała w poduszkę. W końcu nie wytrzymała. Ustawiła inaczej meble w messie, przyniosła z lasu bukiet z czerwonych i żółtych jesiennych liści i postawiła je w wazie na stole. Potem, drżąc wewnętrznie ze strachu, przyprowadziła Dżafara z laboratorium, napisała na kartce „Tak dalej nie można!” i wsunęła mu kartkę w ręce.

 – Co nie można? – zapytał Dżafar z roztargnieniem.

Kora zaprowadziła go dolustra. Nie chciało mu się patrzeć. Nieogolony, oczy podkrążone, policzki zapadnięte. Włosy rozczochrane, w większości już nie czarne, a siwe.

 – Uważasz więc, że doszedłem do kresu? – zapytał. Kora skinęła twierdząco, przerażona. Pierwszy raz zamierzała się kłócić z Dżafarem i bardzo się tego bała. – Doszedłem do kresu, doszedłem do kresu… – mamrotał w zamyśleniu, snując się z kąta w kąt. –A wiesz, że masz rację? Doszedłem do ściany. Potrzebne mi jest świeże spojrzenie albo inne podejście. – Stanął przed lustrem i zaczął kołysać się z palców na pięty, oglądając siebie krytycznie. – Wiem, co robić, tylko bardzo mi się tego nie chce – zakończył.

Odzyskał nagle energię, zrobił się bardzo rzeczowy i konsekwentnie celowy. Poszedł do łazienki i po kilku minutach po kilku minutach wyszedł stamtąd ogolony i podstrzyżony. Ubrał garnitur, którego Kora dotąd nie widziała: śnieżnobiały, z mnóstwem kieszonek zapinanych na zamki błyskawiczne, nawet na rękawach. Dziewczyna usiadła na skraju kanapy, nie wiedząc, czy ma się cieszyć, czy przeciwnie, jeszcze bardziej się bać. Dżafar stanowczo klapnął koło niej, przycisnął ją do siebie, ukrył twarz w jej włosach i poprosił:

 – Chodź, pospacerujemy. Dwa tygodnie nie wychodziłem na powietrze.

 Spacerowali zwykłą trasą: do młyna, po tamie, po wzgórzach wśród sosen. Z tyłu, jak przywiązane, dreptały Chajkara i Tabak. Dżafar nie szczędził im kawałków cukru, równocześnie opowiadając Korze o swoich planach i niepowodzeniach. Plany były ogromne, obejmowały całą planetę i dziesiątki lat pracy. Na czym konkretnie polegały niepowodzenia, nie rozumiała, ale nie przerywała. Próbowała zapamiętać jak najwięcej nieznanych słów, żeby potem zapytać o nie komputer. Było ich za dużo do zapamiętania, więc zaczęła je notować. Dżafar wziął od niej kartki, poprawił błędy i zaczął wyjaśniać, przeskakując z tematu na temat. Z DNA na mikroskopy elektronowe i tomografy, potem na zwykłe mikroskopy, okulary i soczewki kontaktowe. Wyjaśnił, jak jest zbudowany wzrok orłów, jakie mają lotki, kim są Indianie amerykańscy, co to jest tomahawk, wspomniał o Julii, opowiedział wszystko, co pamiętał ze swojej nocnej eskapady w Tonto.

 Wrócili do domu już w nocy, zziębnięci, ale zadowoleni.Korze nie udało się jednak wyjaśnić, jakie to nieprzyjemne przedsięwzięcie Dżafar zaplanował na jutro. Za każdym razem odpowiadał jej żartem, a gdy usiadła pod brzozą, objęła rękami kolana i stanowczo odmówiła dalszej wędrówki, odpowiedział, że nic strasznego, zarobi jeszcze kilka siwych włosów i tyle.

 Rano Dżafar prawie nic nie jadł, a z jednego z mieszkalnych pokojów wyniósł prawie wszystkie meble, pozostawiając tylko komputer pod ścianą na podłodze. Do stanu pełnej gotowości doprowadził cyberdiagnostyka i biowannę, napisał instrukcję dla Kory: co, jak, po co i w jakiej kolejności ma naciskać, sprawdził, czy wszystko właściwie zrozumiała, rozebrał się do pływek, surowo przykazał jej nieniepokoić siebie do ósmej wieczorem, a potem działać w zależności od okoliczności, i zamknął się w pokoju.

 Riviera siedział w swojej zwykłej pozie, lewą ręką wybierając coś na klawiaturze komputera, a prawą kartkując swoje notatki. Ze wszystkich znajomych Dżafara tylko on wolał pracować na klawiaturze lewą ręką.

 – A, to ty, postrachu leśnych rozbójników. Nie zapomniałeś staruszka – powitał Dżafara. – Jak słyszałem, chcesz wyhodować supermana.

 – Tak, ale mi nie wychodzi.

 – I nie wyjdzie. Pożądliwość ciebie gubi. A jeszcze Kuźma Prutkow mówił: „Nie można objąć nieobjętego.”.

 – Kuźma Prutkow nie istniał.

 – A to ci dopiero! A kto to w takim razie powiedział?

 – Grupa towarzyszy.

 – Patrzcie go, jaki oczytany! A Chilon powiedział: „Nie pożądaj niemożliwego”. Nie wierzysz sobie, nie wierzysz Ptutkowowi, uwierz chociaż Chilonowi.

 – Ależ wierzę, wierzę. Tylko nie wiem, co robić.

 – Właśnie od tego zaczniemy. Czego ty właściwie chcesz? Człowieka czy niezwyciężonego rycerza bez trwogi i skazy? Jedno i drugie od razu nie wyjdzie, jak już sam dowiodłeś. Jeśli chcesz człowieka, to weź od Kory komórkę jajową, podrasuj ile się da. Usuń wyrostek robaczkowy, jeszcze jakieś drobiazgi i wstaw z powrotem, zapłodnioną. Nie będę cię uczył, jesteś biologiem. Nie wyobrażasz sobie, jak Kora się ucieszy, jeśli zajdzie z tobą w ciążę. Teraz rozpatrzmy drugi wariant: rycerz bez trwogi i skazy. Zaklinam cię na wszelkie świętości: nie czyń go podobnym do człowieka.

 – Dlaczego?

 – Dziewczyny będą się w nim kochać? Będą. A on jest człowiekiem? Nie. No i co otrzymujemy? Mnóstwo rozbitych serc i niespełnionych nadziei. No, żartuję. Ale wiesz, o co mi chodzi.

 – Wolałbym człowieka, ale dla sprawy potrzebny jest rycerz. Carlos, a czy on mi wybaczy, jeśli go zrobię potworem?

 – Mnie o to pytasz? Chcesz przepisać w niego swoją pamięć. Wybaczysz sobie samemu?

 – Rozumiem. Więc jakim mam go zrobić?

 – Jak Grom cię uczył? Prawidłowo sformułuj zadanie, a w połowie przypadków od razu otrzymasz odpowiedź. Wylicz cechy, jakie chcesz mu nadać, a zobaczymy, co nam wyjdzie.

 – No… Olbrzymia objętość pamięci. Dziesięć razy większa, niż u człowieka. Chcę, żeby latał. Żeby był silny, sprawny, szybki i niezwyciężony. Mnie tu o mało nie zastrzelili z kuszy. Jeszcze sporo cech chcę, ale to się już nie odnosi do fenotypu.

 – Taki głowacz, pokryty pancerzem i ze skrzydełkami. Spójrzmy na twój wykres masy obiektu z biograwami… wychodzi pięć ton. Dziewięćdziesiąt procent biorą na siebie biograwy, a pozostałe pięćset kilo – skrzydła. Będziemógł latać. Przy masie pięciu ton objętość mózgu będzie taka, jaka ci jest potrzebna. Teraz pancerz. Kostne płytki, szkielet zewnętrzny albo łuska. Najbardziej mi się podoba łuska, ale to ty wybierasz. Zobaczmy, co nam wyszło. Wielkości słonia. Ręce, nogi, skrzydła. Bardzo mądry – czyli z mądrym spojrzeniem. Pokryty łuską. Aha, dla kierowania lotem pożądany byłby ogon jako ster. Ręce i nogi może mieć zajęte. Czy to ci czegoś nie przypomina?

 – Smok…

 – Rzeczywiście podobny.

 – A co z regeneracją? Żeby z jednej komórki przypadkowo nie powstał cały organizm?

 – Zrób tak, żeby do regeneracji trzeba było wielu komórek. Albo jeszcze lepiej: kilku gruczołów lub produkcja jakichś specyficznych hormonów.

 – Ale przy rozmnażaniu cały organizm zaczyna się od jednej komórki.

 – Więc zmień sposób rozmnażania. Jesteś przecież biologiem, wymyśl coś.

 – Zmienić sposób? To da się zrobić! Dziękuję ci, Carlos… Carlos, gdzie jesteś?

 – Jak sądzę, ten wzór już spełnił swoje zadanie – odrzekł Kamil. – Teraz przyszedł czas na wetknięcie koteczka nosem w świeżą porcję gówna. Ciekawe, dlaczego do tej operacji twoja podświadomość wybiera właśnie mnie? Przecież w życiu nic takiego nie było. Nie zdążyłeś wejść w skład oddziału desantowców i wszystkie nagany otrzymywałeś od swojego kierownictwa. Czyżbym był aż taki straszny? A grzechów ci się nagromadziło tyle, że wystarczyłoby na cały transport desantowy. Weźmy chociażby pogrom w Tonto. Zawsze tak się zachowujesz w miejscu publicznym?

 – Starałem się trzymać się wzorca.

 – Udało ci się. Teraz twoim wzorcem dzieci tam straszą. Moim zdaniem masz cośnie w porządku z hamulcami. Symptom nadciągającego marazmu.

 – Wybacz, Kamilu, muszę znikać. Już się tu wszystkiego dowiedziałem, czas wracać.

 – Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. O niczym nie zapomniałeś, kiedy nastawiłeś się na pogrążenie w podświadomość?

 – Chyba.. nie. W ostateczności Kora mnie stąd wyciągnie o ósmej.

 – O właśnie! Programista by mnie zrozumiał od razu. Zaprogramowałeś cel, ale nie wprowadziłeś hasła wyjściowego. Nawet więcej, podświadomie nastawiłeś się na to, że Kora wyciągnie ciebie stąd o ósmej. A do tego czasu czeka cię kilka bardzo nasyconych godzin. Nie wiem, czy będą przyjemne, raczej nie, ale będziesz je pamiętał do końca życia.

 – Ale poprzednim razem…

 – Poprzednim razem łatwo się wykręciłeś. Pamiętasz, dodałeś słowa: „od razu powrót”. Nie odczułeś prawie żadnych efektów ubocznych.

 – Tylko posiwiałem. Pomóż mi, Kamilu!

 – A niby z jakiej racji mam ci pomóc? Pomogłeś Korze?

 – Zrobię dla niej wszystko, co zechce! Jesteśmy jak jedna całość!

 – Piękne słówka. A w rzeczywistości? Biowanna jest gotowa już od miesiąca, a Kora ciągle jeszcze bez języka. Położyć ją na trzy dni… Nie, ty bez Kory trzech dni byś nie przeżył. No tak, trzeba koński nawóz usuwać, ujeżdżać je, czyścić, podawać siano. Kiedy ostatni raz czyściłeś Chajkarę? Zapomniałeś? Też mi ratownik ludzkości: zwaliłeś całą brudną robotę na towarzyszkę życia!

 – Chciałem jej odtworzyć język regeneratem. Swoim… Ona by zrozumiała i wybaczyła.

 – Aha, wynalazłeś panaceum, a nie ma kogo obsypać dobrodziejstwami. Przepada. Więc na co czekasz? Zakończyłeś syntezę tydzień temu. Ile trwa matrycowanie? Dobę! Cztery dni temuwystarczyłoby i tobie, i Korze, i Tabakowi na dokładkę. Na co jeszcze czekasz? Nie odpowiadaj, sam przebiorę warianty. Pierwszy: po prostuzapomniałeś. Mimo wszystkich gromkich słów masz Korę w nosie, przypominasz sobie o niej tylko wtedy, kiedy ci zaburczy w brzuchu. Przez resztę czasu o niej nie pamiętasz, i już. Drugi: nie zapomniałeś, ale pamiętasz, że regenerat ma nieprzyjemne następstwa związane z rozmnażaniem. Że na półtora do dwóch miesięcy przyjdzie wam zapomnieć o seksie i zabawach w pościeli. Całe dwa miesiące wstrzemięźliwości, to takie trudne!

 – Zapomniałem… – powiedział Dżafar. Twarz mu płonęła. Chciało mu się zapaść się pod ziemię albo powiesić. – Wszystko naprawię. Pomóż mi wrócić, proszę cię.

Kamil kilka razy przemierzył krokami pokój i zatrzymał się przy oknie.

 – Nie mogę ci pomóc. To twoja podświadomość i ty jesteś w niej gospodarzem. Ja jestem tylko obrazem, wybranym przez twoją świadomość do dokładnego formułowania myśli. O ile rozumiem sytuację, zaraz zaczną cię męczyć wyrzuty sumienia. Spójrz w okno, tam już jest cała kolejka do ciebie. Piegowaty chłop w jednym bucie, karczmarze, goły senior, pewnie po satysfakcję, Fatima… O Boże, ilu ich tam! I nawet ty am. To dopiero będzie ciekawa rozmowa! Wiesz, Kora to ciekawa dziewczyna. Powinna tu stać pierwsza, a nie przyszła. No dobrze, stażysto, czas na mnie. Nie lubię, kiedy przeze mnie czekają ludzie. I żebyś nie myślał o mnie źle, dam ci radę. Zanim zrobisz Tabakowi zastrzyk z regeneratu, zmień w parzystych grupach trzeciej frakcji rodnik beta na gamma.W przeciwnym razie wyprawisz go do końskiego raju poza kolejnością. Żegnaj, stażysto.

 – … Kora, wyciągnij mnie stąd! Kora! A-a-a! Uciekaj, ja nie chciałem! Kora, wyciągnij mnie! Ja już nie mogę! Kora!

 Kora umyła talerze, spojrzała na zegar. Minęło dopiero piętnaście minut od czasu, gdy Dżafar zamknął za sobą drzwi. Poszła do koni, rozczesała im grzywy, posprzątała w stajni, przejechała się na obu po kolei do tamy i z powrotem. Minęły niecałe dwie godziny. Postała przy drzwiach, przysłuchała się. Cisza. Zdecydowała się. Zamknęła wszystkie drzwi, żeby nie wydać siebie przeciągiem, pogasiła światła i powoli, bardzo powoli zaczęła otwierać drzwi. W pokoju było ciemno. Prawie ciemno. Jakiś słaby, ciągle zmieniający kolor i jasność ognik to oświetlał bladym światłem kawałek ściany, to znowu gasł w ciszy. Otworzyła drzwi nieco szerzej. Światło pochodziło z ekranu komputera. Jasny krążek w środku ekranu płynnie rósł do dwu-trzech centymetrów, zmieniając kolor, po czym tak samo płynnie malał do słabego punkcika. W rytmie jego zmian było coś strasznego, hipnotyzującego. Kora ostrożnie zdjęła buty i bezdźwięcznie odeszła od drzwi. Poszła do sypialni, położyła się na łóżku, zacisnąwszy dłonie między kolanami. Zegar pokazywał wpół do trzeciej. Poczekała całą wieczność i znowu spojrzała na zegar. Druga trzydzieści pięć. Wstała i wypadła z pokoju. Jak nocny kot przebiegła korytarz, otworzyła drzwi szerzej, spojrzała. Dżafar, wyprostowany jak świeca, siedział na podłodze plecami do niej, z dziwnie rozczapierzonymi kolanami. Zimne mrówki przebiegły jej po plecach. Coś w tym było nieprawidłowe. Zagryzła do krwi wargi i, przeklinając samą siebie za zuchwałość, bezdźwięcznie przekradła się wzdłuż ściany, zaglądając w jego twarz. W następnej chwili z rykiem śmiertelnie rannego zwierzęcia padła przed nim na kolana, chwyciła za ramiona, potrząsnęła i spróbowała podnieść jego napięte skamieniałe ciało. Skoczyła do drzwi, uderzeniem dłoni włączyła światło, odwróciła monitor ekranem do ściany. Przez chwilę rozglądała się niepewnie, po czym położyła Dżafara na plecach i zaczęła klepać go dźwięcznie po twarzy. Po piątym klepnięciu przyłożyła ucho do jego piersi. Serce biło dźwięcznie jak młot, ale nie mogła się zorientować, czyje. Ciało Dżafara rozluźniło się, oczy się zamknęły, z twarzy znikł wyraz przerażenia, oddech stał się równy i głęboki. Tylko włosy, rano jeszcze zaledwie przyprószone siwizną, teraz zrobiły się białe aż do korzonków.Kora popędziła do sektora medycznego, chwyciła kartkę z instrukcją, spróbowała ją przeczytać. Ręce się trzęsły, litery skakały przed oczami, sens słów uciekał. Złapała w kuchni karafkę z wodą, wróciła do pokoju, plusnęła mu wodą na twarz, na pierś. Dżafar zakaszlał, spróbował ręką zasłonić się przed strugą. Kora odrzuciła karafkę, pochlipując zaczęła rozcierać mu pierś i ramiona. Dżafar coś niewyraźnie wymamrotał. Kora zastygła, wsłuchując się.

 – Wyciągnij mnie stąd, Kora, proszę cię, wyciągnij – mruczał.

 Wzięła go za ramiona, pociągnęła, dotaszczyła do sypialni, położyła na łóżku. Pobiegła do kuchni, przyniosła wino, spróbowała wlać mu do ust. Dżafar otworzył oczy. Przerażone spojrzenie obiegło pokój, zatrzymało się na jej twarzy.

 – To ty? Osiem godzin… Myślałem, że to nigdy się nie skończy… Jakby minęło sto lat… – zrobił słabą próbę wstania. Kora pokręciła głową, zamuczała, przycisnęła jego ramiona do poduszki. Dżafar się rozluźnił. – Masz na podbródku krew. Uderzyłaś się?

 Kora położyła się koło niego na kocu, zwinęła się w kłębek i starała się nie pochlipywać. Dżafar spojrzał na zegar. Usiadł. Potem znowu się położył. Zegar wskazywał za dwadzieścia trzecia. Pięć minut milczał.

 – Kora – przemówił wreszcie. – Jesteś zuch, kochana. Jak się domyśliłaś? Do ósmej bym nie wytrzymał. Dziękuję ci, moja miła. Jeśli kiedyś będę źle się zachowywał,powiedz mi tylko „Druga czterdzieści”, zapamiętasz? Niech to będzie nasze hasło.

 – Pamiętasz, jak ci mówiłem, że będziesz miała nowy język? Tak więc, jeśli nie odrośnie ci w ciągu tygodnia, możesz rzucić we mnie kamieniem. A teraz otwórz usta. Zrobię ci zastrzyk. Będzie trochę bolało.

 Kora posłusznie otworzyła i Dżafar wstrzyknął jej w kikut języka pół mililitra regeneratu. Potem wstrzyknął dożylnie dziesięć mililitrów w celu ogólnego uzdrowienia organizmu.

 – No, i to wszystko. Alle jest jeden nieprzyjemny niuans. Teraz nie możesz kłaść się z mężczyzną przez równe dwa miesiące, inaczej urodzisz potworka. Może bez rąk albo bez nóg, może o dwóch łowach. A może z pozoru normalnego, ale w środku potwora. Takiego lepiej utopić od razu, żeby nie wyrósł na przykład na ludożercę.

 Dżafar celowo przejaskrawiał, żeby postraszyć, i dopiął swego, ażz naddatkiem. Kora zapłakała.

 – O Boże, po co ten płacz? Dwa miesiące – i tyle.

 – A ty? – napisała.

 – Tak jak ty. Wstrzyknąłem sobie wcześniej. Też dwa miesiące nie mogę.

 Kora od razu się uspokoiła. Łatwość natychmiastowej zmiany nastroju była u niej zdumiewająca. Jedno słowo – i już zapominała o smutku, była szczęśliwa.

 – I jeszcze jedna sprawa – kontynuował. – Trzeba zrobić zastrzyk Tabakowi i na ten okres usunąć gdzieś Chajkarę.

 – Nie trzeba – odpisała Kora. – I tak go nie dopuści, będzie miała źrebaka.

 – A to dopiero! Pójdę jej pogratulować. Ale czekaj no, będziemy musieli przebudować stajnię. Zrobić ją szerszą, cieplejszą, wydzielić Chajkarze większy kąt. Tydzień roboty dla cyberów. A kto go będzie ujeżdżał, kiedy podrośnie? Ja nie potrafię…

 Trzy dni później znalazł Korę za stajnią, z mokrymi paskami wzdłuż policzków. Dziewczyna za nic nie chciała wyjaśnić, dlaczego płakała. Było to do niej zupełnie niepodobne. Poddała się dopiero, kiedy Dżafar zagroził, że się na nią obrazi. Pokazała swój lewy nadgarstek. Nie zrozumiał. Odgięła jego rękaw, spojrzała na nadgarstek – i łzy polały się strumieniami. Wyjął z kieszeni notes, włożył jej do ręki ołówek.

 – Szrama znikła – napisała Kora.

 – Jaka szrama?

 – Ślubna.

 –Uch ty, ale mnie wystraszyłaś! – uspokoił się Dżafar. – A co ja ci mówiłem? Twoja krew w moich żyłach, moja krew w twoich żyłach. I nigdy od tego nie uciekniemy. A szrama – to był tylko taki efekt uboczny. Zniknął dlatego, że rośnie ci język. Pokaż usta.

 Kora otworzyła. Dżafar obejrzał uważnie. Proces przebiegał normalnie, może nawet odrobinę wolniej, niż planował.

 – Teraz pokaż plecy.

 Kora posłusznie zadarła do góry kurtkę i koszulę. Blizny od bata prawie zanikły, pozostały po nich tylko białe pasy na opalonym ciele.

 – No widzisz, i na plecach też ci się wszystko zagoiło. Chodźmy do lustra, sama zobaczysz. Odpowiedz mi a takie pytanie: jak to się stało, że twoje oczy wybrały sobie akurat najbardziej mokre miejsce na twarzy?

 Kora z wdzięcznością potarła nosem o jego ramię i uśmiechnęła się.

 Praca szła. Dżafar opracowywał zewnętrzny wygląd smoka. Rysował warianty jeden za drugim. Wszystko razem, szkielet, oddzielne połączenia stawowe. Co pół godziny przynosił Korze kilka wariantów do wyboru. Kora odkładała swoje prace, dokładnie oglądała rysunki i zaznaczała miejsca, które jej się podobały. Nie umiała rysować, ale miała znakomite wyczucie sztuki malarskiej. Dżafar na odwrót: mógł z fotograficzną dokładnością narysować wszystko, cokolwiek ktoś sobie zażyczy, ale nie miał tej szczególnej zdolności, która zamienia rysunek w dzieło sztuki. Po zatwierdzeniu wyglądu zewnętrznego, który Dżafar nazywał niezrozumiałym dla Kory słowem „fenotyp”, zaczynali rysować szkielet, a potem rozkład i punkty zaczepienia mięśni i ścięgien. Przeważnie w tym miejscu prace nad wariantem się kończyły, za to gromadziło się Cenne Doświadczenie – dziecko pomyłek przy pracy. Stopniowo zewnętrzny wygląd się ustalił. Dżafar wprowadził dane o szkielecie i mięśniach do komputera i dopracowywanie szczegółów. Kazał modelowi komputerowemu biegać, skakać, łazić po skałach, machać ogonem. Stopniowo wyjaśniały się odcinki o maksymalnym, często przekraczającym granice wytrzymałości, obciążeniu kości i mięśni, zmieniały się punkty zaczepienia mięśni i ścięgien, kształt stawów, grubość kości. Na ekranie komputera obciążenia były zaznaczone kolorami. Od czerwonawego, prawie białego w miejscach maksymalnego obciążenia do ciemnoniebieskiego tam, gdziena kość działały siły rozciągania. Tak maszerował sobie po ekranie szkielet, skrząc się przy każdym kroku wszystkimi kolorami tęczy. Odcinki o bardzo jasnym albo bardzo ciemnym zabarwieniu stopniowo znikały. Potem Dżafar wziął się do opracowywania fragmentów szkieletu związanych ze skrzydłami. Ale jego komputer nie miał doświadczenia w imitacji lotu istot o sześciu kończynach. Trzeba było sięgnąć do metod realizmu wirtualnego: hełm sensowizora i aktywny kostium dynamiczny. Oczywiście była z tym masa kłopotów. Ręce wyobrażały skrzydła, ale nóg oczywiście brakowało. Po namyśle Dżafar połączył równolegle w komputerowym modelu kierowanie lewą przednią i prawą tylną oraz prawą przednią i lewą tylną łapą. Ogonem miały kierować czujniki położenia podbródka w hełmie sensowizora. Po ubraniu hełmu i kostiumu oraz utrwaleniu w komputerze systemu aktywnej orientacji z trzema stopniami wolności zaczął się zamieniać w smoka w świecie wirtualnej rzeczywistości. Kręcił głową, oglądając pole, pokryte abstrakcyjnymi rumiankami, oglądał góry na horyzoncie (Do gór nie można było dojść czy dolecieć, służyły tylko jako punkty orientacyjne). Odwróciwszy głowę do tyłu widział swoje skrzydła i ogon. Ostrożnie machając rękami-skrzydłami spróbował rozpędzić się i wzlecieć. W pierwszej chwili wszystko szło prawidłowo, potem ogon poszedł w dół, smoka obróciło brzuchem do góry i Dżafar runął na grzbiet. Kora, obserwująca go na drugim monitorze, aż krzyknęła. Na szczęście dynamiczny kostium nie przekazywał ostrych naprężeń uderzeniowych. Plącząc się w swoich (czterech!) nogach Dżafar obrócił się na brzuch, podniósł się, pomagając sobie skrzydłami i wyłączył hełm i kostium.

 – Wiesz, to zupełnie nie tak, jak myślałem – powiedział, zdejmując hełm sensowizora.

 – Boli? – spytała Kora. Jeszcze nie wierzyła, że znowu może mówić i bardzo się krępowała.

 – Co? A, nie, aż taki realizm jest nam zupełnie zbędny. Chcesz spróbować?

 Skinęła głową, jej oczy zapałały. Dżafar wyplątał się z kostiumu, pomógł go ubrać Korze, włożył jej hełm z włączonymi w zawieszeniu przegubowym systemami aktywnej orientacji, po czym usiadł przed monitorem, obserwując obraz w ujęciu perspektywicznym. Przez jakiś czas smok na ekranie obserwował siebie i obmacywał skrzydłami. Pochylił głowę, podreptał w miejscu, poruszył wyprostowanym jak struna ogonem. Rozbiegł się, wygiął szyję, spojrzał na własne nogi, zaraz się w nich zaplątał i fiknął kozła przez głowę. Spod hełmu rozległo się „Oj, mamusiu!” i ogon smoka zaczął drgać jak u gniewnego kota. Pomagając sobie skrzydłem smok wstał, rozpędził się, zaczął machać skrzydłami, wzbił się na dziesięć metrów, przewrócił się na lewe skrzydło i nagle zwinął się jak jeż. Dżafar spojrzał na Korę. Oczywiście, przestraszyła się i zwinęła się w kłębek. Smok na ekranie runął na ziemię i potoczył się jak piłka. W hełmie rozległ się śmiech. Smok dość zgrabnie wstał, pomagając sobie ogonem, znowu wystartował do lotu. Za każdym razem wychodziło mu to coraz lepiej.

 Kiedy spadł pierwszy śnieg, konstrukcja kostno-mięśniowa była już w zasadzie opracowana. Dżafar był szczególnie dumny z przednich kończyn, łączących palce i pazury. Pazury mogły łączyć się w kopyto albo chować się jak u kota. Palce też mogły chować się w specjalne gniazda. Z mózgowiem nie chciał ryzykować, więc zaprojektował go jako system ośmiu prawie ludzkich mózgów, ułożonych w dwa rzędy na jednym pniu nerwowym, przechodzącym w rdzeń kręgowy. Dla większej żywotności i odporności na uderzenia poszczególne półkule były oddzielone sprężystymi chrząstkowymi przegrodami. Transmisja sygnałów włóknem nerwowym była kilka razy szybsza niż u człowieka, ale z powodu znacznie dłuższej trasy przebiegu impulsów nie udało się uzyskać przewagi w szybkości reakcji czy w subiektywnym odczuciu czasu. Za to układ pokarmowy – o, to było arcydzieło! Przetwarzał każdą substancję organiczną, nawet ropę naftową czy węgiel kamienny. Gdy tylko Dżafar już zrezygnował z identyczności genomu z ludzkim, zaczęło mu wychodzić wszystko. Jakby ktoś dał mu do ręki różdżkę czarodziejską. Często siedział w laboratorium do drugiej-trzeciej w nocy, po czym, zataczając się, szedł do swojego pokoju. W czasie dwumiesięcznej „kwarantanny” oboje spali w różnych pokojach, „żeby się nie zachciało”, jak mówiła Kora. A ona odkryła dla siebie świat gie komputerowych i sensofilmów i też często przesiadywała nad nimi do późna. Kiedyś Dżafar sam nalegał, żeby po ósmej wieczorem już tylko odpoczywała po pracy i nauce, teraz już sam nie wiedział, co ma robić. Do ósmej uczciwie zajmowała się pracami gospodarskimi i nauką, a punktualnie o dwudziestej zero zero wkładała na głowę hełm sensowizora i zapominała o całym świecie. Z zachwytem oglądała po kilka razy najgłupsze i najprymitywniejsze filmy, przy każdej okazji ciągnęła Dżafara do swojego projektora i prosiła o wyjaśnianie tysięcy kobiecych drobiazgów. Po co chodzi się na wysokich obcasach, czy podoba się jemu pedicure, do czego służy pomadka do warg, dlaczego w Europie malują zęby na niebiesko, a w Wietnamie na czarno… Dżafar sam przeważnie nie wiedział i mógł odpowiedzieć tylko „bo taka jest moda”. W głowie miała kompletną kaszę. Szesnasty wiek wymieszany z dwudziestym trzecim, miejscowa historia z ziemską, antygrawy z powozami konnymi. Tym bardziej, że w życiu miała to samo. Wychodząc z bunkra, trafiała z dwudziestego drugiego wieku w czasy rycerskie, było jej prawie wszystko jedno – ognisko czy mikrofalówka, jednakowo dobrze radziła sobie z końmi i z cyberami. To jeszcze by nic nie było, ale ludzki mózg nie jest obliczony na tak długie przeciążenia. Nastąpiło wyczerpanie systemu nerwowego. Dżafar kilka razy chciał z nią poważnie porozmawiać, ale ciągle odkładał pod jej żałosnym spojrzeniem. Gdy jednak Kora straciła przytomność idąc korytarzem, przestraszył się nie na żarty. Kora, przepraszająco spoglądając z fotela cyberdiagnosty, wysłuchała nagany w milczeniu, dopiero, kiedyzagroził jej odebraniem sensowizora, poprosiła nieśmiało:

 – Błagam cię, Afa… – w dalszym ciągu tak go nazywała na jego własną prośbę. – Tak wiele chciałabym się dowiedzieć, a zostało tylko dziesięć lat… No chociaż godzinkę dziennie.

 – Skąd wzięłaś te dziesięć lat? Spójrz tutaj – Dżafar zabębnił po klawiszach. – Według prognozy cyberdiagnosty dożyjesz osiemdziesiątki, a z moim regeneratem może i ponad stu lat.

 – Kasandra powiedziała.

 – Co ona dokładnie powiedziała?

 – Powiedziała: „Ci, których dostrzegli bogowie, nie żyją długo. Przeżyjesz z nim dziesięć lat, alekażdego roku wystarczy na dziesięć żyć. Odzyskasz to, co straciłaś, dostaniesz skrzydła, tysiące losów ludzkich przepuścisz przez siebie”. Wcześniej tego nie rozumiałam, a tak właśnie jest. Cytuję słowo w słowo, naprawdę!

 Dżafar gorączkowo szukał w tej przepowiedni sprzeczności logicznych. „Przeżyjesz z nim dziesięć lat” – to prędzej mogło odnosić się do niego. Z drugiej strony dziesięć lat – to prawie cała wieczność, kiedy ma się dwudziestkę.

 – Posłuchaj mnie uważnie. To mnie pozostało dziesięć lat życia, a nie tobie. Opowiadałem ci przecież, że tysiąc lat leżałem w anabiozie.

 – Ona o mnie mówiła. To by znaczyło, że razem umrzemy. Nie będę mogła żyć bez ciebie.

 – Nie gadaj głupstw. A kto będzie kontynuował pracę?

 Kora skuliła się, spuściła ramiona.

 – Musimy znaleźć twoją Kasandrę! – powiedział stanowczo Dżafar.

 – Nie znajdziemy jej. Umarła.

 – Żyła dwa tysiące lat i akurat teraz umarła?

 – Jakie dwa tysiące? – Kora wytrzeszczyła oczy. – Żyła sto siedem lat.

 – Ty nie… Dokładnie sto siedem? – Kora skinęła głową. – W takim razie to nie ta Kasandra. Opowiedz mi wszystko, co o niej wiesz.

 – To była cyganka. Naj-naj-najsławniejsza. Przepowiadała przyszłość panom. Brała całą złotą monetę. A czasem nie brała, tylko mówiła: „Nie mogę ci otworzyć przyszłości. Będziesz wiedziała, postąpisz inaczej i nie spełni się, cokolwiek bym ci powiedziała”. A czasami patrzyła w przyszłość i kazała zanotować na papierze, kiedy i gdzie trzeba pojechać i co zrobić, żeby się spełniło albo żeby oszukać nieszczęście. No i raz zatrzymała się na nocleg w naszej wiosce. Nie miałam wtedy jeszcze szesnastu lat. Razem z innymi dziewczynami śpiewałyśmy jej piosenki, kręciłyśmy korowody, jedna przyniosła jagody, druga gorące mleko, trzecia piróg z konfiturami… A potem zaczęłyśmy ją prosić: powiedz kto komu sądzony. Z początku nie chciała, potem się rozweseliła i zaczęła nam wróżyć, ale tak, że trudno było zrozumieć, czy wróży na poważnie, czy żartuje. Rozrzuci talię po stole, wyjmie kartę, pokaże nam wszystkim i powie: „Wiecie, kim jest ten sokół? Jak możecie nie wiedzieć, on właśnie idzie ulicą. Ciebie, gołąbeczko, weźmie do swojego gniazda”. A tam po ulicy idzie od razu dziesięciu chłopców, spróbuj zgadnąć, o którym mowa. Tak było, dopóki kolejka nie doszła do mnie. Potrzymała mnie za rękę – i nagle wszystkich wygoniła z izby, uklękła przede mną, pocałowała skraj mojej sukienki. Przestraszyłam się, a ona: Kimże ja jestem, żeby przed tobą siedzieć, kiedy ty stoisz?”. Wyjęła inne karty, takich nie widziałam ani wcześniej, ani później. Na jednej narysowane słońce, na drugiej wisielec, ani jednej zwykłej karty. Dwa razy rozłożyła, a przy tym mamrocze: „Nie patrz na karty, nie ma z nich żadnej korzyści, pomagają tylko wyrazić słowami to, co istotne”. Potem odsunęła karty, wzięła mnie za rękę, długo patrzyła mi prosto w oczy i w końcu przemówiła. Do tego, co już wiesz, dodała jeszcze, że los wszystkich ludzi związany jest ze mną, że gdzie ja skręcę, tam pójdzie cały świat. Mówiła także o tobie, tylko nie powiedziała, kiedy cię spotkam. Na koniec oświadczyła, że po tym, jak mnie zobaczyła, może już spokojnie umrzeć.

 – I umarła?

 – Nie, wtedy nie. Tylko ja jej już nigdy nie widziałam. Umarła pięć lat później. Akurat wtedy spotkałam pana i wzięłam go za ciebie. A on myślał tylko o bogactwie. Zaczął się sądzić, powołał mnie na świadka. Przysięgałam dla niego na wszystkie świętości, ale prawda i tak wyszła na jaw. Zakuli go w kajdany i wrzucili do ciemnicy, a mnie strasznie wychłostali batem na placu. A kiedy wyzdrowiałam, obcięli mi język, rozgrabili dom i wygnali z miasta.

 Dżafar ustanowił surowo przestrzegany rozkład dnia. Rano i wieczorem był bieg – na nartach albo truchtem. Brał w nich także udział Tabak, choć psuł kopytami trasy narciarskie. Klęli go, ale nie przeganiali. Zwierzęta, zwłaszcza konie, lgnęły do Dżafara jak pszczoły do miodu.Kora dziwiłasię i mówiła,że pierwszy raz widzi, żeby koń za człowiekiem biegał jak pies. Dżafar chciał pojechać do Tonto, ale Chajkara oczekiwała źrebięcia i absolutnie nie wyglądała na konia rycerskiego. Kora mówiła, żeby jechał bez niej, ale samemu się nie chciało.

 Praca nad projektem szła pełną parą. Problemy teoretyczne zostały rozwiązane, pozostawało tylko dobrać zestaw chromosomów. Była to sztuka, ale akurat w tej dziedzinie Dżafar był mocny. Jako punkt wyjściowy wziął zestaw Kory, gdyż własnemu, sprzed tysiąca lat, nie dowierzał – bał się ukrytych defektów. Zawsze lepiej nie zaczynać od zera, tylko zmieniać gotowe. Jeśli o czymś zapomnisz, sama natura uzupełni. Do głównego serca dodał smokowi małe wspomagające, które nazywał silniczkiem awaryjnym, a po sprawdzeniuna komputerze wariantów dodał jeszcze aktywny system naczyniowy, w którym tętnice, żyły i naczynia włoskowate czynnie pomagały sercu przetaczać krew. Szczególnie ważne było to w błonkach skrzydeł. Kierowanie biograwami powierzył rdzeniowi kręgowemu, z równoległą synchronizacją z sygnałami kierowania mięśniami skrzydeł. Było to tak pełne wdzięku i zarazem naturalne, że zachwycony pobiegł do Kory, podrzucił ją pod sufit i zakręcił nią po pokoju. Ta zburzyła mu fryzurę, przyjrzała się, pisnęła radośnie i pociągnęła za rękę do lustra. Korzonki włosów znowu zrobiły się czarne, regenerat działał!

 Poważnym problemem okazało się zaprogramowanie instynktów. Na przykład instynktu kierowania skrzydłami. Albo poczucia preferencji w jedzeniu. Na wszelki wypadek Dżafar zaprogramował smokowi wstręt do smaku surowego mięsa, a jako rekompensatę – pozytywną reakcję na smak świeżego drewna. Kora umierała ze śmiechu, widząc, jak on, obwieszony czujnikami, z poważną miną żuje opiłki brzozowe. Próbował nawet żuć siano, ale doszedł do wniosku, że smokowi to jednak nie bardzo wypada.

 Nadszedł Nowy Rok, złożyli sobie życzenia o północy. Co trzy albo cztery dni jedno z nich brało podczerwony świder i szerokim promieniem roztapiało lód wokół młyńskiego koła. Zima była śnieżna, ale raczej łagodna i mijała dość jednostajnie. Nadszedł czas zajęcia się hodowlą smoczego ciała. W tym celu Dżafar stworzył najpierw pół-zwierzę, pół-roślinę, której jedynym zadaniem było urodzić – a ściślej: wypączkować –maleńkiego smoczka. Jego dorastanie miało trwać dziesięć lat. Przez cały ten czas Dżafar zamierzał trzymać mózg smoka w izolacji informacyjnej, ciało zaś karmić sztucznie w inkubatorze, żeby pozostawić czystą jak tabula rasa. Sam przez ten czas zamierzał wyuczyć się jeszcze siedmiu zawodów, zdjąć osiem kopii pamięci swojego mózgu i zapisać je w ośmiu półkulach mózgowych smoka. Zapytał ostrożnie Korę, czy ona też nie chciałaby otrzymać smoczego ciała. Dziewczyna odpowiedziała mu szczerze, że, jeśli ją poprosi, zrobi dla niego wszystko, czego tylko sobie zażyczy, ale tego nie chce i śmiertelnie się boi. Dżafar postanowił wrócić do tej rozmowy za dziesięć lat, kiedy lepiej pozna Dżafara-smoka. Dla smoka dziesięć lat – to tyle, co nic. Nie zaprogramował starzenia organizmu smoka, więc smok teoretycznie mógł żyć wiecznie. Na razie Dżafar powtórzył sobie, jak do egzaminu, całą swoją wiedzę z zakresu inżynierii genetycznej, zapisał w komputerze pierwszą matrycę swojej pamięci i wziął się do studiowania drugiego zawodu: inżyniera-technologa szerokiego zakresu. Spis zawodów zrobił już dawno i powiesił na ścianie.

 Obowiązki gospodarcze dzielił z Korą mniej więcej po połowie. Ponieważ smoczek miał się urodzić w maju, nie było gdzie się śpieszyć. Dwukrotnie Dżafar latał z Korą na główną bazę, oprowadzał ją po szerokich ciemnych korytarzach, opowiadał, co gdzie było, pokazywał swój pokój i lekki skafander, w którym uratował dziecko z pożaru.

 – Opowiedz – poprosiła Kora.

 – Wiesz, to wstyd. Miałem wtedy szczęście głupiego. Lecę flyerem, widzę – pożar. Ląduję. Dom drewniany, parter w ogniu, na piętrze dzieciak w oknie. Krzyczą mu: „Skacz, złapiemy”, a on ze strachu wpadł w stupor. Mam w bagażniku lekki skafander, system oddechu autonomiczny, chłodziwa wystarczy na trzy minuty każdego piekła... Ubieram skafander, wchodzę do domu, na piętro. Należało po prostu dzieciaka oderwać od okna i rzucić tym na dole, a potem samemu zeskoczyć – zaledwie cztery metry. A ja rozpiąłem skafander, posadziłem dzieciaka sobie na brzuchu, zapiąłem, kiwnąłem ludziom ręką i idę jak baba w ciąży, po schodach w dół. Te i tak były zgniłe, a jeszcze prawie przepalone, runęły pod moim ciężarem. Spadłem z dwóch metrów na podłogę, deski też się przepaliły, poleciałem do piwnicy. Rozglądam się, na górę nie wejdę. Chłodziwo mi się niedługo skończy, dookoła gorąco jak w mikrofalówce, upiekę się w skafandrze jak ty pieczesz mięso w folii. Chwyciłem siekierę i łopatę, wykopałem sobie norę w przyzbie. Nigdy nie pracowałem tak szybko. Wlazłem tam, wejście zasypałem, leżę na plecach, opowiadam chłopcu bajki. Jak Czerwony Kapturek zjadł szarego wilka. Ze strachu poplątałem wszystkie wątki. A maluch komunikuje „Ja chcę siusiać”. No dobrze, mówię, siusiaj, tylko potem wszystkim powiedz, że to ty puściłeś strugę, a nie wujek. Patrzę na zegarek – minęło ponad pół godziny. Wykopałem okienko, spojrzałem. Sufit i dach już się zapadły, ściany się dopalają. Popiół jeszcze gorący, ale można już wyjść. Wychodzę, a wszystkim oczy na wierzch wylazły. We flyerze nacisnąłem klawisz SOS, powiedziałem, że pożar i idę ratować ludzi. Według instrukcji należało to zrobić od razu, jeszcze zanim polazłem do tego domu. Wprawdzie od razu odwołałem, ale i tak uruchomiłem alarm. Wyjąłem dzieciaka, skafander powiesiłem suszyć na słońcu, garnitur prowizorycznie piorę w beczce, a ten berbeć komunikuje: „A my z wujkiem zrobiliśmy siku”. Na mój SOS właśnie przylecieli desantowcy, pokładali się ze śmiechu. Wtedy właśnie poznałem Groma.

 Kora uklękła przed skafandrem, pocałowała zakurzoną tkaninę. Potem podniosła oczy na Dżafara i powiedziała:

 – Jesteś Władcą. To, co o tobie opowiadali, to prawda. Ja zawsze myślałam, że to bajki. A ty opowiadasz kropka w kropkę tak samo, jak oni, tylko oni z zewnątrz, a ty od wewnątrz. Powiedz, a czy to prawda, że byłeś wtedy wyższy o dwie głowy?

 – Nie, ja byłem taki sam, to wasi ludzie byli mniejsi. A jak złapałem leśnych rozbójników, nie opowiadają? Nie? Szkoda… Jeśli usłyszysz, jak ktoś mówi, że historia wszystko ustawia na właściwym miejscu, możesz plunąć mu w twarz w moim imieniu. Za tego chłopca dostałem naganę, i zupełnie słusznie, a za rozbójników – list gratulacyjny.

 Zamiast lecieć od razu do domu, polecieli nad morze. Wylądowali na brzegu, pochodzili po śliskich kamieniach. Zimowe morze napawało smutkiem. Zimny i wilgotny wiatr przenikał do szpiku kości. Szybko wrócili do ciepłej kabiny flyera. Kora wyjęła zza siedzeń termosy i termiczne torby z obiadem. Dżafar poprosił ją, by opowiedziała mu legendy o Władcach, a potem wszystko, co wie o kapliszach. W drodze powrotnej milczał, myślał, w końcu rzekł:

 – Wiesz co, Kora, ty musisz zdobyć wykształcenie socjologiczne. Wiem, żem, że dla ciebie na specjalizację jest o wiele za wcześnie, ale nam socjolog potrzeby jest na gwałt. Potrzebujemy nowego planu rozwoju. Myślałem o wykorzystaniu starego, sprzed tysiąca lat, ale teraz widzę, że on nie pasuje do niczego. Ja muszę przygotowywać matryce pamięci. W tym nikt nie może mnie zastąpić, bo u smoka rozwinie się schizofrenia. Zostajesz więc tylko ty.

 Życie szło spokojnie i równomiernie. Kora była idealną żoną, darem losu, jakiego nie jest godny żaden mężczyzna. Przez cały czas ich wspólnego życia obraziła się na Dżafara tylko raz, kiedy się dowiedziała, że smok jest stworzony z jej zestawu chromosomów. Przez pięć dni dąsała się na Dżafara, unikała go, ale potem przebaczyła. Miała kilka bzików, których gotowa była bronić nawet za cenę życia. Jeden z ich, najświeższy, polegał na tym, że jej dzieci muszą się urodzić w sposób naturalny.

 Ale we wszystkim złym jest coś dobrego. Stosunek Kory do smoczka zmienił się o 180 stopni, z pełnej niepokoju obojętności do macierzyńskiej troski. Spędzała z maluchem co najmniej pół godziny dziennie, próbowała kaszkę, którą smoczek dostawał do brzuszka, wypytała Dżafara, czy nie da się go wychowywać w zwykły sposób i bardzo się zmartwiła, upewniwszy się, że się nie da. Pod koniec zażądała, żeby smoczkowi nadano imię. Dżafar nie rozumiał, po co, jeśli smok będzie miał jego pamięć. Kiedy jednak Kora się uparła, zaproponował nazwać go Cyryl, na cześć Groma – Cyryla Gromowa. Kora zaraz przerobiła na Cyrik.

 Kilka razy na rok jeździli do Tonto. Wszyscy karczmarze znali sir Dżafara i lady Korę, zapraszali ich do siebie. Ale oni zawsze zatrzymywali się u Julii, która miała teraz własną karczmę. Za złotą monetę, którą dostała od Dżafara, wykupiła udział u starego karczmarza, roztrąbiła o tym po całym mieście, a kiedy ten w rok później bezpotomnie umarł, automatycznie została właścicielką całości. Dżafara po staremu nazywała gospodarzem, marzyła o przespaniu się z nim. Jej stosunki z Korą były dziwne. Bały się siebie wzajemnie, ale jeszcze bardziej bały się rozzłościć Dżafara, więc nie odmawiały sobie niczego. Takich pogromów, jak za pierwszym razem, Dżafar już nie robił, ale płacił szczodrze, ugaszczał wszystkich i o jego wizytach opowiadano legendy. Na czwarty rok karczma Julii zupełnie przechyliła się ze starości na bok. Dżafar kazał rozebrać ją, a na jej miejscu postawić nową. W ciągu trzech dni! Wykonawcy bardzo się starali, ale udało się im to w ciągu czterech. Dżafar sklął ich od tumanów i nierobów, ale zapłacił im w złocie, i to podwójnie –po co miałby oszczędzać, jeśli ma pół tony złota, a kopiujący automat może mu w pół godziny wytłoczyć cały trzos monet? W miasto poszła jeszcze jedna legenda, a Julia zrobiła ostatnią rozpaczliwą próbę przespania się z nim w jednym łóżku. Na jej nieszczęście, Dżafar tej nocy robił swój tradycyjny rajd po karczmach, ale Kora wróciła wcześnie. Nie zapalając światła, rozebrała się i dała nura pod koc… Było dużo szumu, krzyków, łez, ale do rana obie z Julią byłyjuż wielkimi przyjaciółkami. Dżafar w żaden sposób nie mógł tego zrozumieć, długo próbował u obu wyjaśnić, ale otrzymał, jak to się mówi, odpowiedź wymijającą. W drodze powrotnej Kora przyznała mu się, że powiedziała Julii, gdzie oni mieszkają, i była gotowa na burę, której nie otrzymała. Zamiast tego Dżafar zamyślił się głęboko. A kiedy wrócił, porzucił na jakiś czas geologię i zaczął projektować żeńskiego osobnika smoka. Teraz z kolei Kora zamyśliła się głęboko.

 Praca okazała się zadziwiająco ciekawa. Ponieważ te dwa smoki miały stać się protoplastami nowego gatunku, Dżafar starał się jak najbardziej odróżnić niektóre parametry, nie tracąc przy tym zgodności rozrodczej, a inne równie mocno zakodować. Przez ten czas pojawiło się kilka nowych pomysłów, których nie można już było zrealizować w Cyrylu, ale można było umieścić w żeńskim osobniku jako cechę dominującą, żeby przekazywał je potomkom.

 W trzy miesiące później, gdy robota była już skończona, Dżafar znowu ostrożnie porozmawiał z Korą o zdublowaniu jej jako smoka. Otrzymał w odpowiedzi: „Jeśli bardzo potrzeba, rób”, po czym Kora odwróciła się tyłem i zaczęła pociągać nosem. Ciężko westchnął, pocałował ją w szyję – pociąganie od razu się urwało – i schował materiały do sejfu.

 Praca nad planem rozwoju szła nierówno i z wielkim trudem. Najpierw Kora nie wiedziała, co ma opracowywać, potem nie wiedziała, jak. Potem zaczęło brakować jej informacji. Dżafar naradził się z cyberami, poleciał na bazę, przywiózł niezbędne rzeczy i uruchomił produkcję informatorów – prostych cyberów w kształcie ptaków. Kora początkowo była zachwycona, ale po miesiącu zrozumiała, że to nie to. Dżafar zrozumiał jeszcze wcześniej. Informatory-ptaki pozwalały obliczyć ludność każdego miasta, podsłuchać rozmowy, wyjaśnić różne szczegóły, ale nie dawały całościowego obrazu. Postanowiono więc ustawić stałe przekaźniki w miejscach koncentracji władzy. Wkrótce niedaleko Rzymu, gdzie mieściła się gigantyczna biurokratyczna machina kościoła, pojawił się potężny węzeł-koncentrator informacji. Komputery węzła otrzymywały informację od tysięcy malutkich przekaźników audio i wideo, umocowanych na sufitach nad biurkami urzędników wszystkich szczebli. Po jej wstępnej selekcji i opracowaniu koncentrator przekazywał najważniejsze dane do bunkra i tak Kora otrzymała dostęp do informacji równy członkom Synodu. Stopniowo stała się socjologiem-praktykiem najwyższej klasy. Opracowywała plan eksponencjalnego rozwoju bez postępu technicznego, bardzo giętki i zawierający wiele wariantów. W czasie prac nad nim nieraz trafiała na logiczne ślepe uliczki, z których nie mogła się wydostać miesiącami, smutniała i w końcu zwracała się o pomoc do męża. Dżafar wkładał jej na głowę hełm mnemografu, zdejmował jej matrycę pamięci, na wszelki wypadek zdejmował własną matrycę, po czym ładował w siebie pamięć Kory ze wszystkimi jej problemami, dokładnie formułował pytanie i pogrążał się w podświadomość.Kora, gryząc paznokcie ze zdenerwowania, oglądała go na monitorze z sąsiedniego pokoju, gotowa przyjść mu na pomoc w każdej chwili, choć pomoc ani razu nie była potrzebna. Jak mawiał z dumą Dżafar, tylko bladolicy może dwa razy stanąć na te same grabie. Korę to przerażało i zbijało z tropu, gdyż sądząc po tym, co wiedziała, to właśnie Dżafar był najczystszej krwi bladolicym.

 Seanse nie mijały bez śladu, po każdym z nich Dżafar wbijał w siebie końską dawkę regeneratu. To odtwarzało ciało, usuwało siwiznę, ale prawie nie wpływało na mózg.

 Słabym i bezbronnym miejscem planu był jego etap początkowy, zakładający wskrzeszenie i zasiedlenie głównej bazy. Na tym etapie właśnie smok miał odegrać wiodącą rolę. Komputerowa analiza struktur władzy, stosunków socjalnych, kierunków politycznych i wszystkiego, co się z tym wiązało, aż do folkloru włącznie, dawała 80 procent szans powodzenia nawet w przypadku przeciwdziałania kapliszy, którego Dżafar raczej się nie spodziewał i nie rozumiał strachu Kory przed nimi. On sam miał z nimi doskonałe stosunki.

 – Ty ich mało znasz – zapewniała go Kora. – Dla nich naród to nawóz! Ustanowili jedno prawo dla siebie, drugie dla innych. Robią, co chcą! Słyszałam, że na Wyspach Wschodzącego Słońca zabijają niemowlęta!

 – Ludzie mówią różne rzeczy – zaprzeczał niepewnie Dżafar. – Ale walczyli z epidemią, karmili lud w latach głodu.

 – Krowę też się karmi, dopóki daje mleko. A jak się zestarzeje – nożem po gardle. Była krowa, jest wołowina.

Minęło dziewięć szczęśliwych lat. Były to lata pełne pracy, wielkich i małych zwycięstw, miłości i szczęścia rodzinnego. Tylko dwie rzeczy psuły im szczęści. Po pierwsze, Kora nie miała dzieci. Brać obcego na wychowanie nie chciała, na sztuczne zapłodnienie zaś za nic nie chciała się zgodzić z jakichś swoich powodów, dla Dżafara zupełnie niezrozumiałych. A po drugie mózg Dżafara słabł. Raz chciał coś zmienić w zestawie genów smoczycy i nie zdołał zorientować się w złożonej strukturze fragmentu łańcucha, który przecież sam zaprojektował kilka lat temu. Myśląc, że w ciągu tych lat zapomniał podstaw, załadował swoją własną matrycę pamięci, przeznaczoną dla smoka, ale i tak nie zdołał zorientować się w wieloczynnikowym wpływie tego fragmentu na fenotyp.

 – Wiesz, nasi starożytni mówili „Człowieku, proś, o co chcesz, ale zapłać za to prawdziwą cenę” – powiedział Korze. – Co to jest ta prawdziwa cena, nikt nie wie. Dowiadujesz się tego, kiedy już ją zapłacisz. Ja teraz wiem. To straszne, Kora.

 Akurat wtedy zapisał matrycę pamięci matematyka. Na szczęście zostały już tylko dwie matryce, dla których stworzenia nie trzeba było błyskotliwego myślenia logicznego, tylko pamięci – literaturoznawcy i muzykologa. Ale i pamięć zaczęła go zawodzić. Dżafar zaczął przyjmować wzmacniacze pamięci i spalać swój mózg ciągle rosnącymi dawkami. Do końca pracy nad matrycami zbliżał się jak maratończyk do linii mety, nie żałując siebie, wykorzystując wszelkie rezerwy organizmu, nie myśląc o tym, co go czeka za metą.

 Jeszcze dawno, w rok po „zmartwychwstaniu” Dżafara, dach bunkra został wyczyszczony, a na nim postawiono niby drewniany dom, w którym można było przyjmować tubylców, jeśliby się pojawili. Kilka razy na rok przyjeżdżała do nich Julia, czasem żeby opowiedzieć o ważnym wydarzeniu, a czasem po prostu do Kory w gości. W głodne lata kilka razy Dżafar puszczał syntetyzator żywności bunkra na pełną moc i wspomagał mąką mieszkańców okolicznych wiosek, posyłał tabory nawet do Tonto. Raz wspólnie z kapliszami walczył z epidemią. Kaplisze w Tonto zwracali się do niego „sir”, przekazywali pozdrowienia lady Korze i E do potęgi x, nigdy o nic nie wypytywali – czuło się, że uważają go za swojego. Dżafara początkowo to dziwiło, potem przywykł, zapomniał. Przypomniał sobie tylko raz, kiedy przypadkowo usłyszał od chłopa, że kościół zakazuje komukolwiek odwiedzać las, w którym mieszkał, powszechnie zwany Martwym Lasem z powodu systemu ochronnego, złożonego z plastikowych szkieletów i grobowego głosu dla odstraszania ciekawskich. Szczególnie przyjacielskie stosunki z kapliszami ustaliły się, gdy w pierwszym roku głodu wysłał do Tonto ta-bor z żywnością. Dżafar kierował tabory do Julii, ta wzywała kapliszów, a ci bez zbędnych formalności i w miarę możliwości sprawiedliwe rozdzielali między potrzebujących.

**ROZDZIAŁ 5**

Jechał do niej w srebrnym lando,

Nie dojechał nawet tam – do…

Koń nie dobiegł mu i znikł,

Nie doskoczył, nie doleciał,

A jego gwiezdny znak – Byk –

Z Mlecznej Drogi chłeptał mleko.

W. Wysocki: „Przerwany lot”.

 Wszystko było gotowe, matryce pamięci przygotowane, leżały w sejfie. Czekali już tylko na ostateczne dorośnięcie smoka. I w końcu ten dzień nadszedł. Cybery usunęły ścianę między hangarem a sektorem medycznym i przeniosły uśpionego smoka z sali gimnastycznej, w której rósł, do hangaru. Dżafar włożył na jego głowę specjalnie skonstruowany hełm mnemorekodera z ośmioma półkulami mnemoprojektorów i podłączył gruby ekranowany kabel sterowania. Kora przeprowadzała testy aparatury. Potem zamienili się miejscami, Dżafar dokończył testów, a Kora obmacała rzemienie, trzymające hełm, dotknęła dłonią żelaznej podłogi: czy Cyrikowi nie jest na niej za zimn, sprawdziła, czy kierowniczy kabel jest dobrze podłączony. Wszystko było w idealnym porządku.

 – Zaczynamy? – zapytał ochryple Dżafar.

 Kora skinęła głową i podeszła do drugiego pulpitu. Dżafar przełączył swój pulpit z trybu testowego na roboczy. Kora powtórzyła jego ruch.

 – Pierwszy – powiedział Dżafar i szczęknął przełącznikiem.

 – Pierwszy – jak echo odpowiedziała Kora.

 Na hełmie, włożonym na głowę smoka, zapłonęło czerwone światełko na pierwszym mnemorekorderze. Ruszył zapis matrycy pamięci. Ponieważ zapisywało się ją w pamięci długoterminowej, a nie operacyjnej, proces trwał minuty, a nie sekundy. Oprócz tego Dżafar nie chciał ryzykować i zwolnił tempo zapisu do jednej trzeciej maksymalnego. Na ekranie kontrolnym górny zielony pasek pełznął powoli do liczby 100 % Nareszcie oparł się o nią i czerwony ognik na hemie zgasł.

 – Jest pierwszy! Włączamy licznik kontrolny!

 Zamiast czerwonego światełka na chwilę zapłonęło zielone.

 – 99,6 % zgodności! – wykrzyknął Dżafar. – Idealnie, Kora! Zapisujemy drugi.

 –Zapisujemy drugi – powtórzyła Kora, szczęknąwszy przełącznikiem. Drugi zielony pasek popełznął przez ekran od lewej ku prawej. – Afa, a dlaczego nie pełne 100 %?

 – A, to przejawia się jego szczątkowe doświadczenie życiowe.

 Drugi pasek dotarł do znaku 100 %. Kontrolny licznik pokazał 99,5 %.

 – Zapisujemy trzeci. – 99,6 %

 – Czwarty.

 – Piąty.

 Kiedy doszli do ósmego, dłonie Dżafara były mokre od potu, a Korze drżały kolana.

 – 99,7! Zrobiliśmy to, rozumiesz, Kora, zrobiliśmy! Niech przez godzinkę wszystko się ustabilizuje, potem go obudzę. Teraz powinien już widzieć ludzkie sny. Popatrz no, współczynnik korelacji rytmów alfa wzrasta. Gdybyśmy zapisywali równocześnie we wszystkie półkule, byłby od razu jedynką. Zobacz, u pierwszego i drugiego już jest zgodny!

 – Afa, ja się boję. Co on mi powie?

 – To ja mogę ci powiedzieć. Ale co on MI powie?!... Nie wyobrażasz sobie, jak ja się boję!

 – Teraz przejedziemy na bazę. On przeleci za nami, ale co z Chajkarą? Jest już stara, nie dojdzie, a do flyera się nie zmieści.

 – Do tego czasu cybery zbudują ciężarowy flyer. Popatrz no, już wszystkie rytmy alfa w jednej fazie. Można budzić, ale niech jeszcze trochę pośpi. Nie będziemy się śpieszyli. Czy to ty tak drżysz, czy ja?

 – Ja.

 – A, to inna sprawa. Mężczyźnie nie wypada drżeć.

 – Spójrz, budzi się.

Ciężkie powieki smoka powoli uniosły się do góry. Spojrzenie było mętne, niezogniskowane. Głowa uniosła się na potężnej szyi. Paszcza otworzyła się i zamknęła. Smok poruszył głową na boki, zogniskował wzrok na świetlówce. Kora patrzyła na niego z pięściami zaciśniętymi przy ustach, Dżafar skakał wzrokiem od smoka do przyrządów i z powrotem.

 – Cyrik, słyszysz mnie? – zapytała Kora.

 Smok spuścił głowę, ogniskując spojrzenie na niej.

 – Gie-jaam – paszcza otworzyła sięi zamknęła. – Saapats. – Ciało uniosło się na przednich łapach. Smok spróbował się rozejrzeć, Kołysząc się stanął na czterech nogach, zrobił niepewny krok, opadł na bok, znowu się podniósł. Kabel popełznął za nim po podłodze, naciągnął się. Smok powoli obrócił głowę, popatrzył, skąd idzie kabel izrobił krok w tym kierunku.

 – Poczekaj, Cyrylu, zaraz cię odepnę. – Dżafar rzucił ostatnie spojrzenie na wskaźniki i zaczął szczękać przełącznikami, wyłączając przyrządy. Smok, szeroko rozstawiając nogi i przestawiając je po jednej, ruszył w stronę pulpitu.Kabel zawisł, dotknął obudowy małego tomografu. Z charakterystycznym sykiem przeskoczyła jasna iskra elektryczna. Smok runął na podłogę, ryknął, zwinął się w pierścień, gwałtownie rozwinął się z powrotem. Ciężki ogon uderzył po aparaturze, gniotąc korpusy, krusząc ekrany.

 – Cybery, na pomoc! – krzyknął Dżafar, rzucając się w kierunku tablicy rozdzielczej i wyłączając wszystko pod rząd.

 Smok wił się na podłodze. Kora rzuciła się ku niemu, chwyciła obiema rękami za kabel, zatrzęsło nią. Smok podrzucił głową, Kora wyleciała w powietrze,trafiła pod cios akurat rozwijanego skrzydła. Przeleciawszy przez całą salę, uderzyła plecami o korpus skanera gam-ma, zjechała po nim na podło, jej ręce otworzyły się, wypuszczając urwany kabel. Światło w sali mignęło, zbladło, zapaliło się awaryjne zielone oświetlenie. Ostro zapachniało przypalonym mięsem. Dżafar rzucił się do Kory, wpadł na cybera, odepchnął go z drogi. Jedno spojrzenie wystarczyło: złamanie kręgosłupa. Nie wiadomo skąd w jego ręce pojawiła się apteczka, wyjął z niej pistolet do zastrzyków, naładowany środkiem przeciwbólowym. Wstrzyknął go Korze, potem regenerat, i jeszcze raz regenerat, ten drugi w żyłę. Kazał cyberowi przygotować biowannę, ostrożnie położył ciało na noszach i powlókł je po podłodze do biowanny. Jej przeźroczyste wieko było pęknięte, leżało obok, wszystkie cztery cybery zasłaniały pulpit, coś tam gorączkowo robiły. Dżafar je odpędził. Blok diagnostyczny i syntezator środkówfarmaceutycznych były rozbite w drobny mak, kolorowe plastikowe rurki rozerwane, ciecze ściekały na resztki precyzyjnego mechanizmu chirurgicznego. Naprawa, regulowanie i ustawianie zajmie co najmniej dobę. Dżafar chwycił nosze i pobiegł do sarkofagu anabiotycznego, zrzucił kopnięciem jego pokrywę, włożył Korę, nacisnął dłonią duży klawisz aktywacji. Żadnej reakcji. Nacisnął kilka razy. Nic.

 – Cybery!!! Co z nim?!

 Cybery przybiegły, zdarły pancerze ochronne, zakrzątały się przy mechanizmach.

 – Przebicie napięcia o mocy sześciu kilowoltów do sieci zasilającej niskiego napięcia wywołało zniszczenie obwodów elektronowych sarkofagu, biowanny i tomografu - zakomunikował któryś. – Powodem przebicia było zniszczenie izolacji kabla po minięciu reglamentowanego okresu przechowywania i eksploatacji.

 Dżafar zawył jak ranny wilk. Kora otworzyła oczy.

 – C-c-co zCy-rikiem?

 Dżafarobejrzał się. Smok leżał na podłodze, oczy miał zamknięte, ale oddychał.

 – Cyrik żyje. Za trzy dni będzie zupełnie zdrowy. Ty też przeżyjesz, tylko pocierp troszeczkę, zrobiłem ci zastrzyk regeneratu, jeszcze trochę pocierp i wszystko będzie dobrze, słyszysz mnie, tylko jeszcze troszeczkę wytrzymaj

 – Kas-sandra powie-działa dziesięć lat… Nie wyga-niaj Julii… Ona po-może…

 – No coś ty, Koreczko, boli cię, ja zaraz przeciwbólowe…

 Szklane oczy Kory patrzyły nieruchomo w sufit.

 Dżafar działał jak automat. Robił to, co musiało być zrobione. Rozpiął i zdjął z głowy smoka hełm, wstrzyknął mu do żyły środek nasenny, posmarował maścią przeciwbólową zwęglone miejsca tam, gdzie metalowe części hełmu mnemorekordera dotykały łusek smoka. Cyberom rzucił: „Wszystko naprawić i zakomunikować”. Poszedł do stajni, sprawdził, czy konie mają siano i czy wszystko u nich w porządku. Nie wiadomo po co obszedł wszystkie pomieszczenia bazy. W gabinecie Kory paliło się światło, jaśniał też ekran komputera. Przed śmiercią Kora redagowała jakiś plik. Zapisał plik i wyłączył komputer. Poszedł w stronę młyna. Za niemytym od dwóch lat oknem wciąż tak samo cztery szkielety waliły kartami o stół. Przeszedł się po tamie, wspominając, jak oboje z Korą napełniali worki, jak spacerowali po drodze z żółtej cegły… Padł piersią na ziemię, zadrżał. Łez nie było, czuł tylko zimną rozpacz i straszną obojętność samotności.

 Podszedł do sarkofagu anabiotycznego. Aparatura już działała, ale wszystkie przyrządy wskazywały, że wewnątrz leży trup. Wszedł po schodach do swojego gabinetu, ubrał kolczugową koszulę, zdjął ze ściany miecz i tarczę. Wyszedł z bunkra. Wymierzył mogiłę pod drzewem, tam, gdzie Kora lubiła siedzieć w szezlongu, obserwując, jak on tresuje konie. Wykopał mogiłę posługując się wyłącznie mieczem i tarczą. Wyniósł ciało Kory, zawinął je w swój rycerski płaszcz, zakopał. W powstały wzgórek wetknął rękojeścią do góry rycerski miecz.

 Ze smokiem było zupełnie źle. Najprostsze reakcje fizjologiczne niewymagające udziału mózgu. Dżafar znowu podłączył go do aparatury karmiącej, spróbował mieszanki pokarmowej, jak to robiła Kora, ale przełknął ją machinalnie, nie czując smaku. Sześć tysięcy woltów wypaliło wszystkie osiem półkul mózgu smoka i uszkodziło szyjny odcinek rdzenia kręgowego. Obecnie trwał proces regeneracji, ale Dżafar wiedział z osobistego doświadczenia, że pełna regeneracja mózgu to nierealne marzenie. Mózg to znacznie więcej niż po prostu kilka tysięcy gramów komórek nerwowych.

 Stan smoka się poprawiał.Włączyły się najprostsze instynkty. Dżafar trzymał go teraz w narkotycznym śnie. Dwa tygodnie po śmierci Kory włożył na głowę smoka hełm mnemorekodera i spróbował zdjąć matrycę pamięci. Skanery hełmu nie wykryły mózgowych struktur pamięci. Po kolejnych dwu tygodniach wykryły struktury mózgowe, ale zakomunikowały, że pamięć smoka jest pusta. Ten sam rezultat wyszedł po dalszych dwóch tygodniach. Dżafar postanowił zapisać matryce w mózgu smoka, choć było to bardzo niebezpieczne. Mogła nastąpić nakładka interferencyjna. Wtedy nawet najtrwalsze, najbardziej ugruntowane wspomnienia zostałyby stłumione, ale każda szalona myśl, każde najdziksze życzenie, wzmocnione przez rezonans mogłoby przybrać siłę bezwarunkowego rozkazu. Dżafar pozamieniał matryce miejscami, ale wszystkie były zdjęte z jego mózgu, więc niebezpieczeństwo pozostawało. Zapis wyszedł o wiele gorzej niż pierwszy, kontrolny licznik wskazywał zgodność od 69 do 93 %. Oznaczało to, że albo sam zapis się nie udał, albo u smoka pojawiło się osobiste doświadczenie życiowe, raczej to pierwsze. Rytmy alfa też wyrównywały się niezwykle powoli.Prognoza wskazywała, że będą zgodne dopiero po trzech dobach. Dżafar zaczął przygotowywać się do przeprowadzki na główną bazę. Cybery pakowały i ładowały na flyer wszystkie co cenniejsze rzeczy, niepotrzebne w ciągu najbliższego tygodnia ani jemu, ani smokowi. Dżafar latał na bazę, rozładowywał, wracał. Pracował po dwanaście godzin na dobę, jak automat. Piąty cyber. Ani zainteresowania, ani emocji. Smoka jak poprzednio utrzymywał w stanie snu, odkładając przebudzenie do ostatniej chwili.

 Na czwarty dzień, wróciwszy z porannego lotu, zobaczył, że wrota hangaru są wyłamane od wewnątrz. Wszedł. Cybery zakomunikowały, że smok obudził się i wyszedł kilkanaście minut po jego odlocie, czyli około pięciu godzin temu, nie wydając im żadnych rozkazów. Dżafar obojętnie pomyślał, że, jeśli smok nie posłużył się ani przyciskiem otwierającym drzwi, ani mechanizmem ręcznym, to znaczy, że z jego pamięcią nie wszystko jest w porządku. Kazał cyberom wszystko naprawić i poszedł po śladach, prowadzących na północny zachód. Smok szedł w kierunku przeciwnym do słońca, widocznie światło słoneczne go raziło.

 Osiem kilometrów dalej ślad szedł ciągle tak samo prosto. Las się skończył, zaczęły się pola i niewielkie zagajniki. Nagle ślad ostro skręcił. Dżafar spojrzał w tym kierunku. Coś w polu leżało. Ślad zmienił się, stał się rzadki, głęboki, potem nagle znikł. Dżafar pobiegł. Po polu rozrzucone były szczątki wozu, ciała kobiety, mężczyzny, końska tusza z oderwaną tylną nogą, która, przeżuta i wypluta, leżała obok. Klatka piersiowa kobiety zmiażdżona straszną łapą z pazurami. Na twarzy zastygł wyraz bólu i przerażenia. Mężczyzna i szczątki wozu zostały wgniecione w ziemię i wyglądały, jakby po nich przetoczył się walec drogowy. Dżafar zbadał ślady wokoło. Przebieg wypadków był oczywisty. Koń, zobaczywszy smoka, skręcił z drogi w pole, poniósł. Smok zobaczył uciekającą zdobycz, popędził za nią, odkrył, że może latać, dogonił, spadł, zmiażdżył, rozszarpał. Skosztował mięso, nie smakowało mu. Pochodził dookoła i odleciał.

 Dżafar wrócił do bunkra, wziął łopatę, poleciał flyerem na miejsce tragedii, pochował ciała, zakopał tuszę konia. Do wieczora latał nad okolicą, szukał smoka lub chociaż jego śladów. Wiedział, że smok jest w kiepskiej formie fizycznej, nie mógł więc odlecieć dalej, niż o sto kilometrów. Nic nie znalazł. Wrócił do bunkra, kazał cyberom obudzić siebie godzinę przed świtem. O świcie wyleciał na poszukiwania. Nic. Szukał jeszcze dziewięć dni. Nic.

 Podszedł do lustra, uśmiechnął się krzywo do swojego odbicia. Z lustra patrzył na niego siwy starzec.

 – No i co, stażysto, zaczynamy próbę numer dwa? To nic, to tylko dziesięć lat. Akurat stuknie mi czterdziestka. Przygotujemy jeszcze jednego dinozaura, on znowu kogoś pożre. – Ramiona staruszka zadrżały. – Nie miałeś racji, Kamilu, znowu mi się nie udało. Ale nie myśl o mnie źle, odejdę z godnością, zrobię wszystko jak należy.

 Rozkazał cyberom usunąć z flyera drugie siedzenie i załadować do maszyny sejf z matrycami pamięci swoimi i Kory, blokami pamięci komputerowej, które kiedyś przywiózł z Ziemi, nie wiedząc, że to kontrabanda, blokiem pamięci z dziennikiem Kory, do którego dodał opis ostatnich wydarzeń, oraz wszystkimi innymi materiałami, jakie wypracował w ciągu tych dziesięciu lat. Potem zdemontował zero-latarnię, naładował jej akumulator do pełna, zdemontował wszystkie działające elementy termopar, i zawiózł to wszystko na wierzchołek góry, w której znajdowała się baza. W ramach przygotowań do zasiedlenia bazy naprawił i ponownie uruchomił tam niedawno cztery cybery, które zamknął w pokoju sterowniczym małej centrali energetycznej, ale do tego zadania wolał wykorzystać te z bunkra, dlatego przywiózł je drugim lotem. Kazał im wypalić w kamieniu sześciometrową studnię, umieścić w niej sejf, zero-latarnię i termopary, które miały na długo zaopatrywać tą ostatnią w energię; zasypać to wszystko dwumetrową warstwą piasku, a od góry zalać czterema metrami stopionego kamienia. Kiedy kamień prawie stwardniał, Dżafar chciał napisać coś na nim żelaznym prętem, ale się rozmyślił i narysował koło z kropką w środku. Zagonił już cybery do flyera i nagle przypomniał sobie, że smok może poczuć zero-latarnię nawet z drugiej strony kuli ziemskiej. Zamyślił się. Wcześniej czy później smok przyleci do zero-latarni. Po prostu nie może nie przylecieć, jeśli ten punkt go wzywa. Może przyleci wściekły na ludzi? No i co tu znajdzie? Bazę, w której co drugi przedmiot można wykorzystać jako broń. A może u smoka obudzi się pamięć i zechce kontynuować rozpoczęte dzieło?... A jeśli bazę znajdzie człowiek dostateczniewykształcony, żeby zorientować się w jej urządzeniach?

 Dżafar przesiedział, rozmyślając, całą noc i nad ranem wymyślił kompromisowe rozwiązanie. Cybery zdjęły wszystko ze ścian trzech pierwszych sal, pozostawiając goły kamień, wyniosły je też z pomocniczych pomieszczeń i składów, połączonych z nimi, zastępując je pustymi meblami. Jedno z pomieszczeń miało drugie wejście na korytarz, idący równolegle do sal. Dżafar postanowił zamaskować te drzwi dwiema wielkimi szafami. Człowiek uprzedzony przez smoka odsunie je bez trudu, pozostali nie muszą o nich wiedzieć. Jeśli pamięć smoka wróci, będzie wiedział, gdzie ma przebić półmetrowej grubości ścianę składu, żeby dostać się do sąsiedniej sali; jeśli nie wróci – lepiej, żeby nie wiedział o innych pomieszczeniach. Po oczyszczeniu sal ze wszystkiego, co było bardziej złożone od obcęgów, cybery przyniosły z dołu kilkadziesiąt ton kamiennych odłamków, zamknęły wejście do okrągłejsali, zawaliły przejście kamieniami i stopiły je na masę pistoletami laserowymi. Na to od góry zwaliły kolejną warstwę kamieni, znowu ją stopiły i tak aż do sufitu. Powstała z tego ściana o grubości około trzech metrów. Potem ścięły żelazne wrota i wyrównały powierzchnię tej ściany.

 Dżafar zagoniłcybery do flyera i wrócił do bunkra. W akumulatorowni zdjął pokrywę, przestudiował instrukcję i za pomocą młotka i szczypiec do cięcia drutu odłączył system awaryjnego rozrządu. Do dwóch zacisków podłączył przewód, rozwijając buchtę wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi. Zawołał cybery, trzy wyłączył, czwartemu kazał zamknąć obwód za trzy godziny. Wyszedł na drogę, otworzył drzwi stajni, wygonił konie na zewnątrz. Poszedł do młyna, gdzie podniósł całkowicie zastawę śluzy.Korytem rzeczki chlusnął gwałtowny strumień, zatapiając brzegi. W montażowni nieco odkręcił zawory butli z tlenem i acetylenem i włączył palnik acetylenowy, umocowując go tak,żeby po jakimś czasie spowodował wybuch.

 Po drodze, wychodzącej z Martwego Lasu, szedł starzec. Wieczorny wiatr rozwiewał mu siwe włosy. Za nim wlokła się stara kobyła, a obok baraszkowały dwa piękne konie rycerskie.

 – Starcze, czy ty nie wiesz, że nie wolno wchodzić do Martwego Lasu? – dowódca patrolu kapliszy zagrodził mu drogę.

 – A, anioł stróż! Możesz przekazać naczelnikowi, że od dzisiaj las jest otwarty dla wszystkich. – Starzec spróbował obejść strażnika. Drugi z patrolujących poruszył kolanami i jego koń stanął obok konia dowódcy, a przejście zagrodził but.

 –Nie odpowiedziałeś na pytanie.

 – Na jakie pytanie? Aha, już sobie przypomniałem. Ja tam mieszkałem.

 Trzeci wartownik podjechał do dowódcy i coś mu szepnął na ucho.

 – Gdzieś ty ukradł te konie, starcze?

 – Gdzie ja ukradłem te konie… Zadziwiające, ile pomyłek można zrobić w jednym zdaniu. Te konie są wolne. – Starzec uśmiechnął się krzywo. – Spełniło się marzenie anarchistów: „I będą chodzić po ziemi wolne konie i ludzie”. Czy można ukraść kogoś, kto jest wolny?

 – To Chajkara, koń sir Dżafara. Skąd ją wziąłeś i gdzie prowadzisz?

 – Tak, to staruszka Chajkara. Dziesięć lat wiernie mi służyła, a teraz muszę zaopiekować się nią na starość.

 Z daleka dobiegł dźwięk podobny do grzmotu. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. W dali nad lasem uniosła się w górę ognista kula, pociemniała i zamieniła się w niewielki grzybokształtny obłok, powoli unoszący się do góry.

 – Co to? To już drugi raz dzisiaj. – jęknął ze zdumienia któryś z kapliszy.

 – To bunkier. Wejście do lasu jest wolne, panowie. – odrzekł obojętnie starzec. – Niedobrze wyszło. Zupełnie nie pomyślałem, że mogę podpalić las. To naprawdę straszne, kiedy wysiada ci mózg, kiedy przestajesz widzieć związki przyczynowo-skutkowe, chłopcy. Kiedy dzisiaj nie możesz zorientować się w tym, co napisałeś wczoraj.

 –Umiesz pisać?

 – Tak.

 – Masz patent na czytanie?

 – Nie żartuj ze mnie, chłopcze. Miesiąc temu za to pytanie zrzuciłbym ciebie z siodła! – rozzłościł się starzec. – Czterdzieści pokoleń temu uczyłem czytać waszych ojców, a ty pytasz, czy mam patent na czytanie! Z drogi!

 Ręka kaplisza sięgnęła do bicza.

 – Jaskółka, do mnie! –zakomenderował starzec. – Ap! Głos!

 Jeden z koni rycerskich podbiegł do starca, zarżał, stanął dęba, przebierając przednimi nogami w powietrzu.Konie kapliszy szarpnęły się w bok, przejście się zwolniło, starzec poszedł swoją drogą, nie oglądając się i gniewnie mamrocząc coś pod nosem. Za nim powlokły się konie.

 – No, ja mu zaraz… – Wartownik chwycił wygodniej rączkę bata.

 – Zostawić! – zakomenderował cicho naczelnik.

 – Co? Dlaczego?

 – Trzeba myśleć, oto dlaczego! Kogo my chronimy? Zastanawiałeś się choć raz, dlaczego pilnujemy tego lasu?

 – Bo kazali.

 – O Boże! A po co ci głowa? Pod czapkę? Policz, który rok był czterdzieści pokoleń temu. Teraz przypomnij sobie wszystko, co mówił ten starzec. Możesz coś takiego? – Wskazał grzybokształtny obłok nad lasem. – Albo rozkazać coś słowami swojemu koniowi?

 – Myślisz, że… Że on jest Władcą?

 – Nic nie myślę. Ja tylko analizuję fakty. – Dowódca zszedł z konia, rzucił uzdę drugiemu wartownikowi i pobiegł za starcem. Pozostali ruszyli stępa za oddalającymi się figurami, wiodąc ze sobą trzeciego konia.

 – Rozumiesz, wypuściłbym je na wolność, ale zbliża się zima, wilki, a staruszka Chajkara zupełnie nie może biegać. Odprowadzę je do Julii, wtedy wszystkie sprawy będą zakończone. Kora powiedziała, że Julia pomoże. – Ręka Dżafara zadrżała, mleko z kufla plusnęło na stół. Zamoczywszy palec w kałuży, jednym ruchem narysował sylwetkę smoka z rozpostartymi skrzydłami. Kontynuował: – To był poprostu idiotyczny przypadek. Przebicie izolacji. Wiesz, co to jest sześć tysięcy woltów? To kiedy przepala się włosek w bezpieczniku, a w jego miejsce syczy łuk Volty. Zupełnie bezsensowny przypadek – i Kory nie ma. A potem zacząłem robić głupstwa, bo tutaj – postukał się w czoło – mózg zamienił mi się w ciekłe błoto. Zgnoiłem go tysiącem lat anabiozy, a resztę spaliłem wzmacniaczami pamięci. Teraz wiem, co trzeba było zrobić! Posłuchaj, mózg nie regeneruje – to widać choćby po mnie. Komórki się odtwarzają, a połączenia – nie. Jemu wypaliło wszystkie osiem półkul. Zacząłem czekać, kiedy odtworzą się te, a trzeba było wyhodować nowe! Po prostu odciąć głowę, zabezpieczyć dostawę pokarmu do żołądka, pokierować komputerowo niektórymi funkcjami – i to wszystko! Nawet, jeśli nie wprowadzać hormonów, nowa głowa wyrosłaby mu w ciągu roku. A z hormonami – w cztery miesiące! Wyobrażasz sobie? Cztery miesiące – i mózg lepszy od starego! Można zapisywać! Teraz już za późno. Bo nie mogę myśleć. Jeszcze jeden dowód: wyszedłem z domu, a nie wziąłem pieniędzy. Więc, skoro mnie tu zaprosiłeś, będziesz musiał zapłacić. – Starzec roześmiał się ponuro, ochryple.

 – Więc ty naprawdę jesteś Władcą?

 – Tak, jestem naprawdę Władcą. Najgłupszym z Władców. Zrobiłem nawet ciekawe odkrycie. Żeby trafić do legendy, trzeba być głupcem. Im większe głupstwo zrobisz, tym łatwiej trafisz do legendy. Czy raczej do bajki. O kim są bajki? O Iwanie-głupku, Jeanie-Prostaku, Cosce-głuptasku, Maszce-brudasce. I tak wszędzie, w całym świecie, i u Japończyków, i w Oceanii, i u Indian w Ameryce. Myślisz, że ktoś pamięta, jak łapałem rozbójników, jak ich sądziliśmy,jak później odbudowywaliśmy wioskę? Dudki! Bo to było zrobione z głową. Myślisz, że zapamiętaliby, gdyby tego dzieciaka uratował Grom? Figa z makiem! Nawet sam dzieciak zapomniałby po paru dniach! A mnie zapamiętali. Mnie wstyd o tym pamiętać, a lud się zachwyca! Zrobiłeś głupstwo – i nawet nie trzeba się usprawiedliwiać. Wymyślą za ciebie, usprawiedliwią, nawet zrobią bohaterem – i to najbardziej boli.

 W nocy jeden z członków patrolu pogalopował do Tonto, wioząc szczegółowy raport w zapieczętowanej kopercie. Rano na spienionych koniach przyjechał dziesięcioosobowy oddział kapliszy. Dowodził nim brat Amadeusz. Starzec właśnie patrzył, jak konie kończą jeść siano.

 – O Boże, sir Dżafar, co się z tobą stało? Gdzie lady Kora?

 – A, to ty, Amadeuszu. Kora zginęła. A ja zostałem. Lepiej byłoby na odwrót. A wszystko przez wychowanie. Ja od dzieciństwa przywykłem do naciskania guzików, a ona pracowała rękami. Dlatego kabel też chciała oderwać rękami, podczas gdy ja męczyłem się z wyłącznikiem. I poraziło ją. Żegnaj, Amadeuszu, ja do Tonto.

 – Odprowadzę cię. Dlaczego nie wsiądziesz na konia?

 – Chajkara się obrazi. Wożenie mnie było jej powinnością. Teraz osłabła, nie może wozić i zrobiła się bardzo zazdrosna. Nie pożyczyłbyś mi paru złotych? Julia odda.

 – Masz tu sakiewkę i zapomnij o tym. I tak jesteśmy ci winni za te tabory z mąką.

 Dżafar spędził dwa dni u Julii, a na trzeci dzień rano chciał odejść. Pożegnał się z końmi, ale Chajkara widocznie przeczuła coś złego, gdyż wyrwała się ze stajni i poszła za nim. Wieczorem Julia zrozumiała, że odszedł na zawsze, więc odszukała Amadeusza. Kaplisz zakomunikował swojemu naczelnikowi, a ten postawił w stan alarmu wszystkie siły w mieście. We wszystkie strony rozesłano gońców z rozkazem: znaleźć,ochraniać, ale nie wstępować w kontakt, jeśli to nie będzie konieczne. Nad ranem przybiegł goniec a wiadomością. Amadeusz wsiadł na konia i pojechał razem z nim.

 Dżafar nie śpiesząc się szedł wraz z kapliszem tą trasą, którą dziesięć lat temu przemierzył z Korą w odwrotnym kierunku. Nie miał żadnego celu. Szedł, wspominał, czasem milczał, czasem opowiadał. Przechodzili w ciągu dnia tyle, ile mogła przejść Chajkara. Czasem nocowali w karczmach, czasem pod otwartym niebem. Dżafarowi było wszystko jedno. Kiedy zamyślał się, zaczynał machinalnie rysować smoki. Wielkie i małe, ze skrzydłami i bezskrzydłe, w locie, w biegu, odpoczywające. Rysował patykiem na ziemi, nożem na stole w karczmie, węglem na ścianie. Amadeusz przy każdej okazji zapisywał wszystko, co zapamiętywał z jego opowiadań, po czym skrycie przekazywał notatki kurierowi. Z mozaiki urywków opowiadań stopniowo wyłaniał się obraz zadziwiającego świata. Olbrzymiego, potężnego, wspaniałego, w którym ludzie byli równi bogom. Myśleli innymi kategoriami, działali szeroko, globalnie. Zmieniali orbity planet, tworzyli na ich oceany, zamieniali martwe kamienne kule w zamieszkałe światy. Dla ludzi tamtego świata nie istniało nic niemożliwego. Tak, oni też byli ludźmi i popełniali pomyłki. Ale co postanowił zrobić młokos, który, nie zakończywszy nauki, znalazł się w sytuacji bez wyjścia? Postanowił przekształcić ten świat na obraz i podobieństwo swojego. Sam! W ciągu pozostałych mu dziesięciu lat życia! Amadeusz dobrze pamiętał ich pierwsze spotkanie w karczmie. Obaj wtedy mieli po około dwadzieścia lat. Szczytem marzeń Amadeusza było stanowisko naczelnika patrolu. Dżafar opracowywał plan przebudowy świata. Nawet w jego pijanej hulace porażała skala osiągnięć. Osiem rozgromionych w ciągu jednej nocy karczem – i ani jednego niezadowolonego karczmarza!

 Niedaleko Litmoondu Chajkara padła. Dżafar poprosił Amadeusza o miecz i zaczął kopać mogiłę. Amadeusz zdziwił się, ale nic nie powiedział i zaczął pomagać. Zatrzymał przejeżdżający patrol, okazał dokumenty, rozkazał pomóc. W piątkę, pracując na zmiany, uwinęli się szybko.

 Dziesięć kilometrów dalej Dżafar długo oglądał zarastającą krzakami polanę. Znalazł wzgórek czyjegoś grobu i wetknął w niego na wpół zgniłą złamaną rycerską pikę, leżącą obok. Usiadł pod drzewem i wyjaśnił:

 – Tu spotkałem Korę. Korę, Tabaka, Chajkarę. I tego biedaka. – Wskazał na mogiłę.

 Nie zamierzał odchodzić. Amadeusz prawie siłą wsadził go na swojego konia i zawiózł do Litmoondu.

**ROZDZIAŁ 6**

 Śmiejcie się, śmiejcie! To frajda,

 Kiedy sekund niedostaje,

 A niedobry niedorajda

 Niedowidząc nic nie daje.

 Śmiesznie, nieprawdaż, jest w tym świecie?

 I wam wesoło, i nawet mnie…

 Koń galopuje i ptak leci –

 Czyja to wina, kto przyzna się?...

 W. Wysocki: „Przerwany lot”.

 Julia sprzedała karczmę w Tonto, przeniosła się do Litmoondu, otworzyła nową. Dżafara wzięła do siebie, jemu było wszystko jedno. Siedział nad kuflem gdzieś w kącie sali, mamrocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe zdania o wzajemnym oddziaływaniu tensorów przejścia i odchylenia w zero-t, chromosomach, fraktalach, wieloczynnikowym wpływie aktywnych kapsułkowych rodników na fenotyp. I rysował swoje smoki. Najczęściej pełnego wdzięku, gibkiego jak jaszczurka, w jakiś nieuchwytny sposób żeńskiego.

 – Daremnie, Amadeuszu, bezsensowne i daremne obliczać szanse – wmawiał kapliszowi, od czasu do czasu wstając i chodząc po sali wielkimi krokami. – Tysiąc lat temu całe instytuty opracowały plany waszego rozwoju. Prawdopodobieństwo ich pomyślnego zrealizowania wynosiło 99,8 %. No i gdzie się podziały te procenty? Nie ma! Zginęły tysiąc lat temu. Plan mój i Kory – dziesięć lat pracy, 80 % prawdopodobieństwa. Gdzie się podział? Chcesz powiedzieć, że te 20 % przeważyło? Nieprawda! To krótkie spięcie nie wchodziło w owe 20 %. Miałem tylko kabel wyłączyć – dziesięć-piętnaście sekund – i już zadziałałoby te 80. Cyrik by sobie poradził. Był osiem razy mądrzejszy ode mnie. Dziesięć sekund – i wszystko nie poszłoby na marne. A wiesz, dlaczego nie wyszło? Dlatego, że do tej roboty zabrałem się JA. Gdyby to samo zrobił Kamil, Moduł, Grom czy ktokolwiek inny, nie byłoby żadnego spięcia. Kamil widział na dziesięć lat naprzód. Mówił mi przecież: to nie jest robota dla szczeniaka. Tylko że żaden szczeniak nie uważa się za szczeniaka. Myślą, że są lwami czy jaguarami. A przez nich giną prawdziwi ludzie. Kora…

 Jakaś lafirynda długo mu się przyglądała, potem poprosiła, żeby zrobił jej tatuaż ze smokiem. Powiedział, że nie potrafi. Lafirynda okazała się natarczywa. Przyprowadziła mistrza z kupą igiełek i pojemniczków z farbami. Trenowali na świni. Zadanie okazało się nietrudne, lafirynda dostała, co chciała. Przyprowadziła koleżankę, potem drugą. Zamówień było dużo.Julia cieszyła się, że Dżafar ma chociaż takie zajęcie. A jemu było wszystko jedno. Na pytania Amadeusza przeważnie odpowiadał monosylabami. Ale czasami sam pogrążał się we wspomnieniach i monotonnie opowiadał o Ziemi, Księżycu, księżycach Jowisza, dalekim kosmosie. Interesował się tylko jednym – smokami. Wypytywał o nich wszystkich przyjezdnych. Uważali go za wariata. Niektórzy próbowali opowiadać bajki o smokach, żeby rozweselić otoczenie. Ale Dżafar, po zadaniu dwu-trzech pytań, rozpoznawał fantazję, tracił zainteresowanie i odchodził, zgarbiony, w swój kąt.

**EPILOG: CZAS TERAŹNIEJSZY**

 Amadeusz skończył opowiadanie.

 – Przez dziesięć lal pilnowaliście Martwego Lasu i ani razu nie zainteresowaliście się, co się tam dzieje? – zapytała Lira.

 – Jak to: nie interesowaliśmy się? Piegowaty się zainteresował – i potem przez miesiąc się jąkał – uśmiechnął się Amadeusz. – Oczywiście że się interesowaliśmy. Ale myśleliśmy, że brat Konor wie o wszystkim. On wtedy właśnie zrobił karierę, wyznaczonogo do kierowania całym rejonem. Myśleliśmy, że władza wie lepiej. Wiesz, jaki on był, Anno, ciągle: nie pchaj nosa do cudzego prosa. A potem, kiedy w głodne lata zaczęły jeździć stamtąd tabory z mąką, opuściły nas już wszystkie wątpliwości. No bo sami powiedzcie, któż zacząłby nam tak za nic pomagać? Chociaż, oczywiście, dziwnych drobiazgów byłodo licha i trochę. Choćby te kilka kilogramów monet z czystego srebra albo złota. Nie ze stopu, jak nasze, a z najczystszego. Fałszywki, ale droższe od prawdziwych o dziesięć procent. Najpierw była cicha panika, potem doszliśmy do wniosku, że ktoś z baronów się tak zabawia. A co, mam być gorszy od was? Ekonomii to nie groziło, pośmialiśmy się i zatuszowaliśmy sprawę. Albo ta mąka – skąd on ją brał? Siano kupował u chłopów, mąkę – nigdy. A w ogóle to rzeczywiście śmieszne. Dziesięć lat obok siebie żyliśmy, miód i wino piliśmy, pilnowaliśmy i – machnął ręką – przegapiliśmy Władcę.

 Smok w napięciu wpatrywał się w jego twarz. Nagle wszystkich w pokoju ogarnęła fala rozpaczliwego smutku. Węgielek z piskiem przerażenia przeleciała czarnym cieniem do Anny i schowała głowę w jej włosach. Smok ostrożnie obrócił się w pełnym ludzi pomieszczeniu i skierował się do wyjścia.

 – Czarku, co się stało? – wykrzyknęła Lira.

 – Przypomniałem sobie – odpowiedział smok. – Wszystko sobie przypomniałem. Korę. Wszystko.

 Lira rzuciła się za nim, ale Anna ją powstrzymała.

 Smok leciał tam, gdzie wzywało go poczucie kierunku. Teraz wiedział, że mogła to być tylko zero-latarnia. Niedługo wylądował na szczycie skały. Ze wszystkich stron dochodził cichy szelest wiatru w łopatkach ogromnych wiatraków.

 – Nazywam się Cyryl – powiedział głośno. – Albo Dżafar. Trzeba pomyśleć, pomyśleć bardzo głęboko. Nienawidziłem człowieka, który mnie stworzył i zaprogramował. Przysięgałem, że go zabiję. Nienawidziłem samego siebie. Jak tam było? „Śmiertelnie obrazić samego siebie. I wyzwać siebie na pojedynek. I zwyciężyć. I umrzeć pomszczonym”. Niepotrzebnie bałeś się, Dżafar, że ja ciebie nie zrozumiem. Ale na dwa ciosy ogonem po gębie jednak zasłużyłeś. Za podwójny zapis i ten muzyczny tydzień, którym mnie uraczyłeś. I za to, że dziesięć lat cieszyłeś się szczęściem rodzinnym i bałeś się namówić ją do podzielenia się tym szczęściem ze mną. Właśnie bałeś się, pamiętam przecież. Ale bardzo drogo zapłaciłeś za swoje pomyłki. Nienawidziłbym ciebie, gdybym nie pamiętał, jak ja sam je popełniałem. A co ja teraz mam zrobić? To przecież Kora śniła mi się dwa lata temu, kiedy jeszcze nic nie pamiętałem. Budziłem się w środku nocy i wyłem ze smutku, sam nie wiedząc, dlaczego. Ale gdzieś ty właściwie schował wyniki naszej dziesięcioletniej pracy? Wyrzucić nie mogłeś, znam siebie! Latarnia zero-t! One są tam, gdzie latarnia! Muszą być. Latarnia wskazuje miejsce, gdzie schowano najważniejsze. W przeciwnym razie po co bym ją przenosił? Tam są matryce pamięci Kory, tam jest genom smoczki, ten sam, który opracowałem dla Kory, ulepszony i uzupełniony, poprawiony w dziesiątkach szczegółów. Genom Węgielka różni się od mojego tylko płcią i wyglądem zewnętrznym. A i to komputer nie trafił z kolorem skóry. Muszę obowiązkowo wyhodować to ciało, które wtedy opracowałem, gdyż w przeciwnym wypadku za kilka pokoleń zaczniemy się wyradzać. A co z matrycą Kory? Ostatnią zdjąłem na miesiąc przed jej śmiercią. Ale ona nie chciała, żebym robił z niej smoka. Z drugiej strony, jak mam bez niej żyć? Ale ona przecież kochała nie mnie, tylko jego, człowieka. Kim jestem, żeby za nią decydować? Przecież powstałem z jej komórki, zawsze uważała się za moją matkę i zginęła, ratując mnie. Tu tylko ja mogę zadecydować, nikt inny. Ocknie się, spojrzy w lustro, popatrzy mi w oczy… Nic nie powie, ale jeśli… Nie wybaczę sobie tego, będę czuł się łajdakiem przez kilka wieków. A Węgielek? Węgielek wybaczy. Od dzieciństwa przyzwyczaję ją do myśli, żejestem nikczemnym bigamistą. Boję się. Wtedy się bałem, teraz się boję. O to właśnie chodzi. A gdyby to nie była Kora, tylko ktoś inny? Oto jest odpowiedź! Jakie wszystko robi się proste, jeśli właściwie sformułuje się pytanie. Zrozumiałeś, stażysto, co trzeba robić?

**Koniec tomu drugiego**

1. Mój własny przekład z ros. Brak w zbiorze „Rubajjaty Omara Chajjana” w tłum. Langego i Gawrońskiego. [↑](#footnote-ref-2)